

ELLY GRIFFITHS  
**JANUSOWY  
KAMIEN**



ELLY GRIFFITHS  
**JANUSOWY  
KAMIEŃ**

Przełożyła  
DOROTA DZIEWOŃSKA

Wydawnictwo Literackie

Opieka redakcyjna Waldemar Popek

Redakcja Anna Rudnicka

Korekta

Ewa Kochanowicz, Weronika Kosińska, Aneta Tkaczyk

Projekt okładki [www.headdesign.co.uk](http://www.headdesign.co.uk)

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki © Corbis

Opracowanie komputerowe okładki na podstawie wydania oryginału Marek Pawłowski

Redakcja techniczna Bożena Korbut

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book Cream 80 g vol. 2,0

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp, z o.o., 2011

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: Infomarket

Druk i oprawa: WZDZ-Drukarnia LEGA w Opolu

Tytuł oryginału *The Janus Stone*

© 2010 by Elly Griffiths

© Copyright for the Polish translation

by Wydawnictwo Literackie, 2011

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-04805-4

*1 czerwca  
Święto Karny*

*Dom czeka. On wie. Gdy wczoraj złożyłem ofiarę, wnętrzości były czarne. Wszędzie zapadła noc. Na zewnątrz jest wiosna, lecz w domu wieje chłodem i wszystko spowite jest kirem rozpacz*

*Jesteśmy przekłęci. To już nie dom, lecz grób. Nie słyhać śpiewu ptaków w ogrodzie i nawet słońce nie ma odwagi, by przedrzeć się przez szyby. Nikt nie ma pojęcia, jak zdjąć klątwę. Poddali się i leżą, jakby czekali na śmierć. Ale ja wiem i ten dom wie.*

*Tylko krew może nas uratować.*

# ROZDZIAŁ 1

Lekki wiatr kołysze wysoką trawą porastającą wzgórze. Z bliska teren wygląda zwyczajnie: tylko wrzosi i dzikie pastwiska, tu i ówdzie pojedynczy biały kamień wyróżniający się niczym drogowskaz. Gdyby jednak unieść się ponad te wzniesienia i spojrzeć na nie z dużej wysokości, można by dostrzec pośród zieleni i brązu fałdy nasypów i ciemniejsze prostokąty – świadectwo tego, że ta ziemia w przeszłości wielokrotnie padała łupem najeźdźców.

Ruth Galloway, idąc niespiesznie pod górę, nie potrzebuje perspektywy z lotu ptaka, by zauważyć, że jest to stanowisko archeologiczne o wyjątkowym znaczeniu. Koledzy z uniwersytetu przekopują to miejsce od wielu dni i odsłoniли już nie tylko ślady rzymskiej willi, ale też wcześniejszych osad, z epoki brązu i żelaza.

Chciała wybrać się tu wcześniej, lecz zajęta była poprawianiem sprawdzianów i przygotowaniami do końca semestru. Jest maj, wokół unosi się zapach słodkich pyłków i deszczu. Ruth się zatrzymuje, wdycha świeże powietrze i rozkoszuje się poczuciem swobody, jakie daje przebywanie na wolnej przestrzeni w wiosenne popołudnie. Jeśli nie liczyć kilku pojedynczych dni, w tym roku nie było jeszcze tak ładnej pogody, dlatego stara się wykorzystać okazję i zwraca twarz ku słońcu.

– Ruth!

Obraca się i widzi mężczyznę zmierzającego w jej stronę. Ma na sobie dżinsy i przybrudzoną koszulę, idzie pewnie, stawiając długie kroki, jakby w ogóle nie odczuwał, że się wspina. Jest wysoki i szczupły, ma ciemne włosy, lekko siwiejące na skroniach. Ruth go rozpoznaje: to doktor Max Grey z Uniwersytetu w Sussex, archeolog i ekspert z zakresu Brytanii rzymskiej, który kilka miesięcy temu wygłosił wykład na jej uniwersytecie.

– Cieszę się, że przyjechałaś – mówi i rzeczywiście wygląda na zadowolonego. To rzadkie u archeologów, którzy na ogół nie tolerują innych ekspertów wtrącających się w ich pracę. A Ruth to autorytet z zakresu kości, rozkładu i śmierci. Jest kierownikiem katedry archeologii sądowej na Uniwersytecie Północnego Norfolk.

– Dotarliście do fundamentów? – pyta Ruth, idąc za Maksem na szczyt. Tutaj jest chłodniej, z góry dobiega śpiew skowronka.

– Prawdopodobnie tak – odpowiada Max, wskazując na prosty wykop przed nimi. W połowie jego długości widać linię z szarego kamienia.

– Chyba znaleźliśmy coś, co cię zainteresuje.

Nie musiał wyjaśniać, co to takiego.

– Kości – rzuca krótko Ruth.

Inspektor Harry Nelson krzyczy. Pomijając bardzo rzadkie wybuchy złości w pracy (w obecności żony i córek jest łagodny jak baranek), nie jest typem krzykacza. Z jego ust padają

zazwyczaj stanowcze, krótkie komendy, wydawane zresztą w biegu, w trakcie wykonywania poszczególnych zadań. Jest człowiekiem szybkich decyzji, a już na pewno nie grzeszy cierpliwością. Lubi działać: łapać przestępców, przesłuchiwać podejrzanych, szybko jeździć i dużo jeść. Nie cierpi zebrzań, bezsensownych dyskusji i wysłuchiwania rad. A już zwłaszcza nie sprawia mu przyjemności siedzenie w gabinecie w piękny wiosenny dzień i pastwienie się nad nowym komputerem, by raczył nawiązać z nim łączność. Stąd te krzyki.

– Leah!

Leah, kierownik administracyjny Nelsona (albo sekretarka, jak sama woli się nazywać), wchodzi ostrożnie do gabinetu. To drobna, ciemnowłosa, dwudziestopięcioletnia dziewczyna, za którą z przyjemnością oglądają się młodszy policjanci. Nelson natomiast kojarzy ją przede wszystkim z kawą i informacjami o nowych technologiach, które chyba z każdym dniem zmieniają się i stają coraz bardziej kapryśne.

– Leah – skarży się – znowu wszystko zniknęło.

– Czy wyłączył pan komputer? – pyta dziewczyna.

Nelson znany jest z tego, że w chwilach frustracji wyciąga z gniazdek wtyczki, kiedyś nawet zgasił wszystkie światła na piętrze.

– Nie... No, może raz czy dwa.

Leah zagląda pod biurko, by sprawdzić kable.

– Chyba w porządku – mówi. – Niech pan wciśnie klawisz.

– Który?

– Obojętne.

Nelson uderza w klawisz spacji i komputer cudownie wraca do życia, o czym zresztą z samozadowoleniem powiadamia: „Dzień dobry, inspektorze Nelson”.

– Odpieprz się – odpowiada Nelson i sięga po myszkę.  
– Słucham? – Leah unosi brew.  
– Nie ty. To niech się pieprza. Jak zechcę pogawędzić, dam znać.

– Jest tak zaprogramowany, żeby pana witac – mówi Leah spokojnie. – Mój gra melodyjkę.

– O rany...

– Nadinspektor Whitcliffe mówi, że wszyscy mają się zapoznać z nowymi komputerami. Dzisiaj o czwartej jest szkolenie.

– Jestem zajęty – mruczy Nelson, nie podnosząc głowy. – Mam naradę w okolicy Swaffham.

– Czy to nie tam są te wykopaliska? – pyta Leah. – Widziałam w „Time Team”.

Stoi odwrócona do Nelsona plecami, układając dokumenty na półkach, nie widzi więc nagłego zainteresowania, jakie pojawiło się na jego twarzy.

– Wykopaliska? Archeologiczne?

– Aha – mówi Leah i odwraca się – znaleźli tam całe rzymskie miasto... Tak przynajmniej myślą.

Nelson przysuwa się do monitora.

– Dużo tam tych archeologów?

– Tak. Mój wujek jest właścicielem pubu w tej okolicy i mówi, że przychodzą do niego co wieczór. Musiał podwoić zamówienie na cydr.

– Typowe – bąka Nelson. Archeolodzy wyglądali mu na



takich, którzy piją cydr. A przecież wiadomo, że prawdziwi mężczyźni piją piwo z chmielu. Chociaż kobiety archeolodzy to już całkiem inna sprawa. – Może tam zajrzę w drodze powrotnej.

– Interesuje się pan historią? – pyta Leah z niedowierzaniem.

– Ja? Oczywiście. Oglądałem wszystkie odcinki „Sharpe’a”.

– No to mógłby się pan przyłączyć do naszej drużyny w pubie.

– Za bardzo się denerwuję – odpowiada Nelson spokojnie, wpisując jednym palcem swoje hasło. „Nelsoni”, żeby nie było wątpliwości. – Zrób dla nas kawę, dobrze?

Swaffham to malownicze miasteczko targowe, niczym nie różniące się od tych, przez które Nelson codziennie przejeżdża, nawet ich nie zauważając. Kilka kilometrów dalej są już pola z trawą po pas, drogowskazy na rozstajach i krowy wlokące się przez drogę, prowadzone przez nieobecne myśli chłopca w quadzie. Nelson szybko się zgubił i już miał zrezygnować, gdy przyszło mu do głowy, żeby zagadnąć zamyślnego młodzieńca o drogę do pubu Phoenix. Jeśli zabłądzi się w hrabstwie Norfolk, najlepiej pytać o pub. Okazało się, że to niedaleko, Nelson zawraca więc w błocie, skręca w drogę, która niewiele różni się od polnego traktu, i oto ma przed sobą niski, kryty strzechą budynek zwrócony frontem do wysokiego trawiastego nasypu. Wjeżdża na parking przed pubem i z biciem serca, którego nie chce uznać za przejaw podniecenia, rozpoznaje zniszczone czerwone renault po przeciwnej stronie drogi, u

podnóża wzniesienia. Po prostu dość długo jej nie widziałem, tłumaczy sobie. Dobrze będzie nadrobić zaległości.

Nie ma pojęcia, gdzie szukać stanowiska archeologicznego ani jak ono wygląda, ale zakłada, że więcej zobaczy ze szczytu nasypu. Jest piękny wieczór, powietrze łagodne, na trawie kładą się długie cienie. Nelson jednak nie zwraca uwagi na krajobraz, myśli o ponurej linii brzegowej, o ciałach zmytych do morza przez gwałtowną falę, o okolicznościach, w których poznał Ruth Galloway. Była archeologiem sądowym, dlatego wezwano ją, gdy w odludnych bagnach hrabstwa Norfolk, nazywanych Słonymi Błotami, odkryto ludzkie kości. Mimo że tamte kości, jak się okazało, miały ponad dwa tysiące lat, Ruth z czasem zaangażowała się w nowszą sprawę – uprowadzonej pięcioletniej dziewczynki, w której szczęśliwy powrót już prawie nikt nie wierzył. Nie spotkał się z Ruth od zamknięcia tamtej sprawy trzy miesiące temu...

Ze szczytu wzgórza widzi tylko kolejne wzniesienia. Jedyne godne uwagi elementy krajobrazu to jakieś roboty ziemne w oddali i dwie postaci idące szczytem nasypu: szatynka w luźnym ciemnym ubraniu i wysoki mężczyzna w ubłoconych dżinsach. Na pewno jeden z amatorów cydru.

– Ruth! – woła Nelson. Dostrzega, że na jego widok się uśmiecha. Ma naprawdę uroczy uśmiech... Oczywiście nigdy jej tego nie powiedział.

– Nelson!

Dobrze wygląda, myśli inspektor. Jej oczy błyszczą, policzki zaróżowiły się od wysiłku. Nie zeszczupłała. Nagle

uświadamia sobie, że czułby rozczarowanie, gdyby było inaczej.

– Co ty tu robisz? – pyta kobieta. Nie całują się, ani nawet nie podają sobie dłoni na powitanie, tylko oboje uśmiechają się szeroko.

– Miałem naradę w pobliżu. Usłyszałem, że są tu wykopaliska.

– Czyżbyś teraz oglądał „Time Team”?

– To mój ulubiony program.

Ruth uśmiecha się sceptycznie i przedstawia swojego towarzysza:

– To doktor Max Grey z Uniwersytetu w Sussex. Kierownik robót. Max, to inspektor Nelson.

Mężczyzna nazwany Maksem patrzy zdumiony. Nelson uświadamia sobie, że jego profesja i ranga jakoś nie pasują do tej wieczornej scenerii. Cóż, nawet tutaj zdarzają się przestępstwa, miałby ochotę wyjaśnić Greyowi. Wie, że naukowcy raczej nie lubią policji.

Doktor Grey zdobywa się na uśmiech.

– Interesuje się pan archeologią, inspektorze?

– Trochę – odpowiada Nelson ostrożnie. – Ruth... doktor Galloway i ja niedawno pracowaliśmy wspólnie nad jedną sprawą.

– To ta sprawa Słonych Błot? – pyta Max, wyraźnie zainteresowany.

– Tak – rzuca krótko Ruth. – Inspektor Nelson wezwał mnie, gdy znalazł w błocie kości.

– Okazało się, że były z epoki kamiennej – dodaje Nelson.

– Z epoki żelaza – odruchowo poprawia go Ruth. – A właśnie... Max znalazł dzisiaj ludzkie kości.

– Z epoki żelaza? – pyta Nelson.

– Prawdopodobnie z czasów rzymskich. Wygląda na to, że zostały zakopane pod ścianą domu. Chodź zobaczyć.

Ruth prowadzi ich teraz w dół, w kierunku stanowiska. Z bliska Nelson widzi, że teren pokrywają dziwne wzniesienia i pagórki, niektóre o podłużnych powyginanych kształtach, inne przypominające duże kopce kretów.

– Co to za kopczyki? – zwraca się do Maksa Greya.

– Sądzymy, że to mury – wyjaśnia. Jego twarz rozjaśnia się, jak u wszystkich archeologów, gdy zaczynają zanudzać słuchaczy. – Wie pan, uważamy, że była tu cała osada. Jesteśmy w pobliżu dawnego rzymskiego traktu, ale jedyne ślady, jakie po nim zostały na powierzchni, to brązowe linie w trawie, wyróżniki wegetacyjne, takie rzeczy.

Nelson ogłada się za siebie i patrzy na łagodny łuk nasypu. Nawet jest w stanie sobie wyobrazić, że biegł tędy mur, lecz trawa – jak dla niego – wygląda całkiem zwyczajnie.

– Te kości... Mówicie, że są pod murem?

– Tak, zrobiliśmy wykop próbny i natknęliśmy się na coś takiego. Podejrzewamy, że to ściana willi, zresztą dość dużej, sądząc z rozmiarów tego muru.

– Nietypowe miejsce jak na kości – mówi Nelson.

– Mogła to być ofiara zakładzinowa – stwierdza Max.

– A cóż to takiego?

– Celtowie, czasem też Rzymianie, grzebali ciała pod ścianami i drzwiami w ofierze bogom, Janusowi i Terminusowi.

- Terminusowi?
- Bogowi granic.
- Modłę się do niego zawsze w drodze na lotnisko. A ten drugi?

- Janus, bóg drzwi i wszelkich otworów.
- Czyli zabijali ludzi i umieszczali ich ciała pod swoimi domami? Dziwny zwiastun powodzenia.

- Nie wiemy, czy ich zabijali, czy może już wcześniej byli martwi – spokojnie wyjaśnia Max – ale to często ciała dzieci.

- O Jezu.

Doszli do wykopu zakrytego niebieskim brezentem. Ruth odsuwa go i klęka przy krawędzi. Nelson kuca obok niej. Przed nimi regularny prostokątny otwór (chciałby, żeby jego podwładni oznaczający miejsca przestępstw byli tak skrupulatni jak archeolodzy) o prostych, ostrych krawędziach. Ma mniej więcej metr głębokości. Widać wyraźny przekrój warstw: pod powierzchnią gleby glinę, niżej kredę, a pod kredą szare kamienie. Obok kamieni wykopano duży dół. Na jego dnie błyszczą coś białego.

- Nie wyjęliście ich? – pyta Nelson.

- Nie – mówi Ruth – musimy skatalogować i oznaczyć szkielet na planie, żeby zrozumieć cały kontekst. Istotne będzie na przykład, w którą stronę jest zwrócony, na wschód czy na zachód.

- Księża dawniej kazali spać z nogami na wschód – myśli na głos Nelson – żebyśmy w razie nagłej śmierci w nocy mogli iść do nieba.

- Ciekawy przesąd – stwierdza Ruth chłodno. Nelson przypomina sobie, że ona nie ma czasu na religię. – Kościoły –

kontynuuje – są niemal zawsze wznoszone na linii wschód-zachód, nigdy północ-południe.

– Zapamiętam sobie.

– A czasami – wtrąca Max – mężczyzn układa się głową na zachód, a kobiety na wschód.

– Brzmi dość seksistowsko – zauważa Nelson, prostując się.

– A ty nigdy nie bywasz seksistą? – pyta Ruth.

– Nigdy. Ostatnio uczęszczałem na kurs o przedefiniowaniu tradycyjnych ról płciowych w siłach policyjnych.

– I jak ci się podobało?

– Bzdury. Wyszedłem po przerwie.

Ruth się śmieje. Max, który z początku wyglądał na obrażonego, też się uśmiecha, patrząc na przemian to na Ruth, to na Nelsona. Najwyraźniej dzieje się tu coś, o czym on nie ma pojęcia.

– Właśnie idziemy do Phoenix na drinka – mówi Ruth. – Pójdziesz z nami?

– Nie mogę – odpowiada Nelson z żalem. – Mam jeszcze imprezę do zaliczenia.

– Imprezę?

– Bal na zamku. Krawat i cała reszta. Michelle chciała iść.

– A co u niej słyhać? – pyta Ruth.

Nelson bąka coś w odpowiedzi. Na myśl o tym, że będzie musiał spędzić wieczór wbity w strój wieczorowy, a do tego w towarzystwie bandy artystycznych nierobów, natychmiast popsuł mu się humor. Nie tylko żona, ale też jego szef, Gerry Whitcliffe, nalegali, by tam poszedł. „To świetna okazja do poprawy naszego wizerunku”, powiedział Whitcliffe, taktownie

pomijając milczeniem, że właśnie przez sposób prowadzenia sprawy Słonych Błot lokalna policja potrzebuje pozytywnego rozgłosu. PR! Wielkie nieba...

– Szkoda – rzuca lekko Max, kładąc dłoń na ramieniu Ruth. – Może innym razem.

Nelson patrzy, jak odchodzą. Ogródek piwny pubu Phoenix powoli wypełnia się gośćmi. Słychać śmiechy i brzęk szkła. Inspektor w duchu życzy wujowi Leah, by mu zabrakło cydru.

## ROZDZIAŁ 2

Ruth jedzie powoli drogą A4 7 w kierunku King's Lynn. Choć jest po ósmej, sznur samochodów sięga po horyzont. Dokąd oni wszyscy jadą, myśli, niecierpliwie bębniąc palcami po kierownicy i patrząc na sunące przed nią ciężarówki, samochody osobowe, przyczepy i minibusy. Sezon urlopowy jeszcze się nie zaczął, a jest za późno na powroty ze szkoły czy nawet z pracy. Po co ci ludzie zmierzają do Narborough, Marham i West Winch? Czemu kotłują się w tym konkretnym kręgu piekiel? Od kilku skrzyżowań porusza się za dużym bmw z dwoma eleganckimi kapeluszami do jazdy konnej na tylnej półce. Zaczyna już nienawidzić tej rodziny z nalepką Longleat, z tą ich spersonalizowaną tablicą rejestracyjną (SH3LLY 40) oraz konnymi przejażdżkami w weekendy. Gotowa jest się założyć, że nawet nie lubią koni. Wychowana na przedmieściach Londynu, Ruth nigdy nie siedziała na koniu, choć ma skrywaną słabość do książek o kucykach. Shelly na pewno dostała ten samochód na czterdzieste urodziny wraz z wakacjami na Karaibach i specjalną sesją botoksu. Ruth skończy czterdzieści lat za dwa miesiące.

W pubie było przyjemnie, choć piła tylko sok pomarańczowy. Max bardzo ciekawie opowiadał o rzymskich obyczajach grzebalnych.



„Na ogół myślimy o Rzymianach jako o ludzie bardzo cywilizowanym – powiedział – i odnoszącym się z pogardą do barbarzyńskich praktyk epoki żelaza, ale istnieje wiele świadectw grzebania żywcem, rytualnych mordów, a nawet dzieciobójstw. Na przykład czaszka chłopca odkryta w St Albans jakieś dziesięć lat temu pokazała, że jej właściciela najpierw śmiertelnie pobito, a potem odcięto mu głowę. W Springfield, w hrabstwie Kent, we wszystkich czterech rogach rzymskiej świątyni odkryto po parze niemowląt złożonych w ofierze pod fundamenty”.

Ruth wzdyga się i delikatnie przesuwa dłonią po brzuchu.

Max z przyjemnością przytacza te historie o śmierci i dekapitacji. Wychowywał się w Norfolk i widać, że kocha to miejsce. Ruth opowiedziała mu o swoim domu na północnym wybrzeżu, o wiatrach wiejących wprost z Syberii i o mokradłach pokrytych fioletowymi kwiatami lawendy. „Chętnie odwiedzę cię któregoś dnia”, powiedział. „Byłoby miło”, odparła i nie mówili już nic więcej. Ruth obiecała jednak zajrzeć na jego stanowisko w przyszłym tygodniu. Wtedy do Maksa przyjedzie cały zespół z Sussex. W maju i czerwcu będą nocować w namiotach na polach i przekopywać teren. Ruth z nostalgią myśli o takich letnich obozach wykopaliskowych: o poczuciu braterstwa, wspólnym śpiewaniu i paleniu trawki przy ognisku, o dniach ciężkiej pracy fizycznej. Nie tęskni jednak za brakiem prawdziwych toalet i pryszniców. Jest już na to za stara.

Dzięki Bogu SH3LLY 40 skrzyła w lewo i Ruth widzi przed sobą znaki do Snettisham i Hunstanton. Jest już prawie w domu. W Radio 4 ktoś mówi o żałobie: „Na wszystko przychodzi odpowiednia pora”. Ruth lubi tę stację, ale są pewne

granice. Włącza kasetę (jej samochód jest za stary na odtwarzacz CD) i z głośników płynie poruszające zawrodo Bruce'a Springsteena. Kocha Bruce'a Springsteena – otwarta przestrzeń, nieszcześliwa miłość, przyjaciele Bobby i Joe przeżywający ciężkie chwile – i żadne drwiny tego nie zmieniają. Podkręca głośność.

Teraz jedzie między drzewami zwieszającymi gałęzie nad drogą, której pobocza porastają kępy trybuli leśnej. Za chwilę drzewa znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i na wprost otworzy się morze. Uwielbia ten moment, gdy horyzont nagle rozciąga się w nieskończoność, błękit zamienia się w biel, a biel nabiera barwy złota. Dodaje gazu i gdy dociera do pola kempingowego, które wyznacza początek drogi do domu, zatrzymuje się i wysiada z samochodu. Morska bryza rozwiewa jej włosy.

Przed nią rozciągają się wydmy, którym wiatr nadał fantastyczne kształty. Jest pora odpływu i ledwie widać morze – cienką linię błękitu na tle szarego piasku. W górze pokrzykują mewy, a w oddali połyskuje czerwony żagiel deski surfingowej.

Wtem pochyla się i gwałtownie wymiotuje.

Zamek Norwich, wiktoriańska dekoracja bogatego średniowiecznego fortu, to obecnie muzeum. Nelson był tu już kilka razy z córkami. Pamięta, że zachwycały się lochami, a Laura zwróciła uwagę na kolekcję czajniczków do herbaty. To jednak było dość dawno i teraz, podążając wraz z żoną Michelle krętą ścieżką zdobioną chorągwiemi rycerskimi, Nelson

spodziewa się najgorszego. Jego obawy potwierdzają się, gdy wychodzą im naprzeciw dziewczki służebne. Na zaproszeniu nie wspomniano o przebraniu, a te panny to bez wątpienia służące, ubrane w średniowieczne suknie z wielkimi dekolcami i z falbaniastymi czepekami na głowach. Roznoszą tace z szampanem i Nelson sięga po wypełniony po brzegi kieliszek, na co Michelle od razu zwraca uwagę.

– Wzięłeś, gdzie było najwięcej – mówi, biorąc szklanke z sokiem pomarańczowym.

– Potrzebuję alkoholu, żeby jakoś przetrwać ten wieczór – odpowiada Nelson, gdy zbliżają się po schodach do ciężkich drewnianych drzwi. – Nie powiedziałaś, że obowiązują stroje z epoki.

– Bo nie obowiązują. – Michelle ma na sobie krótką srebrną sukienkę, która z pewnością nie jest z średniowiecza. Nelson zauważa, że właściwie przydałoby jej się więcej materiału, jakiś tren, krynolina czy co tam jeszcze kobiety wtedy nosiły. Mimo wszystko musi przyznać, że wygląda ładnie.

Wchodzą do okrągłej sali, gdzie czeka na nich więcej szampana, a witają ich dźwięki lutni i, co najbardziej denerwujące, błazen. Nelson odruchowo się cofa.

- No, śmiało – Michelle popycha go naprzód.
- Tam jest facet w rajtuzach!
- To co? Przecież cię nie zje.

Nelson niepewnie obserwuje błazna. Nie dostrzega jednak innego zagrożenia, które zbliża się z przeciwnej strony.

- O, jest Harry! I piękna pani Nelson.

To Whitcliffe, nad wyraz wytworny w wieczorowym stroju, z koszulą rozpiętą pod szyją, co zapewne uważa za oznakę szyku. Ma też biały szalik. Bufon.

– Cześć, Gerry.

Whitcliffe całuje dłoń Michelle. Błazen podskakuje energicznie, potrząsając dzwonkami.

– Nie uprzedziłeś mnie, że będą tu tacy przebierańcy – mówi Nelson z północnym akcentem, który zawsze się u niego ujawnia w chwilach stresu.

– To średniowieczna tematyka – wyjaśnia spokojnie Whitcliffe. – Edward świetnie organizuje takie rzeczy.

– Edward?

– Edward Spens. Pamiętasz, mówiłem ci, że Spens & Co, sponsoruje ten wieczór.

– A, budowlańcy, racja.

– Przedsiębiorstwo budowlane – odzywa się głos za plecami Nelsona.

Harry obraca się i widzi przystojnego mężczyznę, mniej więcej swojego rówieśnika, w nienagannym stroju wieczorowym. Żadnego białego szalika, tylko tradycyjna biała koszula i czarny krawat, podkreślające opaloną skórę i gęste ciemne włosy. Nelson natychmiast czuje do niego niechęć.

– O, Edward! – Whitcliffe najwyraźniej nie podziela odczuć Nelsona. – To nasz gospodarz, Edward Spens. Edwardzie, to inspektor Harry Nelson i jego urocza małżonka Michelle.

Edward Spens patrzy z podziwem na Michelle.

– Nie wiedziałem, że policjanci mają tak piękne żony, Gerry.

– To dodatek służbowy, normalne w tym zawodzie – mówi Nelson oschle.

Whitcliffe, sam kawaler (co jest tematem licznych plotek), milczy. Michelle natomiast, przyzwyczajona do męskich komplementów, uśmiecha się szeroko, lecz z rezerwą.

– Panie Nelson – odzywa się Edward Spens – czy to nie pan był tym gliniarzem zamieszonym w sprawę Słonych Błot?

– Tak, to byłem ja. – Nelson nie lubi mówić o swojej pracy, a już szczególnie nie znosi, gdy nazywa się go gliniarzem.

– Co za straszna sprawa... – Spens przybiera poważny wyraz twarzy.

– Zgadza się.

– Dzięki Bogu, rozwiązał ją pan. – Rozmówca poufale poklepuje go po plecach.

Również dzięki Ruth Galloway, myśli Nelson. Ale Ruth nie chciała, aby jej udziałowi w tym dochodzeniu nadawano jakikolwiek rozgłos.

– Na szczęście takie sprawy nie zdarzają się często – mówi.

– Wypijmy za to. – Spens wsuwa Nelsonowi w dłoń kolejny kieliszek szampana.

Nikt nie widział, jak Ruth wymiotuje, dlatego po prostu przysypuje wymiociny piachem i wraca do samochodu. Bruce Springsteen mówi dziewczynie o mało prawdopodobnym imieniu Wendy, że urodzili się po to, by uciekać. Ruth zjeżdża z pola kempingowego i rusza do domu.

Jej dom jest jednym z trzech na skraju bagien. Pierwszy jest pusty, a drugi należy do rodziny, która przyjeżdża tu na weekendy, lecz teraz, gdy ich dzieci zaczęły dorastać, zjawia się coraz rzadziej. To odosobnienie wcale Ruth nie przeszkadza. Gdy wysiada z samochodu i chłonie zmysłami rozległe mokradła, piaszczyste wydmy i daleki szum morza, jej zadowolenie jest właściwie jeszcze silniejsze na myśl o tym, że ten widok należy tylko do niej. Z uśmiechem otwiera frontowe drzwi.

Rudy kot Krzemysk czekał na nią cierpliwie, żeby teraz wstać i idąc w jej stronę, głośno się skarżyć. Jedzenie w misce najwyraźniej nie zasługuje na jego uwagę. Kocur ociera się o nogi Ruth do momentu, aż poczuje zapach świeżego pokarmu. Wtedy szybko pochłania swoją porcję i wychodzi przez klapę w drzwiach.

Ruth siada przy stole koło okna i odsłuchuje nagrane na sekretarkę wiadomości. Jedna jest od matki, która pyta, czy córce nic nie wypadło i czy nadal wybiera się do rodziców na weekend. Matka zawsze się spodziewa, że Ruth zmieni plany w ostatniej chwili, jakby nie wiedziała, że ona jest nadzwyczaj punktualna i odpowiedzialna. Drugą wiadomość zostawiła jej przyjaciółka Shona, która zwierza się z sercowych problemów z żonatym kochankiem. Trzecia pochodzi od Maksa Greya. Ciekawe.

„Cześć, Ruth. Chcę ci tylko powiedzieć, że pogawędka, którą odbyliśmy, była dla mnie prawdziwą przyjemnością. Właśnie myślałem o tym naszym ciecie. Skoro nie ma głowy, to by mogło świadczyć o kulcie głów. Słyszałaś o wykopaliskach w Lankhills, w Winchester? Na rzymskim cmentarzu znaleziono siedem ciał bez głów, w tym jedno dziecka. Może tutaj

mamy coś podobnego? W każdym razie odezwij się”.

Ruth myśli o tym, jak dziwnie porozumiewają się czasem archeolodzy. „Nasze ciało”. Kości znalezione pod rzymskimi fundamentami stały się „naszym ciałem”, łączącym Ruth i Maksa w dziwny, surrealistyczny sposób. Oboje mają poczucie prawa własności, a nawet pewnej więzi z tym znaleziskiem. Czy to jednak wystarczająca przyczyna, by do niej dzwonić i zostawiać tego rodzaju wiadomość? Czy rzeczywiście potrzebował miło pogawędzić o bezgłowych ciałach, czy raczej, tak teoretycznie, chciał ją znowu usłyszeć?

Wzdycha. To wszystko jest dla niej zbyt skomplikowane. Poza tym ma na głowie inne rzeczy. Jutro musi jechać do Londynu i powiedzieć matce, że jest w ciąży.

– Jak widzisz, rozbudowujemy trzy kluczowe miejsca w sercu Norwich. Starą garbarnię, kino Odeon i opuszczony dom na Woolmarket Street...

– Woolmarket Street? – przerywa mu Whitcliffe. – Czy to nie był dom dziecka?

– Chyba tak – mówi Edward Spens, smarując bułkę masłem. – Jesteś z Norwich, Gerry?

To dużo wyjaśnia, myśli Nelson, gdy Whitcliffe przytakuje. Nelson urodził się w Blackpool i wróciłby tam natychmiast, gdyby nie Michelle i dziewczynki. To żona go namówiła, by przyjął pracę w Norfolk, i w głębi duszy wciąż ma do niej o to pretensje. Córki nie lubią Blackpool: według nich wszyscy tam dziwnie mówią i jedzą kolację o piątej. No i jest im tam za zimno, chociaż miejscowe pannice cały rok potrafią chodzić w krótkich spódniczkach.

Impreza przerodziła się w „bankiet”; pieczoną wieprzowinę podano jako młode prosię. Michelle zostawiła większą część swojej porcji. Z entuzjazmem rozmawia z siedzącym obok niej pajacem o imieniu Leo, który ma na sobie różową koszulę i dziwaczne okulary. Sąsiadka Nelsona, dostojna matrona w niebieskiej satynowej sukni, całkowicie go ignoruje, dlatego on słucha nieustającej paplaniny Edwarda Spensa.

– To firma rodzinna – mówi Spens. – Stworzył ją mój ojciec, Roderick Spens. Właściwie sir Roderick, bo za zasługi dla budownictwa otrzymał tytuł szlachecki. Tato powinien już być na emeryturze, ale nadal codziennie przychodzi do pracy. Próbuje mnie uczyć, jak prowadzić interesy. Jest na przykład przeciwny rozbudowie tego miejsca na Woolmarket Street, a to przecież pierwszorzędna nieruchomość. – W tym miejscu wybucha gromkim śmiechem.

Nelson przygląda mu się w milczeniu. N i e r u c h o m o ś ć.  
Za kogo ten facet się uważa?

– Harry! – Nelson uświadamia sobie, że to do niego zwraca się jego żona, brylująca po drugiej stronie stołu.

– Harry. Leo właśnie opowiadał o rzymskiej osadzie, którą odkopali. Też w okolicy Swaffham. Właśnie mi mówiłam, że mamy przyjaciółkę, która jest archeologiem.

Michelle i Ruth, ku zaskoczeniu Nelsona, od razu przypadły sobie do gustu. Michelle lubi podkreślać intelektualizm przyjaciółki: „Szczerze mówiąc, zupełnie nie dba o wygląd”. Michelle będzie zachwycona, słysząc, że Ruth w ogóle nie zeszczuplała.



– Tak – potwierdza Nelson ostrożnie – pracuje na uniwersytecie.

– Piszę sztukę – oznajmia Leo poważnym tonem – o rzymskim bogu Janusie. To bóg o dwóch twarzach. Patron początków i końców, drzwi i wszelkich przejść, przeszłości i przyszłości.

Janus. Zaraz, zaraz. Nelsonowi z czymś się to kojarzy, lecz spożyte prosię i szampan utrudniają mu myślenie. Ach tak, ten wszechwiedzący kolega Ruth, ten z Uniwersytetu w Sussex. „Janus, bóg drzwi i otworów”.

Wtem Nelson uświadamia sobie coś jeszcze. Jakby ponownie oglądał ten sam film i za drugim razem dostrzegł coś, co było tam cały czas, a on tego nie widział. Obserwuje Ruth idącą w jego stronę: wiatr układa luźną koszulę płasko na jej ciele. Nie schudła. Właściwie chyba nawet przytyła.

Czyżby była w ciąży? Bo jeśli tak, to on może być ojcem.

## ROZDZIAŁ 3

– Jak to jesteś w ciąży? Przecież nawet nie masz męża.

To jedna z tych sytuacji, kiedy Ruth ma ochotę unieść głowę i zawyć. Postanowiła wyznać wszystko rodzicom w niedzielę na popołudniowym spacerze, liczyła, że na łonie natury matka powstrzyma się od scen. Płonne nadzieje.

– Nie trzeba mieć męża, żeby mieć dziecko – odpowiada.

Matka wypręża się niczym struna. Jest dużą kobietą, jak Ruth, lecz raczej postawną niż grubą. Przypomina wyniosłą królową Wiktorię w spodniach M&S.

– Wiem, Ruth. Chodzi o to, że jak dobrze wiesz, Bóg ustanowił małżeństwo w celu prokreacji.

Cóż, mogła się spodziewać, że w którymś momencie zostanie poruszona kwestia Boga. Rodzice Ruth są nowo narodzonymi chrześcijanami, przekonanymi, że dopóki córka także się nie nawróci, grozi jej wieczne potępienie. Akurat w tej chwili ta perspektywa wydaje się lepsza od pobytu w Londynie.

– Nie mam męża – mówi Ruth spokojnie. Za to ojciec dziecka ma żonę, dodaje w myślach. Wie, że ta informacja nie polepszy sprawy.

– Czyje to dzieło?! – pyta ojciec zachrypłym głosem. Ruth

patrzy na niego smutno. Zwykle łatwiej jej się porozumieć z nim niż z matką, ale tym razem zanosi się na to, że za chwilę wpadnie w wiktoriański gniew.

– Wolałabym nie mówić.

– Wolałaby nie mówić! – matka opada na pniak przy ścieżce. – Oj, Ruth, jak mogłaś? – Zaczyna głośno szlochać w małą koronkową chusteczkę. Mijający ich spacerowicze spoglądają na nią z ciekawością. Ruth klęka obok matki, wbrew sobie czuje się winna.

– Mamo, przykro mi, że tak cię to wzburzyło, ale spróbuj spojrzeć na tę sytuację z innej strony. Będiesz miała wnuka albo wnuczkę. Ja będę miała dziecko. Czy to nie są powody do radości?

– Radość z nieślubnego wnuka? – grzmi ojciec. – Oszałałaś?!

Najwyraźniej, myśli Ruth. Widocznie oszałała, skoro choć przez sekundę zakładała, że jej rodzice będą się cieszyć wraz z nią z tej wiadomości. Pogodzą się z tym, że chociaż ich córka nie ma męża, będzie jednak miała dziecko, i to dziecko, nawet jeśli nie planowane, jest szczerze upragnione. Jak bardzo, Ruth nie chce przyznać nawet sama przed sobą. Wie tylko, że w chwili, gdy podejrzenia przybrały konkretną formę cienkiej niebieskiej kreski na teście ciążowym, jej serce podskoczyło ze szczęścia. Poczula się, jakby każdy zawód miłosny i życiowe rozczarowanie, nie wspominając o trudnych przejściach z ostatnich kilku miesięcy, wyblakły, odeszły w niebyt i pozostawiły po sobie jedynie bezkresną błogość.

– Mam nadzieję, że zmienicie zdanie. – Tylko tyle potrafi w tej chwili powiedzieć. Wstaje i pomaga matce się podnieść.

– My nigdy nie zmieniamy zdania, w żadnej sprawie – mówi matka dumnie. – Nie jesteście tacy.

Wiem coś o tym, myśli Ruth. Ponowne narodziny tylko wzmocniły u rodziców i tak silnie rozwinięte przekonanie o własnej nieomyślności. W końcu, skoro Bóg kogoś wybrał, to jak ten ktoś może znowu popełniać błędy? W czymkolwiek. Rodzice nawrócili się, gdy była nastolatką. O wiele za późno jak dla Ruth, choć przez jakiś czas chodziła z nimi do kościoła. Nigdy nie odnalazła Boga, ale też nie miała zamiaru Go szukać.

Ojciec teatralnym gestem wskazuje na zamek Severndroog na horyzoncie.

– Nasze wartości się nie zmieniają. Nie zmieniły się, odkąd wzniesiono ten zamek w średniowieczu.

Ruth nie protestuje, że ten zamek to właściwie rekonstrukcja ani że w średniowieczu najprawdopodobniej aż roiło się od nieślubnych dzieci i niezamężnych matek. Powtarza jedynie:

– Mam nadzieję, że po urodzeniu dziecka zmienicie zdanie.

Żadne z rodziców nie odpowiada, lecz gdy przechodzą przez Avery Hill Road, ojciec chwyta ją za rękę, tak jakby cięża poważnie nadwątlila jej zmysł orientacji. Ten gest dodaje jej otuchy.

Niedzielne popołudnie na przedmieściach King's Lynn: mycie samochodów, spacer z psami, czytanie gazet, przejażdżki rowerowe całymi rodzinami i unoszące się ponad tym wszystkim zapachy z kuchni. Po zjedzeniu obiadu (pieczona jagnięcina i wegetariańska wersja dla Laury) Nelson zapowiada,

że przystrzyże trawnik, Michelle postanawia iść do klubu fitness (jest jedyną kobietą na świecie, która chce iść na siłownię w niedzielę po południu), a Laura stwierdza, że pójdzie z nią, żeby popływać. W rezultacie Nelson zostaje z szesnastoletnią Rebeccą, która natychmiast znika na górce, gdzie nawiązuje łączność z iPodem i komputerem. Jemu to odpowiada. Chce pobyć sam i zająć się prostymi pracami domowymi. Wtedy najlepiej mu się myśli.

Wyjmuje kosiarkę, odkrywa, że brakuje benzyny, przynosi kanister z bagażnika mercedesa, a przy okazji opuszcza sobie drzwi garażu na stopę; naprawia zepsuty kabel sprzęgła i przenosi sznurek na pranie – i cały czas intensywnie myśli. Czy Ruth jest w ciąży? Czy to jego dziecko? Spędzili ze sobą noc, jeszcze w lutym, ale wiedział, że ona spotykała się wtedy też ze swoim byłym chłopakiem, Peterem. Możliwe więc, że to dziecko Petera. A Erik, jej dawny opiekun naukowy? Nelson zawsze uważał, że Ruth i Erika coś łączy. Czy sypiali ze sobą? To zabawne, ale myślał o Ruth jako o kimś, kto istnieje na wyższym poziomie abstrakcji niż większość ludzi. Ta ich wspólna noc wydawała się oderwana od takich przyziemnych pobudek jak pożądanie, choć i ono odegrało swoją rolę. On i Ruth połączyli się jak para istot, które dopiero co wspólnie przeżyły coś strasznego. To się wydawało najzwyczajniej w świecie... słuszne. Tamto zbliżenie – tak zapamiętał je Nelson – było czymś niezwykłym.

Nie wiadomo dlaczego Nelson nabiera nagle przekonania, że to właśnie tej nocy Ruth zaszła w ciążę. To się wydaje niemal przesądzone. No nie – mocno potrząsa kosiarką – myślę

jak autorki durnych artykułów z pism kobiecych. Przecież jej ciąża jest bardzo mało prawdopodobna, na pewno się zabezpieczyła (nie wspominali o tym, w ogóle niewiele rozmawiali). Jeszcze nic nie wiadomo. Może po prostu trochę przybrała na wadze.

– Tato!

Rebecca wychyla się z okna na piętrze. Długie jasne włosy i surowe oblicze sprawiają, że wygląda niczym postać z wiktoriańskiego obrazu przedstawiającego potępioną kobietę. Przez sekundę Nelsonowi się wydaje, że jego córka wie wszystko o Ruth i zaraz powie Michelle...

– Tato, dzwoni Doug. Pyta, czy chcesz iść dzisiaj do pubu.

Nelson przerywa pracę i ciężko dyszy. Zapach koszonej trawy jest zniewalający.

– Dziękuję, kochanie. Powiedz mu, że nie. Wolę spędzić ten wieczór z rodziną.

Rebecca wzrusza ramionami.

– Jak chcesz. Ale mama chyba wybiera się do kina.

Tego samego wieczoru, gdy Nelson i jego córki oglądają film o Jamesie Bondzie (Michelle faktycznie poszła z przyjaciółką do kina), Ruth bezmyślnie wpatruje się w ten sam film na ekranie telewizora w salonie swoich rodziców. Nienawidzi Bonda, uważa, że jest seksistą, rasistą i nieznośnym nudziarzem, ale rodzice oglądają go z przyjemnością, a ona nie ma ochoty się z nimi spierać. Kłótnie o dziecko ciągnęły się przez całe popołudnie. Jak mogła? Kto będzie się nim zajmował, gdy ona pójdzie do pracy? Czy nie słyszała, że dziecko potrzebuje ojca? Co ta biedna mała istota zrobi bez pełnej rodziny, bez Boga?

„Wy będziecie jego rodziną – mówiła Ruth – i będziecie mogli mu opowiadać o Bogu”. Choć ja, dodała w duchu, będę mu przedstawiać własną wersję – że Bóg to wymyślona bajka, jak *Królowna Śnieżka*, tylko okrutniejsza.

Teraz rodzice łaskawie milczą, beztrząsco oglądając Bonda, który walczy ze skąpo odzianą kobietą. Kiedy telefon Ruth zaczyna dzwonić, oboje patrzą na nią z wyrzutem.

Wychodzi do przedpokoju. „Phil” – informuje wyświetlacz. Jej szef. Dyrektor Wydziału Archeologii na Uniwersytecie Północnego Norfolku.

- Cześć, Phil.
- Cześć, Ruth. Nie przeszkadzam?
- Jestem u rodziców.
- Aha... dobrze. Chciałem ci tylko powiedzieć, że na jednym ze stanowisk w terenie znaleziono coś ciekawego.

Uniwersytet zatrudnia archeologów do pracy w terenie, zwykle na placach budowy. Ci archeolodzy zgodnie z przepisami podlegają Philowi i są zmartwieniem jego życia.

- Gdzie?
- Chyba przy Woolmarket Street.
- Co znaleźli? Oczywiście zna już odpowiedź.
- Ludzkie szczątki.

4 czerwca

*Święto Herkulesa Opiekuna*

*Cały dzień tłumaczę Katullusa. Ona mnie rozpraszała, a to było Złe. Ubiegłej nocy znowu słyszałem głosy. Dawniej myślałem, że tracę zmysły, ale teraz wiem, że jestem Wybrany. To wielka odpowiedzialność.*

*Przemawia do mnie nie tylko Pani, lecz cała armia świętych, którzy niegdyś mieszkali w tym miejscu. Męczennicy, którzy oddali życie za Wiarę. Oni też do mnie mówią. To moje ciało. To moja krew.*

*Zemstą za śmierć musi być śmierć, krew za krew. Teraz to rozumiem. Ona nigdy nie zrozumie, ponieważ jest kobietą, a kobiety są Słabe. Wszyscy to wiedzą. Jest zbyt przywiązana do dziecka. To błąd.*

*Wczoraj w nocy znowu złożyłem ofiarę i rezultat był taki jak zawsze. Czekaj. Ale ona rośnie. Już chodzi i wkrótce zacznie mówić. Nie jestem okrutny. Bóg wie, że z własnej woli nikogo bym nie skrzywdził. Lecz rodzina jest najważniejsza. Trzeba zrobić, co jest do zrobienia. Fortes fortuna iuvat\*.*

\* (łac.) Odważnym szczęście sprzyja (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).



## ROZDZIAŁ 4

Kiedy Ruth dociera do Woolmarket Street, jest już popołudnie. W poniedziałek nie ma wykładów, przenocowała więc u rodziców (wciąż ma poranne nudności, wieczorne zresztą też). Matka na śniadanie zrobiła jej owsiankę, bo to podobno pomaga. Ruth dała radę zjeść tylko kilka łyżek, ale doceniła matczyną troskę. Nie wspomiano już więcej o wnuku bękarcie.

Woolmarket Street to jedna z najstarszych ulic w Norwich – stanowi część labiryntu wąskich średniowiecznych uliczek, tu i ówdzie oszpeconych przez nowoczesne biurowce. Po chwili ostrożnego krążenia po jednokierunkowych ulicach, z planem miasta rozłożonym na siedzeniu obok, Ruth dostrzega część muru miejskiego: konstrukcję z krzemienia i kamienia, która wygląda, jakby tu wyrosła, a nie została postawiona. Naprzeciw muru znajduje się potężny dom wiktoriański, oddalony od drogi i ukryty za żelazną bramą. Tablica na bramie informuje, że Spens & Co, buduje w tym miejscu siedemdziesiąt pięć luksusowych apartamentów.

Od strony bramy dom nadal wygląda imponująco. Do fasady z czerwonej cegły prowadzi dostojna, wysadzana drzewami szeroka aleja. Między drzewami Ruth zauważa sklepione

przejścia, wieżyczki i inne dekoracyjne elementy wiktoriańskiego gotyku. Jednak gdy podjeżdża bliżej, dostrzega, że to tylko skorupa. Wszędzie widać koparki i pojemniki na gruz. Zewnętrzne ściany domu wciąż stoją, lecz w środku uwijają się robotnicy w kaskach, którzy pchają taczki po deskach i prowizorycznych mostkach łączących dawne korytarze, salony, kuchnie i spiżarnie.

Ruth parkuje przed domem. W miejscu, gdzie był gazon, teraz znajdują się prowizoryczny barak i przenośna toaleta. Trawę przysłaniają hałdy piasku i cementu, wokół panuje hałas typowy dla placu budowy: szcęk łopat i warkot pracujących maszyn.

Ruth bierze swój zestaw narzędzi i wysiada z auta. Z baraku wychodzi rumiany mężczyzna.

– W czym mogę pomóc?

– Doktor Ruth Galloway – mówi Ruth i wyciąga do niego dłoń. – Jestem z uniwersytetu. Chcę się zobaczyć z archeologami.

Mężczyzna wzdycha, jakby potwierdziły się jego najgorsze przypuszczenia.

– Jak mamy zajmować się pracą, jeśli archeolodzy pałętają się po całym terenie?

Ruth puszcza to mimo uszu.

– Rozumiem, że ekipą archeologów kieruje Ted Cross?

Mężczyzna potakuje ruchem głowy.

– Ted Irlandczyk. Zaraz ktoś go sprowadzi. – Wręcza jej kask, mówiąc: – Musi pani to włożyć. – Po czym znika za drzwiami baraku. Ruth zetknęła się już w swojej pracy z Tedem Irlandczykiem. To potężnie zbudowany mężczyzna, przed pięćdziesiątką, łysy i z licznymi tatuażami. Na pierwszy rzut oka nie ma w nim nic irlandzkiego.

Ted wita ją z uśmiechem, pokazując dwa złote zęby.

– Przyjechała pani zobaczyć szkielet?

– Tak. Phil do mnie zadzwonił.

Ted spluwa, pewnie na wzmiankę o dyrektorze.

– Tędy – mówi.

Prowadzi ją w stronę głównego wejścia do budynku. Oddzielnie stoi imponujący, nieco surrealistyczny, majestatyczny kamienny łuk sklepiony. Gdy pod nim przechodzą, Ruth zwraca uwagę na wyryty w kamieniu napis: „*Omnia mutantur, nihil interit*”. Ruth chodziła do liceum, ale nie uczyła się łaciny. „*Omnia*” chyba znaczy „wszystko”. „*Mutantur*” brzmi jak „zmutowany”, może oznacza więc „zmieniony, przeobrażony”. A reszta? „*Nihil*” ma w sobie coś nieprzyjemnego, ostatecznego, jak w słowie „nihilizm”.

Za łukiem szerokie stopnie prowadzą na wspinały portyk: kolumny, podest i tak dalej. Ruth przechodzi przez kamienny ganek (drzwi zostały zdjęte) i z drugiej strony ściany odkrywa całkowite spustoszenie. Wnętrze domu zniknęło, pozostały jedynie gruzy i ruiny. Tu i ówdzie widać jakieś schody bądź futrynę, wyglądające jak teatralna scenografia albo element innego świata. Gdzieniegdzie Ruth dostrzega fragmenty tapet na nie do końca zburzonych ścianach i pojedyncze meble: ceramiczną wannę, drzwi lodówki, na których nadal tkwią magnesy z zawadiackimi napisami: „Nie musisz być szalony, żeby tu pracować”, „W pracy zespołowej nie ma miejsca na «ja»”.

– Budowa idzie pełną parą – zauważa.

– Aha – Ted uśmiecha się ironicznie. – Edward Spens się spieszy. Nie podoba mu się, że archeolodzy spowalniają mu prace.

- Ten łuk wejściowy robi wrażenie.
- Zdaje się, że ma tu zostać. Będzie charakterystycznym elementem nowego budynku. Spens uważa, że to nada miejscu szyk.
- Co znaczy ten napis?
- Żartuje pani? Chodziłem do szkoły w Bolton. Uwaga, stopień!

Za drzwiami teren gwałtownie się obniża. Po tym, co kiedyś było zapewne hołem wejściowym, pozostał tylko wąski fragment podłogi, wciąż wyłożony czarnymi i białymi płytkami, poobijanymi i wyblakłymi. Od frontu pod samym progiem biegnie wykop. Od razu widać, że to dzieło archeologów. Jego boki są idealnie proste, a głębokość wyznacza biało-czerwona tyczka. Z wykopu spogląda na nich młoda kobieta w kasku.

- To Trace – mówi Ted – z naszego zespołu.

Ruth zna ją z widzenia. Jest sławną postacią wśród uczestników letnich wykopalisk, a poza tym pracuje też w muzeum. To jedna z tych kobiet, przy których czuje się niepewnie – szczupła jak osa, w kaftanie bez rękawów, z wyraźnie zarysowanymi mięśniami. Spod kasku wystają jej ciemnofioletowe włosy.

- Gdzie są kości? – pyta Ruth.

Trace pokazuje odległy koniec ściany wykopu.

- Proszę podejść do głównego wejścia – wyjaśnia Ted.

Pod kamiennym progiem (wciąż na swoim miejscu) i cienką warstwą cementu ziemia została przekopana. Wśród gruzów fundamentów można by się spodziewać cegieł, ale tutaj piasek i kamienie są wymieszane z glebą. Te warstwy zostały naruszone niedawno, a takie naruszenie stratyfikacji nazywane jest –

Ruth po raz pierwszy uświadamia sobie, jak złowieszczo to brzmi – jamą grobową. I jakżeby inaczej, pod tą wymieszaną ziemią leżą kości.

Ruth klęka. Kości ludzkie zauważa natychmiast.

– Wezwaliście policję? – pyta. – Koronera?

– Nie – odpowiada Trace posepnie. – Czekaliśmy na panią.

– I co pani sądzi? – pyta Ted, pochylając się nad jej ramieniem.

– Kości ludzkie. Wyglądają na dziecięce. Trudno określić ich wiek. – Kości pogrzebane niedawno dość łatwo jest datować, ale jeśli grzebane były później, taka analiza wymaga sporo pracy, o czym Ruth już zdążyła się przekonać. Chociaż jama jest dość świeża, kości mogą mieć od pięćdziesięciu do kilkuset (a nawet kilku tysięcy) lat.

Ruth przygląda się przekrojowi fundamentów z kośćmi w bocznej ścianie wykopu. Ułożone są w pozycji embrionalnej. Podnosi wzrok na Teda.

– Nie ma czaszki – mówi.

– Nie ma – potwierdza Ted – zauważyliśmy to.

Nagle Ruth czuje mdłości. Odwraca się od Teda i wymiotuje gwałtownie do rogu wykopu. Trace spogląda na nią z przerażeniem.

Na Tedzie nie robi to wielkiego wrażenia.

– Wszystko w porządku? – pyta. – Może wody?

– Tak, chętnie. – Ruth czuje uderzenia krwi do głowy i wie, że się trzęsie. Dlaczego akurat teraz? Do jutra wszyscy na wydziale będą o tym wiedzieć. Kuca i próbuje wyrównać oddech.

– Proszę. – Ted wrócił ze sponiewieraną butelką wody.

Ruth ostrożnie pociąga łyk i czuje, że żołądek trochę się uspokaja. Musi zachować zimną krew. Oddychać.

– Przepraszam – mówi – chyba coś mi zaszkodziło.

– Żarcie przy drodze – mówi Ted ze zrozumieniem.

– Chyba tak. – Ruth się prostuje. – No, zadzwońmy po policję.

– Mam zadzwonić na policję, pod dziewięć dziewięć dziewięć? – pyta Trace, wyraźnie ożywiona.

– Ja mam numer – oznajmia Ruth i wyjmuje komórkę.

– Ruth! – słyszy zdziwiony głos po drugiej stronie. – Co się dzieje?

– Cześć, Nelson, znaleźliśmy kości. Chyba powinieneś tu przyjechać.

Kiedy zjawia się Nelson, budowlanców już nie ma; został tylko bardzo poirytowany kierownik budowy.

– Edward Spens życzy sobie, żeby plac został oczyszczony do końca tygodnia – powtarza ciągle.

– Na pewno nie chciałby przeszkadzać policji w śledztwie – odpowiada Ruth oschle. Kierownik nie wygląda na przekonanego.

Ruth słyszy, jak mercedes Nelsona hamuje z piskiem na podjeździe. Nie jest pewna swoich uczuć. Lubi Nelsona, nawet więcej niż lubi, ale wie, że gdy jej ciąża stanie się widoczna, ich stosunki bardzo się skomplikują. Na razie jeszcze przez kilka tygodni nie będzie niczego podejrzewał. Na szczęście zawsze nosiła luźne ubrania.

Wreszcie Nelson pojawia się w obramowaniu wejścia. U jego boku stoi policjant o nazwisku Clough, którego Ruth zna z widzenia. Nelson rozmawia z nim przez chwilę, po czym mija

wąskie przejście i swobodnie wskakuje do rowu. Właśnie takim zapamiętała go Ruth: zawsze w pośpiechu, gotowy zająć się następną sprawą. Wie jednak, że prowadząc śledztwo, potrafi też być cierpliwy jak archeolog.

– Kto tu rządzi? – zadaje pierwsze pytanie.

„Ja”, ma ochotę powiedzieć Ruth, lecz uprzedza ją kierownik budowy.

– Derek Andrews – przedstawia się.

Nelson chrząka i nie zatrzymując na nim wzroku, spogląda w stronę Ruth.

– Gdzie są kości?

– Tutaj.

Czekając na jego przyjazd, ona, Ted i Trace odsłoniли więcej kości i już zdążyła je sfotografować, używając tyczki mierniczej jako skali porównawczej. Teraz szkielet sterczy jak makabryczna mozaika. Nelson kuca i delikatnie dotyka koniuszkiem palca jednej z kości.

– Jesteś pewna, że są ludzkie?

– Raczej tak – odpowiada. – Możliwe, że są tu też zwierzęce, ale chyba widzę kości piszczelową i strzałkową.

– Masz zamiar je wyjąć?

– Chcę najpierw odsłonić cały szkielet – wyjaśnia Ruth. – Pamiętaj, co mówiłam na rzymskim cmentarzu o kontekście?

Nelson się prostuje.

– Skąd wiadomo, że to nie są kości z okresu rzymskiego? Albo z epoki kamiennej, tak jak tamte?

– Z epoki żelaza – poprawia go Ruth przez zaciśnięte zęby. – Tego nie wiemy na pewno – ciągnie chłodno – ale

grób wygląda na dość świeży. Widzisz te linie przecinające warstwy? Domyślam się, że ciało zostało tu pogrzebane, gdy budowano ściany.

– To znaczy kiedy? – pyta Nelson.

– Dom wygląda na wiktoriański. Czyli około stu pięćdziesięciu lat temu.

– I to ma być niedawno?

– Co było tutaj przedtem? – pyta Clough.

– Dom dziecka – odpowiada Nelson. – Prowadziło go Zgromadzenie Sióstr Najświętszego Serca Jezusowego.

Clough gwałtownie wciąga powietrze.

– Co jest? – pyta Nelson z irytacją.

– No... to znaczy, że prowadziły go zakonnice, tak? – tłumaczy Clough. – A wie pan, jakie one są. To mógł być jakiś biedny dzieciak, którego zabiły.

– Nie, nie wiem, jakie one są – mówi Nelson, pochmurniejąc. – A pan, sierżancie, lepiej niech nie wyciąga pochopnych wniosków.

– Uważamy, że w tym miejscu był średniowieczny cmentarz – wtrąca Ted. – Dlatego tutaj kopujemy. Archeolodzy z tego rejonu prosili o przeprowadzenie badań wyprzedzających, zanim rozpocznie się budowa.

– Edward Spens się wściekł – wtrąca Derek Andrews. – Twierdzi, że kosztujecie go tysiące funtów dziennie.

– Cóż, nam nikt nie płaci w tysiącach – zauważa Trace z oburzeniem. – Każdy pracownik budowlany zarabia tutaj więcej niż my.

Nelson pozostawia to bez komentarza i zwraca się do Ruth.

– Czy te kości mogą być średniowieczne?



– To możliwe, ale kontekst wygląda na współczesny. Oczywiście, mogą to być średniowieczne kości, które pogrzebano stosunkowo niedawno. Sądzę jednak, że to mało prawdopodobne. Szkielet wydaje się nietknięty, jakby go zakopano niedługo po śmierci.

– W takim razie – mówi Nelson stanowczym tonem, strzepując pył ze spodni – musimy ogrodzić teren aż do skończenia waszych badań. – Podnosi dłoń. – I nie chcę słyszeć, co ten cholerny Edward Spens o tym myśli. Teraz to sprawa policji. Dobrze zrobiłaś, Ruth, że zadzwoniłaś do mnie, a nie na miejscowy posterunek.

Ruth wie, że Nelson stoi na czele czegoś, co się nazywa jednostką do spraw ciężkich przestępstw, i nie lubi, gdy „mundurowi” mu przeszkadzają. Czuje się zawstydzona, że jego pochwała sprawiła jej taką przyjemność. Nelson zwraca się nadal do niej, ignorując Trace, którą to wyraźnie drażni.

– Ile czasu potrzebujesz?

– Kilka dni, co najmniej. Musimy sprawdzić, czy nie ma więcej kości. No i brakuje głowy.

– Głowy?

– Tak, wygląda na to, że szkieletowi brakuje czaszki. Może być pogrzebana gdzieś indziej na tym terenie.

– Czy to jest dziecko? – pyta Nelson. – Ten szkielet?

– Chyba tak. Będziemy w stanie powiedzieć więcej, gdy przebadamy kości. Te dziecięce mają chrząstkę nasadową, która z wiekiem kostnieje. Oczywiście – dodaje, widząc mętny wzrok Nelsona – najlepszym sposobem określenia wieku jest badanie czaszki.

- Dlatego że tam są zęby?
- Tak, i ze względu na jej rozwój.
- Potrafisz określić płeć?
- To bardzo trudne, jeśli szkielet jeszcze nie osiągnął dojrzałości. Chociaż ostatnio był w Sussex przypadek, że archeolodzy zdołali ustalić płeć szkieletów płodów za pomocą analizy DNA. Oczywiście u starszych czaszka powinna nam wiele powiedzieć.
- Dlaczego?
- Łuk brwiowy jest wydatniejszy u mężczyzn po okresie dojrzewania.

Nelson uśmiecha się słabo.

- Czyli wszyscy jesteście neandertalczykami?
- Człowiek neandertalski wymarł – stwierdza Ruth. – Ale mniej więcej masz rację.
- OK. – Nelson obraca się w stronę Clougha. – Musimy tu ściągnąć chłopców od badania miejsca zbrodni.

W ciągu ostatnich kilku minut Derek Andrews sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał eksplodować.

- Co ja powiem panu Spensowi?! – odzywa się w końcu.
- Niech mu pan powie, że to jest śledztwo w sprawie zabójstwa – mówi Nelson, wychodząc z wykopu.

Andrews mruczy pod nosem coś niezrozumiałego.

Ruth idzie za Nelsonem po nasypie. Wciąż ma lekkie mdłości i kręci jej się w głowie. Czarno-biała szachownica terakoty nieprzyjemnie migoce przed oczami. Zatrzymuje się i ciężko oddycha. Nelson przygląda jej się z uwagą.

- Nic ci nie jest?
- Nie, nic – odpowiada obojętnym tonem, zmuszając się

do tego, żeby się wyprostować. – A czemu miałyby mi coś być?

– To ty mi powiedz.

Zapada niezręczna cisza. Ruth widzi, że Clough patrzy na nich z ciekawioną.

– Wszystko w porządku – oświadcza Ruth. – To mój zawód, nie zapominaj.

Nelson wpatruje się w nią przez kolejną długą minutę, marszcząc czoło.

– Dasz sobie radę – mówi w końcu i bez słowa pożegnania rusza w stronę samochodu.

## ROZDZIAŁ 5

Ruth jedzie powoli z powrotem obwodnicą Norwich. Już nie odczuwa nudności; zastąpił je głód, co od kilku tygodni często jej się zdarza. Zatrzymuje się przy stacji benzynowej, kupuje bagietkę i wodę mineralną. Czyste węglowodany – tego jej trzeba. I wody. Jedzie dalej, wsuwając kawałki pieczywa do ust. Już widzi, że przybędzie jej kilkanaście kilogramów. W zasadzie to jedna z zalet bycia w ciąży: nie trzeba się martwić o zachowanie sylwetki. Ruth już w szkole miała nadwagę. Ileż to lat życia spędziła, stosując diety, obliczając wskaźnik BMI, wchodząc na wagę w taki sposób, aby pokazała o kilogram mniej... Należała do klubów anonimowych grubasów i klubów wspólnego odchudzania; przez kilka długich tygodni jadła zupę kapuścianą. W ostatnich latach zrezygnowała z diet, co w żaden sposób nie wpłynęło na jej wagę, lecz sprawiło, że poczuła się jeśli nie szczęśliwsza, to przynajmniej pogodzona z życiem. Nie będzie jedną z tych kobiet, które twierdzą, że mogą jeść wszystko i nie tyją (taki mam metabolizm; chciałabym mieć krągłości tu i tam). Nigdy nie będzie dobrze wyglądała w bikini ani w podkoszulku bez rękawów. Ale w zasadzie nie zależy jej na tym. Nosi bezpłciowe, luźne ubrania i patrzy w lustro tylko po to, by sprawdzić, czy nie ma szpinaku między zębami. Teraz

jednak – hurra! – w końcu znalazła usprawiedliwienie dla swojej nadwagi. Może pić zwykłą colę, nie słysząc szeptów wokół: „Widziałas, jaki nosi rozmiar? Powinna pić dietetyczną”.

Czy Nelson coś zauważył? Chyba nie. Był dość szorstki, ale to u niego normalne, gdy prowadzi śledztwo. I zdał się na nią, to właśnie do niej zwrócił się z pytaniem, ile czasu potrzebuje, narażając się tym Trace i kierownikowi robót. Szkoda, że dopadły ją mdłości. Ted Irlandczyk był miły, ale Trace na pewno rozpowie o tym wszystkim znajomym archeologom. Czy to przez podróż samochodem i wspinanie się po wykopach? A może to ten szkielet, ta embrionalna pozycja, myśl o głowie oddzielonej od ciała? Przypomniała sobie, co Max mówił o rytualnych obrzędach Celtów, którzy byli łowcami głów. Wojownicy na polu bitwy odcinali wrogom głowy i zawieszali je na końskich szyjach. Po bitwie prezentowano je przy wejściu do świątyni. Odcięta głowa to częsty motyw w sztuce celtyckiej.

Czy ciało z placu budowy pochodzi z czasów celtyckich albo rzymskich? A może ze średniowiecza, jako pozostałość po dawno już nie istniejącym cmentarzu przykościelnym? Może, ale Ruth wciąż uważa, że zostało pochowane dość niedawno, w ciągu ostatnich dwustu lat. Przemieszczenie ziemi pod drzwiami świadczy o tym, że stało się to w momencie ich wstawiania. Jak długo istniał wtedy dom dziecka? Będzie musiała poprosić Nelsona, żeby sprawdził dokumentację budynku i historię tytułów własności.

Mijając drogę do Swaffham, skręca w nią raptownie, czym wprawia w złość właściciela jadącego za nią auta, który teraz coś krzyczy w jej kierunku. Zatrzyma się przy rzymskim

stanowisku i porozmawia z Maksem. Pomijając wszystko inne, dobrze jej zrobi trochę świeżego powietrza po całym dniu w samochodzie. Deszcz już ustał, powietrze na wzgórzu będzie rześkie i czyste.

Ku swemu zaskoczeniu u podnóża trawiastego nasypu zauważa autokar. Kierowca siedzi wewnątrz: je kanapkę i czyta „The Sun”. Ruth parkuje za autobusem i widzi grupę zbliżających się starszych ludzi. Są ubrani w sportowe spodnie i kurtki przeciwdeszczowe, niektórzy niosą przewodniki. Część z nich wspiera się na laskach i ciężko oddycha – stok jest stromy – inni zaś biegną jak nastolatki. Uśmiechają się i machają do Ruth, a ona do nich, choć nie ma pojęcia, kim są. Zresztą wydają się sympatyczni. Z tyłu grupy Ruth dostrzega Maksa, który podaje ramię postawnej siwowłosej kobiecie. Kiedy wszyscy siedzą już w autokarze, kierowca odkłada gazetę i koła zaczynają się obracać w błocie. Max długo macha energicznie ręką na pożegnanie.

– Cześć!

Max podskakuje.

– Ruth. Skąd się tu wzięłaś?

– Co to za goście?

– Stowarzyszenie Konserwatystów – wyjaśnia z grymasem na twarzy. Ruth zaczyna żałować, że do nich machała. – Mieliśmy tu już kilka grup. Wcześniej byli skauci.

– O Jezu, dwie organizacje paramilitarne jednego dnia.

– Mnie najbardziej przerażają staruszkowie. Widziałaś tę kobietę, która szła obok mnie? Wyglądała jak cesarz Wespazjan.

Ruth się śmieje.

– Tak wpadłam, żeby się rozejrzeć, ale jeśli masz dość na dziś...

– Nie, nie. – Jego szybki protest sprawia jej przyjemność.  
– Z chęcią cię oprowadzę. Właściwie to znaleźliśmy dzisiaj coś ciekawego.

Wspinają się na wzgórze. Ruth usiłuje ukryć, że ciężko jej oddychać. Jak tak dalej pójdzie, to w dziewiątym miesiącu nie będzie w stanie się ruszać. Problem w tym, że nigdy nie była typem sportowca.

Na szczycie Max kieruje się w stronę najdalszego wykopu. Ona powoli idzie za nim. Widzi, że choć jeszcze nie przybyli jego studenci, Max nie próżnuje. Są już trzy wykopy rozchodzące się od centrum jak szprychy w kole. Ten najdalszy jest najgłębszy i gdy Ruth się do niego zbliża, dostrzega poszczególne warstwy: glebę na wierzchu, głębiej charakterystyczną kredę świadczącą o tym, że kiedyś, tysiące lat temu, cały ten teren znajdował się pod wodą. W warstwę kredy wrzyna się mur, mieszanka krzemienia i zaprawy murarskiej, i cienka linia wyraźnie rzymskich cegieł. A pod nimi srebrnoszara kula, słabo widoczna w wieczornym słońcu.

– Czaszka?

– Tak. Na razie nie znalazłem nic więcej.

– Sądysz, że to mogła być ofiara zakładzinowa?

– Tak. – Max wskazuje na cegły. – Myślę, że tutaj mógł być kąpielarnia, a to może mieć znaczenie. Pamiętasz te ciała w Springfield? Były pogrzebane we wszystkich czterech rogach świątyni.

– To by znaczyło, że mamy do czynienia z miejscem kultu? – Ruth rozgląda się okiem archeologa po wykopie ze

starannie uformowanymi ścianami i od razu widzi tu kamienną świątynię z posągami i ołtarzem oraz prawie czuje woń kadzidła.

– Możliwe. Odkopaliśmy trochę skorup. Prawdopodobnie amfory. Ale mógł to też być dom mieszkalny.

Ruth wie, że we wszystkich rzymskich domach znajdowała się przestrzeń poświęcona bogom domostwa. Głowa rodziny – *pater familias* – był właściwie najwyższym kapłanem tej wspólnoty. A w palenisku, w symbolicznym centrum domu, płonął ogień poświęcony bogini ogniska domowego. Jak się nazywała?

– Westa – podpowiada Max. – Jak nazwa zapalek. Grecy nazywali ją Hestia. Kobiety pilnowały, żeby ogień nie zgasł, i składały jej ofiary.

– Zdaje się, że znajdowano też ciała pogrzebane wewnątrz rzymskich domów? – dorzuca Ruth.

– W okresie wczesnorzymskim niejednokrotnie grzebano zmarłych członków rodziny wewnątrz domu – potwierdza Max. – Często przy takich grobowcach znajdujemy litery DM. *Dii Manes...* duchy zmarłych albo dobrych.

Ruth wzdyga się, myśląc o maleńkim ciałku pod drzwiami na Woolmarket Street. Dobrych. Dzieci są dobre, jakkolwiek by na to patrzeć, i niewinne. To najwyraźniej nie powstrzymuje jednak dorosłych przed wyrządzeniem im straszliwych krzywd.

– Znajdowano też ciała dzieci, prawda?

– Tak. W Cambridge w latach siedemdziesiątych odkryto dwanaścioro niemowląt pogrzebanych pod rzymskim budynkiem. Nie wiemy, czy zmarły śmiercią naturalną, a może



nawet urodziły się martwe, czy zostały złożone w ofierze.

– Właśnie znaleziono ciało na stanowisku archeologicznym na placu budowy w Norwich – mówi Ruth powoli. – Myślę, że jest bez głowy.

Max spogląda na nią z zainteresowaniem.

– Współczesne?

– Nie wiem. Nie przeprowadziliśmy jeszcze datowania węglowego. Ale jama grobowa wygląda na całkiem świeżą.

– Kości mimo to mogą być stare.

– Racja – zgadza się Ruth. – Ale szkielet wygląda na nietknięty. Podejrzewam, że pogrzebano go, gdy budowano wejście.

– Kiedy to było?

– Dom jest wiktoriański, ale wejście i portyk mogły pochodzić z okresu późniejszego. Kiedyś był tam dom dziecka.

Myśl o domu dziecka przypomina jej o czymś jeszcze. Wyjmuje z kieszeni notes.

– Wiesz, co to znaczy? – pyta. – To napis z tego miejsca.

Max patrzy na tekst i na chwilę jego twarz się zasępia. Ruth zastanawia się, czy go nie uraziła i dodaje dość nerwowo:

– Ja tego nie rozumiem. W mojej szkole nie uczono łaciny.

– „*Omnia mutantur, nihil interit*” – czyta Max powoli. – To znaczy: „Wszystko się zmienia, nic nie ginie”.

– O... dziękuję. Czyli... miałeś w szkole łacinę? – Właściwie wygląda na takiego, który chodził do elitarnej szkoły prywatnej. Może przez te kręcone włosy. Albo range rovera...

Max uśmiecha się z naturalnym wdziękiem.

- Nie, ale przez te lata sporo się nauczyłem. W końcu specjalizuję się w Rzymianach.
- „Wszystko się zmienia, nic nie ginie” – powtarza Ruth.
- Cóż to za motto?
- Idealne dla archeologów – mówi Max, gramoląc się z wykopu.

Nelson wraca na komisariat, starając się nie zwracać uwagi na Clougha, który hałaśliwie obżera się chipsami. Podczas pracy w terenie Clough ciągle coś je: chipsy, cukierki, dania na wynos. Dziwne, że gabarytami nie przypomina dużego domu, myśli Nelson z goryczą. Przecież Clough jest chudszy od niego. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

– Myśli pan, że to zabójstwo? – pyta Clough, chrupiąc głośno.

Zapach sera i cebuli sprawia, że Nelsonowi robi się niedobrze. Może mam poranne nudności, myśli. Za każdym razem, gdy Michelle była w ciąży, on odczuwał bóle psychosomatyczne. Ale Ruth może wcale nie być w ciąży, a nawet jeśli jest, to dziecko wcale nie musi być jego.

– Nie mam pojęcia – mówi krótko. – A pan też nie powinien spekulować.

– No, szefie, przecież pan wie, jacy oni są, te zakonnice czy księża. Czytałem kiedyś taką książkę... to się działo w Irlandii... co też robili tym biednym dzieciakom!

Nelson milczy, myśląc o własnej edukacji w szkołach katolickich. Księża byli surowi, owszem, ale sprawiedliwi. A on nie był aniołkiem i chyba dostawał to, na co zasługiwał. Pamięta dyrektora, ojca Damiana – drobnego, niepozornego mężczyznę. Matka Nelsona zawsze go chwaliła i niezmiennie

przypisywała mu nieomyślność: „Ojciec Damian uważa, ojciec Damian mówi...”. Nie pamiętał, by ojciec Damian kiedykolwiek wyraził swoje zdanie na jakiś temat, chyba że w sprawie koni. Grał na wyścigach.

– Te książki to na ogół bzdury – mówi Nelson, zbyt szybko wchodząc w zakręt. – Pisarze wymyślają niestworzone rzeczy, żeby zarobić forszę.

– Tak czy inaczej zakonnice budzą grozę – ciągnie Clough niezrażony. – Te ich czarne habity, welony, to wszystko takie upiorne.

– Moja ciotka jest zakonnica – mówi Nelson, żeby go uciszyć. Właściwie Margaret Mary ze Zgromadzenia Sióstr Adoraterek Krwi Chrystusa jest jego cioteczną babką, siostrą babci. Nie widział jej od lat.

– Żartuje pan! To pan jest katolikiem?

– Tak – oświadcza Nelson, choć nie był w kościele od Pierwszej Komunii Świętej Rebecki przed ośmiu laty.

– O kurde, szefie, nie myślałem, że jest pan pobożny.

– Nie jestem – oświadcza Nelson. – Nie trzeba być pobożnym, żeby być katolikiem.

## ROZDZIAŁ 6

Ruth i Max siedzą w barze Phoenix. Ruth znowu jest okropnie głodna. Rozerwała paczkę chipsów (zwykłych) i zmusza się do udawania, że chętnie podzieli się nimi z Makssem.

– Nie, dziękuję – Max macha ręką i pociąga łyk piwa. Ruth z radości wkłada do ust aż cztery chipsy.

– Chciałbym, żebyś jeszcze raz rzuciła okiem na te kości, gdy już je wykopiemy – mówi Max. – To możliwe?

– Oczywiście – odpowiada Ruth, rumieniąc się i chrupiąc głośno.

– W końcu to twoja specjalność, prawda?

Ruth potwierdza. Stara się przy tym zaistnieć jako ekspert, a nie uczestnik zawodów w jedzeniu chipsów.

– Dobrze by było się dowiedzieć, jak i dlaczego ciało pozbawiono głowy – tłumaczy Max. – Czy to się stało przed śmiercią, czy już po.

– Myślisz, że to może być świadectwo kultu głów? – pyta Ruth.

– Możliwe. Kult głów jest bardziej celtycki niż rzymski, ale występował też wśród Rzymian. W średniowieczu głowy często konserwowano jako święte relikwie. Pomyśl o świętym Hugonie z Lincoln. Odcięli mu głowę, żeby mogła sama czynić

cuda. Tak samo święty Fremund. Według legendy widziano go, jak mył swoją odciętą głowę w źródle. Oczywiście później to źródło miało cudowne właściwości.

W głosie Maksa słychać zainteresowanie, nawet rozbawienie, ale Ruth nie ma czasu na cuda. Jej rodzice, rzecz jasna, gardzą wszystkim, co dotyczy relikwii i relikwiarzy, widząc w nich grzeszne praktyki papieskie. Ruth myśli o domu dziecka i reakcji Nelsona na wzmiankę o zakonnicach. Wie, że był wychowywany w duchu katolickim. Myśli o Cathbadzie, swoim przyjaciolem i od czasu do czasu druidzie. Jemu to wszystko by się podobało.

– Uważa się, że w miejscu stanowiska w Norwich stał średniowieczny kościół – mówi Ruth. – Głównie z tego powodu znaleźli się tam archeolodzy.

– Wiesz, jakie jest Norwich – w głosie Maksa wciąż po-brzmiewa rozbawienie – kościół na każdym rogu.

– Kościół na każdy tydzień w roku...

– I na każdy dzień inny bar – podsumowuje Max.

Oboje się śmieją. Nie wiadomo dlaczego Ruth czuje ulgę, jakby zeszedli z niebezpiecznego tematu. Spoglądają na siebie i ona wie, że się rumieni. Wtem urok chwili pryska, gdy z jej żołądka wydobywa się głośnie burczenie.

– Może coś zjesz? – proponuje Max. – Mają tu całkiem niezłe jedzenie.

Ruth przytakuje z zapalem.

Gdy Ruth wraca na bagna, jest już niemal noc. Jedzie powoli; po obu stronach drogi ciągną się rowy i wystarczy jeden fałszywy ruch, żeby pochłonęły ją ciemności. Nicość. Zniknął płaski, bagnisty teren. Światła reflektorów są jedynymi na

przeźrzeni kilometrów. Czy reszta świata przestała istnieć? Chwilami na to wygląda. Radio 4 szumi łagodnie.

Dom jest ciemny, lecz gdy Ruth wchodzi na ścieżkę, zaniedbany ogród zostaje nagle zalany ostrym białym światłem alarmowym. Nelson nalegał na jego zamontowanie po sprawie Lucy Downey. Ruth nie znosi tego mechanizmu – często ją budzi, gdy lis przebiegnie przez ogród. Nie przeszkadza jej ciemność, natomiast ten upiorny blask bywa przerażający.

Dzięki Bogu Krzemyk szybko wybiega jej na powitanie i głośno mruczy. Odkąd zdechł jej drugi kot, Skierka, Ruth odczuwa dziwny niepokój, gdy nie widzi Krzemyka zaraz po wejściu do domu. Co on zrobi, gdy będzie musiał dzielić się mną z dzieckiem?, myśli Ruth, nakładając kotu karmę. Samo wyobrażenie obecności dziecka w tym domu wydaje się nierealne. Rozum mówi jej, że jest w ciąży i za mniej więcej sześć miesięcy będzie matką. Ona wciąż łapie się jednak na tym, że zastanawia się, gdzie spędzić przyszłe wakacje albo czy zdoła wziąć urlop naukowy i wyjechać na wykopaliska na Wyspy Dziewicze. Będę już wtedy miała dziecko, tłumaczy sobie, lecz jej wyobraźnia tego nie ogarnia. Już sama ciąża jest dla niej wystarczająco niezwykłym doświadczeniem.

Miała nadzieję, że poinformowanie rodziców nada tej sprawie bardziej rzeczywisty, konkretny wymiar, lecz ich melodramatyczna reakcja jeszcze bardziej wszystko odrealniła. Czy ojciec naprawdę powiedział: „Zabiję drania”? Chyba nie. Czy matka naprawdę szlochała i mówiła, że spełniły się jej najgorsze obawy? Czy naprawdę oświadczyła, że Ruth żyje niemoralnie i dostała to, na co zasłużyła? Takie zdania padają

w filmach, a nie w prawdziwym życiu. Jej rodzice, regularnie chodzący do kościoła, są przyzwyczajeni do rozmów o śmierci, zniszczeniu i karze za grzechy. Ona natomiast wierzy w suche, naukowo potwierdzone fakty i traci pewność siebie w starciu z tak emocjonalnie nacechowanym językiem.

Niebawem będzie musiała powiedzieć Philowi. Nie chce, żeby ludzie w pracy snuli domysły, a jest przekonana, że Trace rozpowie wszystkim o tych wymiotach w wykopie. Phil przyjmie to jak należy. To nowoczesny mężczyzna – zawsze się chwalił, że zmieniał pieluchy i pomaga w domu. Co prawda romans z jej koleżanką Shoną nie bardzo pasuje do tego obrazu idealnego męża i ojca, ale Ruth teoretycznie nic o tym nie wie. Powie Philowi i załatwi formalności związane z urlopem macierzyńskim. Może wtedy zacznie czuć, że naprawdę będzie miała dziecko.

Znowu jest głodna, szuka więc w szufladach jakichś ciastek. Następnie siada przy biurku i sprawdza e-maile. Przesuwa kursorem wiadomości od studentów z prośbą o przedłużenie terminu składania prac, niby-zabawne kawały przysłane przez kolegę z wydziału chemii, nowe harmonogramy na przyszłe semestry. Aż nie chce się wierzyć, że rok akademicki już się kończy.

Właśnie ma zamiar usunąć kolejną wiadomość z wydziału chemii, gdy dostrzega nazwisko nadawcy:

„Od: Michael Malone

Data: 19 maja 2008 17:30

Do: Ruth Galloway

Temat: Imbolc”.

Michael Malone, znany też jako Cathbad, czasem druid, zatrudniony na stanowisku asystenta w laboratorium na wydziale chemii. Czy to nie dziwne, że właśnie dzisiaj o nim myślała, siedząc w pubie z Maksym? Chociaż... gdyby się tak zastanowić... Cathbad ma w zwyczaju pojawiać się wtedy, kiedy jest potrzebny. On sam powiedziałby, że to jego szósty zmysł, niezwykła wrażliwość na otaczający go świat. Ruth woli myśleć, że to zbieg okoliczności. Jeśli o nią chodzi, nie wie, co sądzić na temat szóstego zmysłu Cathbada. Odczytuje wiadomość:

„Rozpal ogień, by świętować Imbolc, celtyckie święto nadejścia wiosny. Dołącz do nas na plaży przy Słonych Błotach w piątek 23 maja o szóstej. Rozpal ognisko ku czci Brigid, bogini świętych źródeł, świętego ognia i uzdrawiania”.

Niżej, już nie tak górnołotnym językiem, Cathbad dopisał:

„Imbolc tradycyjnie obchodzi się 2 lutego, ale pogoda była wtedy taka brzydka, że postanowiłem poczekać. Nie sądzę, żeby Brigid miała coś przeciwko temu! Przyjdź, Ruth”.

Na zakończenie przytoczył galijską strofę, do której uprzejmie dołączył tłumaczenie:

*„Thig an nathair as an toll*

*La donn Bride,*

*Ged robh tri traighean dh ' an t-sneachd*

*Air leachd an lair.*

(Gdy brązowy Dzień Bride wstanie

Wąż opuści swoją jamę,

Chociaż gruba warstwa śniegu

Jeszcze powinna zalegać”).



Ruth dość długo wpatruje się w te słowa. Z jednej strony to cały Cathbad, który robi, co może, by jakoś połączyć celtycki mistycyzm z okazją do pijatyki i tańców wokół ogniska. Z drugiej... najeżdża kursorem na słowa „bogini świętych źródeł”. Dziwne, wręcz niesamowite wydaje się to, że ten e-mail przyszedł akurat po rozmowie z Maksem. Zastanawia się nad określeniem „święte źródła”. Brigid to zdecydowanie pogańska bogini – w jaki sposób jej źródła były święte? I o co chodzi z tym świętym ogniem? Czy Brigid to kolejna bogini ognia? „Święty” – to język Kościoła, ale ona wie, że w obchodach na plaży przy Słonych Błotach nie będzie nic chrześcijańskiego.

Spontanicznie wpisuje w przeglądarkę „św. Brygida”. Natychmiast pojawia się informacja z Wikipedii: „Brygida jest jedną ze świętych patronek Irlandii, wraz z Patrykiem i Kolumba. Jej święto jest obchodzone pierwszego lutego”.

Imbolc, według Cathbada, zwykle odbywa się 2 lutego. Czy święta Brygida (zakonnica, jak się okazuje) ma coś wspólnego z tym wcześniejszym, pogańskim świętem? Czyta dalej. Brygida założyła klasztor w Kildare, czasem nazywany kościołem dębu – od wielkiego dębu, który rósł przed jej celą. Ruth wie, że dąb ma wielkie znaczenie w mitologii nordyckiej i celtyckiej. Nawet słowo „druid” pochodzi od celtyckiego „drew”, oznaczającego dąb.

Inna historia wiąże się z krzyżem św. Brygidy. Okazuje się, że Brygida zrobiła krzyż z wikliny i położyła go obok umierającego mężczyzny, żeby go nawrócić (bardziej by mu pomogła, wzywając doktora, myśli Ruth). W każdym razie zgodnie z tradycją w dniu świętej Brygidy zawsze wykonuje się nowy krzyż, a stary zostaje spalony, aby dom był bezpieczny od

ognia. Najwyraźniej między pogańskimi ogniskami Brigid a płonąącym krzyżem istnieje cienka granica.

Maksa by to zainteresowało, myśli Ruth. Może powinna go zaprosić na te obchody Imbolc organizowane przez Cathbada? Przecież mówił, że chce zobaczyć Słone Błota. No i z perspektywy archeologa to ciekawy temat. Dziesięć lat temu Erik, promotor Ruth, odkrył drewniany krąg z epoki brązu na plaży w okolicy Słonych Błot. Właśnie tam Ruth poznała Cathbada. Był jednym z druidów, którzy walczyli o to, by nie przenosić drewnianych kłoców z kręgu do muzeum. Mimo poparcia Erika druidzi przegrali i obecnie po drewnianym kręgu pozostał tylko zarys w postaci poczerńiałych śladów na ziemi.

Ma adres Maksa. Wyśle mu zaproszenie na Imbolc. Cathbad na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu. Druidzi nie przykładają wielkiej wagi do liczby gości ani rozkładu miejsc przy stole. No i ucieszy się z okazji do nawrócenia kolejnego naukowca na „starą wiarę”. Na wspomnienie twarzy Maksa, gdy mówił o świętych Hugonie i Fremundzie, Ruth myśli, że on może być kryptochrześcijaninem. To jednak nie zniechęci Cathbada. Jest otwarty na wszystkie formy rytuałów, choć zraża do siebie pobożnych katolików, nazywając Jezusa wielkim szamanem.

Ruth zaczyna pisać, gdy nagle oślepia ją światło. Po chwili zdaje sobie sprawę, że to jej oświecenie alarmowe. Podchodzi do okna i wygląda na ogród, który jest teraz zalany blaskiem – każde źdźbło trawy wydaje się białe na czarnym tle. Nie widać jednak żywej duszy.

8 czerwca

*Dzień poświęcony Weście*

*Tego dnia należy złożyć w ofierze Hekate dziewięć czarnych szczeniąt. Martwiło mnie to, ponieważ z powodu astmy nie mam ani jednego szczeniaka. A lubię robić to, co należy. W końcu zabiłem kota. Nie byłem tym zachwycony, lubię bowiem zwierzęta. On był jednak stary. Wymizerowany czarny kot, który zwykle wylegiwał się na słońcu przed moim oknem. Chyba to kot jakiejś staruszki z przytułku dla ubogich. W każdym razie wczoraj, kiedy domus był pusty, wymknąłem się i podciąłem mu gardło. Piszczał i drapał, i dopiero wtedy się zorientowałem, że powinienem go najpierw uderzyć w głowę. Ale cóż, tamdiu discendum est, quamdiu vivas. Uczymy się całe życie. Dogoniłem go w krzakach, złapałem za ogon i dokończyłem dzieła. Później odrąbałem mu głowę. To było trudne, ale znalazłem w szopie siekiere, która wspaniale się do tego nadawała. Przyda się jeszcze później, toteż odłożyłem ją na miejsce. Krew lała się strumieniami. Było jej stanowczo za dużo. Przyniosłem wiadro wody i umyłem ścieżkę, a potem zakopałem kota pod krzakiem wawrzynu. Po tym wszystkim byłem tak wyczerpany, że musiałem się położyć. Mam nadzieję, że Hekate jest zadowolona.*

## ROZDZIAŁ 7

Nelson właśnie robi jedną ze swoich ulubionych rzeczy – siedzi w samochodzie i jedzie na przesłuchanie podejrzanego. Oczywiście Whitcliffe powiedziałby, że „to tylko pogawędka” z księdzem Patrykiem Hennesseyem, byłym dyrektorem Domu Dziecka Najświętszego Serca Jezusowego. Jak na razie nie doszło do przestępstwa. Szkielet odkryty przez Ruth nie ma jeszcze wieku ani płci. Nelson jest jednak policjantem na tyle długo, by wyczuć, że coś tu śmierdzi. Gdy tylko zajrzał do tego wykopu (w myślach nazywa go grobem) i zobaczył te kości, tak małe, bezbronne, ułożone w pozycji embrionalnej, od razu to wiedział. Wiedział, że patrzy na ofiarę morderstwa. I nawet jeśli się okaże, że te kości pochodzą ze średniowiecza albo znowu z epoki żelaza, on i tak będzie przekonany, że ma rację. To ciało dziecka, które zostało zamordowane.

Kiedy pytają go, co jest najgorsze w pracy policjanta, czasem odpowiada: „Zapach”. Częściowo ma to brzmieć jak ponury żart, ale jest w tym przykra prawda. Złoczyńcy, ten nieszczęśny rodzaj ludzki, śmierdzą jak szczury. Jako młody policjant Nelson musiał kiedyś eskortować w drodze z sądu do więzienia niedawno skazanego pedofila. Przebywanie w zamknięciu z tyłu furgonetki z tym draniem przez ponad

dziewięćdziesiąt kilometrów było jednym z najgorszych doświadczeń w jego życiu. Pamięta, że facet próbował z nim rozmawiać, a nawet – jakkolwiek niewiarygodnie by to zabrzmiało – starał się być miły. „Zamknij dziób, do cholery!”, wyrzucił z siebie Nelson, zanim zdążyli wyjechać z centrum Manchesteru. Najbardziej zapadł mu w pamięć tamten zapach. Mężczyzna na pewno mył się w areszcie, ale niewątpliwie ś m i e r d z i a ł: stęchłym, zgniłym fetorem niepranych ubrań, pomieszczeń bez okien, strachu i niewyobrażalnej obsesji. Gdy Nelson tego dnia wrócił do domu, wziął prysznic kilka razy. Mimo to czasem, tak jak dzisiaj, jeszcze czuje ten odór. Smród zła.

Miejsca też mają swoje charakterystyczne zapachy. Toaleta z ciałem dziewczynki zamordowanej przez matkę; zaśmiecona boczna uliczka, gdzie znalazł zakłutego nożem kolegę; odludna plaża, na której on i Ruth odkopali ciało innej martwej dziewczynki. Może same te miejsca nie wydzielają konkretnej woni, ale wyczuwało się w nich jakąś ponurą tajemnicę, coś porzuczonego na pastwę rozkładu i zgnilizny.

Wyczuł to na tym placu budowy. Nieważne, ile lat minęło od chwili, gdy to małe ciało pogrzebano pod podłogą – ten zapach wciąż tam był. To miejsce zbrodni. Nelson jest tego pewien.

Dom dziecka został zamknięty w 1981 roku. Później w budynku mieściły się biura kancelarii prawnych. Teraz Edward Spens planuje zbudować tam siedemdziesiąt pięć luksusowych apartamentów.

„Siedemdziesiąt pięć! – powtórzył Nelson, kiedy Spens mu o tym powiedział. – Chyba raczej siedemdziesiąt pięć luksusowych klatek”.

Kiedy tylko Nelson i Clough wrócili na komisariat, zadzwonił Edward Spens. Był serdeczny, sypał formułkami typu: „To mój obywatelski obowiązek”, lecz nie omieszkał przy okazji wtrącić kilku zdań o swoim bardzo dobrym przyjacielu Gerrym Whitcliffie i potrzebie budowania nowych mieszkań, tworzenia miejsc pracy, rozwoju urbanistycznego i tak dalej.

– Rozumiem pana zdenerwowanie – powiedział Nelson. – Ale musi pan wiedzieć, że prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa.

– Zabójstwa? – Spens sprawiał wrażenie zszokowanego, tak jak Nelson przewidywał. – Przecież te kości mogą mieć setki lat. Ten archeolog Ted mówił, że w tym miejscu był średniowieczny cmentarz.

– Możliwe. Teraz kości są badane przez doktor Ruth Galloway z uniwersytetu. Mam nadzieję, że za kilka dni poda mi ich przybliżony wiek.

– Ta Ruth Galloway to odpowiednia osoba? Znam Phila Trenta z uniwersytetu. Może on znalazłby kogoś... wyższego stopniem.

– Doktor Galloway jest kierownikiem katedry archeologii sądowej – odparł Nelson sztywno – i uznanym ekspertem od kości. – Ruth zawsze twierdzi, że to brzmi, jakby była psem, ale Spens wydał się chwilowo usatysfakcjonowany.

Spens traci pieniądze, nie bez satysfakcji uzmysławia sobie Nelson, gdy zjeżdża z M25 w kierunku Gatwick. Wszyscy mówią, że rynek nieruchomości się kurczy. Nelson nie cierpi programów telewizyjnych, w których zadowoleni z siebie konsultanci finansowi opowiadają o transakcjach kupna i sprzedaży domów, ale nawet do niego dotarły już te prognozy.

Ci wszyscy sprytni biznesmeni wkrótce popadną w długi i dobrze im tak. Jego własny dom jest zadłużony po uszy, lecz to go nie martwi. Wychowywał się w budynku komunalnym. Dla niego kredyt hipoteczny jest oznaką poważania.

Mimo wszystko lepiej, żeby Spens zaczął budować jak najszybciej, bo inaczej nie pozostanie już nikt, kogo byłoby stać na te jego luksusowe apartamenty. Luksusowe! Nelson parska pogardliwie, wyprzedzając autokar pełen niemieckich turystów. Tam gdzie kiedyś był jeden, owszem, niemały dom, teraz będzie siedemdziesiąt pięć bezdusznych pudełek. On ma inną wizję luksusu. Chociaż w zasadzie to nie wie, czy w ogóle ma jakąś wizję w tej materii...

Patrick Hennessey mieszka w prowadzonym przez Kościół domu rekolekcyjnym w West Sussex. Wyjaśnia telefonicznie, że dla księży jest to coś w rodzaju dożywotniej pracy na emeryturze:

„Ludzie przybywają tu na tydzień, czy nawet na krócej, żeby naładować swoje duchowe akumulatory. Ja krążę pośród nich i pytam, czy chcą porozmawiać z kapłanem, a kiedy mówią, że nie, odchodzę”.

Przyjemna praca, stwierdza Nelson. Jest piękny majowy poranek, pola są zielone, soczyste, drzewa obsypane kwiatami. Mijając kolejny dom otoczony różami, Nelson myśli, że ten wiejski krajobraz jest mu dużo bliższy niż okolice Norfolku. Wszystko ma tu swoje granice: samotny dąb stoi na ogrodzonym polu, staw jest otoczony kamiennymi domami, łagodne wzgórza stanowią idealne obramowanie malowniczych wiosek. Nie ma przerażającego bezmiaru nieba ani śladu tego chłostanego wiatrami pustkowia, którego Nelson tak nie lubi w swoim

obecnym miejscu zamieszkania. Mimo wszystko trzeba by mnóstwa pieniędzy, żeby tu osiąść. W wioskach jest sporo sklepów z antykami, a niewiele barów szybkiej obsługi. Na drodze roi się od bmw, porsche i land roverów. Tak, dożywnia praca w tej okolicy to rzeczywiście ciepła posadka.

– Nie znoszę tego miejsca – mówi ksiądz Patrick Hennessey pogodnie, krocząc po równo przystrzyżonym trawniku, by przywitać inspektora.

Siła uścisku jego dłoni nie dziwi Nelsona. Spotykał już takich księży: krzepkich, rumianych Irlandczyków, którzy bardziej przypominają byłych bokserów niż duchownych. Hennessey jest w podeszłym wieku – Nelson ocenia go na siedemdziesiątkę – i podpira się laską, ale ma imponującą preżencję: bary szerokie, białe zęby i nos, który najwyraźniej był kilka razy złamany.

– Dlaczego? – pyta Nelson, gdy idą w stronę zacienionego miejsca z widokiem na ogród różany. – To mi wygląda na piękną okolicę.

– Piękną – przyznaje Hennessey ponuro – chyba tak... Ale też śmiertelnie nudną. Ludzie mówią, że widzą w naturze rękę Boga, ale według mnie zobaczyć jedno drzewo to jak zobaczyć wszystkie. Za to kiedy oglądam piękną budowlę i myślę o tym, że Bóg dał człowiekowi zdolności potrzebne do jej wzniesienia, wtedy czuję Jego prawdziwą wielkość. Widział pan Gherkin w Londynie? Czysta poezja.

– Sam jestem mieszczuchem – mówi Nelson ostrożnie – ale budowle jakoś nie nasuwają mi myśli o Bogu.

Hennessey patrzy na niego dość surowo. Ma jasnoniebieskie oczy i ogorzałą twarz. Do tego inteligentny, czujny wzrok,



nieszczęśliwie łagodny, podobnie jak jego uścisk.

Opada na ławkę i wyciąga jedną nogę sztywno przed siebie.

– Tak więc, inspektorze Nelson, mówił pan, że chce pomówić o DDNSJ...

Dom Dziecka Najświętszego Serca Jezusowego, dopowiada sobie w myślach Nelson. Nie znosi skrótów. Whitcliffe oczywiście je uwielbia.

– Tak – odpowiada szybko. – Jak może już ksiądz wie, w tym miejscu trwa budowa. Planuje się tam wzniesienie luksusowych apartamentów.

– Wielkie nieba!

– I w trakcie tych prac dokonano pewnego znaleziska. Ciało, a właściwie szkielet, zakopany pod głównym wejściem. Wygląda na to, że to szczątki dziecka.

Nelson milknie. Cisza, o czym wie każdy policjant, to najlepszy sposób zdobywania informacji.

Hennessey nie daje się jednak złapać na takie sztuczki. Lustruje Nelsona chłodnym spojrzeniem. Przez kilka sekund żaden z nich się nie odzywa. Para starsuszków mija ich powoli i znika za łukiem obrośniętym różą pnącą.

– Teraz badamy kości – Nelson wreszcie kapituluje. – Oczywiście mogły być tam wcześniej niż dom.

– Rozumiem, że to starożytne miejsce – zauważa Hennessey. – Słyszałem, że kiedyś był tam kościół. Zdaje się, że służył z uzdrowień trędownych.

Kościół? Archeolog wspominał o cmentarzu. No tak, to, że musiał tam być też kościół, wydaje się logiczne. Jak i to, że może on mieć znaczenie dla sprawy.

– Nasz zespół archeologów sądowych – zaczął Nelson, myśląc, że to dość nobilitujące określenie Ruth, Trace i Teda Irlandczyka – uważa, że grób został wykopany całkiem niedawno. Możliwe, że wtedy, gdy wstawiano drzwi.

– Za moich czasów ten dom był już stary – stwierdza Hennessey łagodnie – ale zakładam, że pan podejrzewa, że ciało umieszczono tam w czasach, które jeszcze ktoś pamięta.

– Proszę księdza, ja niczego nie zakładam – odpowiada Nelson. – Zastanawiałem się tylko, czy wtedy, gdy ksiądz był dyrektorem, nie było jakiegoś zaginięcia. Albo czegoś jeszcze innego... – dodaje po chwili.

Hennessey wstaje.

– Przejdźmy się – mówi.

Przechodzą pod łukiem i między klombami. Hennessey przesuwa dłoń po kwiatach pokrytych meshkiem.

– Nigdy nie zrozumieję sensu istnienia kwiatów – oświadcza.

Nelson znowu stosuje sztuczkę z milczeniem i tym razem odnosi sukces. Kilka metrów dalej Hennessey się odzywa:

– Wyjaśnijmy coś sobie, inspektorze. W DDNSJ nigdy nie było żadnych nadużyć, póki tam pracowałem. Może pan zapytać, kogo pan chce. Nadal utrzymuję kontakty z wieloma naszymi wychowankami. Wszyscy oni dobrze wspominają ten czas. Wiem, że teraz jest moda na dopatrywanie się molestowania wszędzie, gdzie tylko widać katolickiego księdza, ale w tym wypadku będzie pan szukał na próżno. – Milknie, zatrzymuje się i z grymasem na twarzy przygląda jaskraworóżowej róży, która pnie się po niskim kamiennym murku. – Niemniej jednak...

Aha, dochodzimy do sedna!, myśli Nelson, uważając, by nie dać niczego po sobie poznać.

– Niemniej jednak... – wzdycha Hennessey – dwoje dzieci zniknęło, gdy byłem dyrektorem. Dziewczynka i chłopiec. Poszukiwano ich, ale nigdy nie odnaleziono. Zawsze się zastanawiałem... – głos mu się załamuje.

– Jak się nazywali? – Nelson wyjmuje notes.

– Black. Martin i Elizabeth Black.

– Wiek?

– Martin miał dwanaście, a Elizabeth pięć lat.

Pięć lat. Nelson myśli o małym szkielecie wciśniętym pod ścianę.

– Kiedy zniknęli?

– Na początku lat siedemdziesiątych. Chyba w siedemdziesiątym trzecim.

– Domyśla się ksiądz, dlaczego mogli uciec?

Opuszczają ogród różany i schodzą ze wzgórza w stronę dekoracyjnego stawu. Ludzie siedzą na ławkach nad wodą, lecz nikt nic nie mówi. Może się modlą, myśli Nelson. To miejsce zaczyna go przerażać.

– Martin był bystrym chłopcem – mówi Hennessey – bardzo bystrym. Kiedy ich matka zmarła, wbił sobie do głowy, że musi odnaleźć ojca, który wrócił do Irlandii. Chyba wszyscy zgodnie założyliśmy, że dzieci właśnie tam pojechały, ale gdy skontaktowaliśmy się z ojcem, okazało się, że ten nie ma pojęcia, gdzie one są. Nie wiedział nawet, jaki jest dzień tygodnia. Był alkoholikiem, w strasznym stanie, ale policja nie podejrzewała go o nic złego.

– I zamknęli sprawę?  
– W końcu tak. Opłaciłem prywatnego detektywa, ale on też nic nie znalazł. I oczywiście modliliśmy się – uśmiecha się ze smutkiem.

– Czy kiedykolwiek ksiądz przypuszczał, że mogli być molestowani?

Hennessey patrzy na niego ze złością. Są prawie tego samego wzrostu.

– Podejrzywałem, że może ktoś obcy... ale jeśli pan sugeruje, że ktoś w DDNSJ... Nigdy! Wszyscy uwielbialiśmy te dzieci. Mała Elizabeth była... to był aniołek.

A Martin nie, podejrzewa Nelson, i mówi:

– Będziemy to badać. Dziękuję, był ksiądz bardzo pomocny.

W drodze powrotnej na parking Hennessey nagle się odzywa:

– Wspomniał pan, że to wygląda na szkielet dziecka... Wicie, ile miało lat?

– Nie – odpowiada Nelson – kości są wciąż w ziemi, dlatego nie udało się ich jeszcze dobrze zbadać. No i brakuje głowy.

– Głowy?

– Tak. Nie wiemy dlaczego.

– Świat to dziwne i okrutne miejsce, inspektorze.

– Z pewnością.

Doszli do samochodu. Gdy ściskają sobie dłonie, Hennessey dodaje jeszcze:

– Ufam, że jest pan katolikiem, inspektorze.

Nelson puszcza jego dłoń.

– Skąd ksiądz wie?

Hennessey uśmiecha się łobuzersko.

– Mówi pan do mnie „proszę księdza”. Niekatolik mówiłby „księżu Hennessey”, albo nawet „księżu Patricku”, gdyby chciał, żeby to zabrzmiało swobodnie.

– Od lat nie byłem w kościele – przyznaje się Nelson.

– Niech pan nie rezygnuje z Boga – prosi ksiądz, uśmiechając się. – Zawsze może się zdarzyć „drgnięcie wędki”. Niech cię Bóg błogosławi, mój synu.

Po powrocie na komisariat Nelson wpisuje w wyszukiwarkę internetową „drgnięcie wędki” i znajduje cytaty z G.K. Chestertona: „Złowiłem go na niewidzialny haczyk i na niewidzialną wędkę, która jest tak długa, że lada jej drgnięciem mógłbym go tutaj na powrót przywieść, choćby powędrował na koniec świata!”\*.

– Bzdury – mruczy Nelson, wyłączając komputer.

\* G.K. Chesterton, *Dziwne kroki*, przeł. O. Ziemińska.

## ROZDZIAŁ 8

Ruth pracuje na Woolmarket Street. Kopie jak w transie. Czuje ciepło słońca na plecach i z tej odległości słyszy, jak Ted i Trace rozmawiają o meczu z poprzedniego dnia. Równie dobrze mogliby być na innej planecie – ją interesują wyłącznie szczątki pod wejściem. Wyrównała ziemię nad kośćmi, odsłaniając kręgosłup. Szkielet jest skulony, kolana ma podkurczone, ramiona oplecione wokół nóg. Teraz widać wyraźnie, że brakuje głowy, będzie jednak musiała zbadać kości, zanim stwierdzi, czy to dekapitacja była przyczyną śmierci.

Ostrożnie wspina się po ścianie wykopu i fotografuje szkielet od drugiej strony. Obok kości leży tyczka miernicza. Ciało w tej pozycji nie ma nawet metra długości. Dziecko, myśli Ruth, lecz trzeba zachować ostrożność. Może to być również dobrze dorosły z upośledzeniem wzrostu – to także wyjaśni badanie kości.

Konieczna będzie sekcja. To standardowe postępowanie z ludzkimi szczątkami. W tym samym czasie Ruth zbada kości. Zna tę procedurę, ale jej nie lubi. Nie przepada za tą sterylną atmosferą, żartami rzucanymi przez patologów, wonią formaldehydu i dettolu. Pamięta, co mawiał Erik: „Ziemia jest

życzliwa: daje nam schronienie, ochronę, i musimy do niej wrócić”. Ruth wydobywa kości z tej życzliwej ziemi z poczuciem winy. Erik był człowiekiem, którego kiedyś podziwiała najbardziej na świecie, lecz sprawa Słonych Błot kazała jej nieco zmienić stosunek zarówno do niego, jak i do wielu innych rzeczy. Teraz on nie żyje, jego prochy zostały wrzucone do ciemnego norweskiego jeziora, a ona ma do wykonania zadanie. Wymiata ziemię z odsłoniętej klatki piersiowej. U dorosłego można rozpoznać płeć po miednicy i żebrach. U osoby niedojrzałej jest to prawie niemożliwe. Odsłonięty szkielet spoczywający w kredowej glebie wydaje się żałośnie mały.

– Jak leci? – Ted Irlandczyk zagłąda przez krawędź wykopu niczym kukielka.

– Nieźle. Szkielet już prawie całkiem odsłonięty. Muszę jeszcze tylko zrobić kilka rysunków.

– Znaleźliśmy coś. Chce pani zobaczyć?

Ruth się podnosi. Czasami ma zawroty głowy, kiedy wstaje zbyt gwałtownie, ale dzisiaj czuje się nadzwyczaj dobrze. Może to ten osławiony drugi trymestr, w którym, jak piszą w książkach, kobieta wygląda kwitnąco, tryska energią i znowu odczuwa popęd płciowy. Brzmi kusząco, myśli Ruth, idąc za Tedem wzdłuż labiryntu murów i rowów.

Na tyłach domu zachowała się część zabudowań gospodarczych – drzwi zwisają bezładnie, okna są roztrzaskane. Są też fragmenty oranżerii – w szczątkowej drewnianej ramie wciąż tkwi kilka całych szyb; mijają robotnika tłukącego ich resztki. W jednym z okien były witraże: czerwone, niebieskie i żółte kawałeczki rozsypują się u stóp Ruth w tęczy wzór.

Ted prowadzi ją obok tych zabudowań i dalej na podwórze. Tutaj szybko powstają nowe budynki, równe prostopadłością z cegły i płyt gipsowych. Ruth przekracza stary inspekt do uprawy warzyw, szkło roztrzaskane na proch, i mija drzewo, z którego zwisa zniszczona lina. Huśtawka? Rozbite piaskowce tworzą ścieżkę umożliwiającą przejście po błocie. Wokół rozlega się ogłuszający hałas betoniarek.

Ted na polecenie Ruth wykopał nowe rowy wzdłuż granicy działki, przy wysokim murze z kamieni. W jednym z nich stoi Trace w różowym podkoszulku z napisem „Killer Barbie”.

Ruth zagląda do dołu. Około metra poniżej poziomu gruntu leży mały szkielet. Tym razem na pewno nie jest ludzki.

- Co to jest?! – udaje jej się przekrzyknąć warkot maszyn.
- Chyba kot – odpowiada Ted.
- Cmentarz zwierząt?
- Może, ale nie natknąłem się na inne.

Nie znaleziono też żadnych ludzkich ciał, co zakładając, że był to cmentarz przykościelny, jest zaskakujące. Archeolodzy hrabstwa byłiby tym faktem mocno rozczarowani. Może oczyszczono to miejsce w epoce wiktoriańskiej? Nie byłoby to pierwsze stanowisko archeologiczne, które wówczas zniszczono. Ruth przygląda się kościom wystającym z błota. Z kształtu ogona wnioskuje, że to zwierzę kotowate.

- Kot domowy? – mówi i myśli o Krzemyku.
- Tak... – Ted spogląda na nią z ukosa. – Tylko że...
- Co?
- Nie ma głowy.
- Co?!



– Nie ma głowy. Trace i ja jesteśmy pewni.

Ruth ponownie patrzy na kości – kręgi i ogon zwinięte równiutko wokół łap, ale... nie widzi głowy.

– Skataloguj go – mówi. – Zabiorę kości do laboratorium.

– Ciekawe, co jeszcze znajdziemy? – zastanawia się Ted.  
– Jeźdźca bez głowy?

Dobry humor Teda zaczyna mnie przygnębiać, myśli Ruth, wlokąc się z powrotem do swojego wykopu.

Po południu zjawia się Clough.

– Szef pojechał do Sussex porozmawiać z jakimś księdzem, który prowadził ten dom dziecka – wyjaśnia.

– Zwalić wszystko na zboczonego księdza – zauważa Ted, pociągając łyk z termosu. – Dobry pomysł.

Ruth czuje się trochę zażenowana tym, że zastał ich akurat w porze posiłku, ale Clough z ochotą się do nich przyłącza – Trace częstuje go ciastkiem, a Ruth podaje mu kubek kawy. Siedzą na niskiej ścianie wciąż pokrytej bordową tapetą z wyblakłym czarnym wzorkiem.

– Okazuje się, że szef to katol – oświadcza Clough. – Wiedziała pani? – zwraca się do Ruth.

– Kat...? A, katolik. Nie. Bo niby skąd? – Nie chce, żeby Clough myślał, że aż tak dobrze zna Nelsona.

– Znaleźliśmy jeszcze kilka osób, które tu pracowały. Normalni ludzie, nie jacyś księża czy zakonnice. A nawet wychowanków. Znosi się, że będzie sporo roboty ze zbieraniem zeznań.

– Nie zapłacą wam za nadgodziny? – pyta Ruth oschle.  
– Ależ tak – uśmiecha się Clough. – Bogu niech będą dzięki za nadgodziny. No, ale wie pani coś więcej o tym szkielecie?

– Nie – odpowiada Ruth cierpliwie. – Jak już wczoraj mówiłam, muszę go dokładnie zbadać, zanim go wydobędziemy.

– Ile to jeszcze potrwa?

– Mam nadzieję, że skończę jutro. Muszę skatalogować wszystkie kości i pobrać próbki gleby.

– Aż tyle czasu? Na kilka kości?

– W ludzkim ciele jest dwieście sześć kości – mówi Ruth ostro – a u dziecka około trzystu.

– No dobrze – Clough wstaje i strzepuje okruchy z drelichowych spodni (nosi cywilne ubrania jak Nelson, choć w przypadku Nelsona są one bardzo przeciętne). – Trzeba wracać. Nie ma pokoju dla bezbożnych.

Oklepane powiedzenie, jak wiele stwierdzeń Clougha, lecz gdy Ruth wraca do pracy, to zdanie wciąż kołaczy się jej po głowie. Nie ma pokoju dla bezbożnych. Czy te kości zaznały spokoju? Czy teraz ona go burzy? Czy stało się tu coś bezbożnego, nieważne ile lat temu? Czy ktoś zabił dziecko? I co z kotem?

Nie ma pokoju dla bezbożnych. Cathbad powiedziała, że miejsca zachowują wspomnienie zła. To miejsce jest dostatecznie upiorne, z tymi na wpół zrujnowanymi gotyckimi murami, łukiem wejściowym, schodami i drzwiami prowadzącymi donikąd. Cathbad zwróciłyby uwagę, że Ruth powinna uważać, bo niepokoi zmarłych, grzebiąc w przeszłości. Ale przecież na

tym polega jej praca. Jest archeologiem sądowym. Jej zadaniem jest odkopywanie ciał i dochodzenie prawdy na podstawie kości, miejsca pochówku i samej gleby. To wszystko są konkretne ślady i nie ma się czym ekscytować.

Mimo to, gdy słońce blednie i Ted z Trace zbierają swoje narzędzia, Ruth odjeżdża z nimi. Rozsądek to jedno, a przebywanie na stanowisku po zmroku to coś zupełnie innego.

## ROZDZIAŁ 9

– A więc jak długo mieszkał pan w domu Najświętszego Serca Jezusowego?

– Trzy lata. Trafiłem tam w wieku trzynastu lat, a opuściłem dom, kiedy miałem szesnaście. Ksiądz Hennessey załatwił mi praktyki. Wszystko mu zawdzięczam.

Przesłuchiwany, mężczyzna po czterdziestce, o miłym wyglądzie, uśmiecha się do Nelsona. Ten odpowiada mu tym samym. To trzeci wychowanek domu dziecka, który nie pytany zaświadcza o dobroci księdza Hennesseya. Może Clough miał rację, mówiąc godzinę temu: „Pewnie zrobiono im pranie mózgu”.

Podczas gdy Nelson i Clough przesłuchują byłych wychowanków, starsza posterunkowa Judy Johnson, kolejny członek zespołu Nelsona, jedzie na spotkanie z siostrą Immaculatą – zakonnica, która kiedyś pracowała w domu dziecka, a teraz przebywa w domu starców w Southport. Ponieważ Nelson nie znosi Southport, a Clough nie cierpi zakonnice, uznano, że ta wizyta wymaga „kobiecej ręki”.

– Panie Davies – Nelson nachyla się ku rozmówcy – czy w czasie pańskiego pobytu w tym domu były jakieś przypadki złego traktowania osadzonych... o przepraszam, wychowanków?

- Nie, nigdy – odpowiada Davies.
- Nie za szybko?, zastanawia się Nelson.
- Żadnych kar cielesnych? – pyta Clough. – To była norma w latach siedemdziesiątych.
- Nie – mówi Davies cicho. – Ksiądz Hennessey wierzył w ludzką dobroć.
- A zakonnice? Czy siostry bywały surowe?
- Davies zastanawia się.
- Surowe... tak. Nie mówię o przemocy fizycznej, ale... niektóre miały cięte języki. Kilka było łagodnych. Siostra James. Siostra Immaculata. Ale kilka... to były dobre kobiety, ale nie... serdeczne. Rozumie pan?
- Jakie kary stosowano za złe zachowanie? – naciska Nelson.
- Davies się uśmiecha.
- No... za bardzo złe zachowanie odsyłano dziecko do księdza Hennesseya, ale to zazwyczaj była raczej nagroda. On kazał sobie pomagać w czyszczeniu szafek albo pieleniu grządek. Moje najlepsze wspomnienia łączą się właśnie z pracą w tym ogrodzie.
- Nelson wzdycha i zmienia taktykę.
- Czy znał pan rodzeństwo Blacków? Martina i Elizabeth Black?
- Davies marszczy czoło. Jego twarz cały czas jest niespokojna, napięta. Teraz wyraźnie się rozluźnia w zadumie.
- Tak. Zaginęli. To było zaraz po moim przybyciu do DDNSJ. Martin był ode mnie o rok młodszy. Pamiętam, że był bardzo zdolny.
- A pamięta pan coś, co byłoby związane z tym zniknięciem?

– Cóż... to wywołało wielkie zamieszanie. Zwykle mieliśmy wolną godzinę pod koniec dnia i pamiętam, że rozmawiałem z Martinem. Panowała wtedy moda na zbieranie kart z piłkarzami i oglądaliśmy swoje albumy. Elizabeth też tam była. Bawiła się takim wypchanym zwierzakiem. Psem. To był chyba pies. Nie rozstawała się z nim. Po chwili gdzieś odeszła i Martin poszedł jej szukać. Wtedy widziałem go ostatni raz. Później był dzwonek na ciszę nocną, a oni się nie stawili.

– I co potem?

– Książd Hennessey rozpoczął poszukiwania. I pewnie wezwał policję. Pamiętam, jak mnie przesłuchiwali. Pytali, kiedy widziałem Martina i Elizabeth. Kręcili się po okolicy jeszcze kilka tygodni i wszystkich przepytawali. Aha, i jeszcze siostra Immaculata była zła, kiedy przerwali nam modlitwę różańcową. Potem wszystko wróciło do normy. Wciąż modlił się za Martina i Elizabeth, ale właściwie o nich nie rozmawialiśmy. Zapomnieliśmy. Wie pan, jakie są dzieci.

– Gdy w domu dziecka była policja, czy przeszukiwali teren? Kopali?

– Nie – odpowiada Davies powoli. – Nie pamiętam, żeby kopali. – Nagle jakby go olśniło. – To stąd te przesłuchania? Znaleźliście ciało?

– Nie mogę udzielać takich informacji – odpowiada Nelson.

– Burzą ten dom, prawda? – zauważa Davies. – Niedawno tamtędy przechodziłem.

– Tak, zabudowują teren.

– Szkoda. To był piękny budynek. Jak dworek.

– Racja – Nelson patrzy na Clougha. – Panie Davies, czy zechciałby pan kiedyś pojechać tam z nami i się rozejrzeć? Może pokaże nam pan, gdzie co było. To znaczy, gdzie były poszczególne pomieszczenia i tak dalej.

– Dobrze. Z przyjemnością.

Wstaje i ściska dłonie obu policjantom. Gdy jest już przy drzwiach, Clough pyta:

– Wspomniał pan, że ksiądz Hennessey załatwił panu praktyki. W jakim zawodzie?

Kevin Davies uśmiecha się, zmarszczki mimiczne na jego twarzy się pogłębiają.

– Ach, myślałem, że wiecie. Jestem przedsiębiorcą po-grzebowym.

Judy Johnson pcha wózek inwalidzki wzdłuż nabrzeża w Southport. Jest pora odpływu i piasek – rozległa połać z pasmami o złotej, białej i srebrnej barwie, po której poruszają się małe postaci z sieciami i wiadrami – ciągnie się daleko po horyzont. Po plaży pędzą trzy konie wyścigowe. Piach strzela im spod kopyt, szyje wyginają się w łuki, gdy rumaki czują szarpnięcia wędzidła. Judy zatrzymuje się na chwilę, a siostra Immaculata obraca się w jej stronę i mówi:

– Tutaj trenował Red Rum. Wiedziała pani?

– Nie.

– Postawiłam na niego w siedemdziesiątym szóstym.

Wtedy na mecie był drugi. Typowe.

– Z opcją *each way*? – pyta Judie, córka bukmachera.

– Nie, na zwycięstwo. Typowe.

Konie galopują, radośnie prężąc ciała. Ich grzywy i ogony unoszą się swobodnie. Dżokeje pochyleni nad szyjami wierzchowców wyglądają, jakby zawisli w powietrzu. Judy kiedyś chciała zostać dżokejem. To było, jeszcze zanim zainteresowała się chłopcami.

Okazuje się, że dom starców to klasztor, w którym zakonnice na starość znajdują opiekę. Siostra przełożona zaproponowała, by Judy zabrała siostrę Immaculatę na spacer.

– Ona zaczerpnie świeżego powietrza, a pani będzie mogła porozmawiać z nią na osobności. – Połączenie uprzejmości i stanowczości, które Judy pamięta z własnej szkoły prowadzonej przez siostry zakonne.

Judy zatrzymuje się przy ławce, opuszcza hamulec i siada obok staruszki. Wie z akt policyjnych, że siostra Immaculata (prawdziwe imię i nazwisko: Orla McKinley) ma siedemdziesiąt pięć lat. Welon i zapinany pod szyję habit skrywają jednak większość oczywistych oznak starości. Jej twarz ma dziwnie mało zmarszczek, niebieskie oczy patrzą przenikliwie. Tylko dłoni, w tej chwili wskazująca molo, zdradza jej wiek. To dłoni mumii, zdeformowana, koścista.

– Siostrzko Immaculato – zaczyna Judy – pracowała siostra w Domu Dziecka Najświętszego Serca Jezusowego od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego do osiemdziesiątego roku.

– To nie była praca, tylko powołanie – poprawia ją zakonnica stanowczym tonem.

– Przepraszam. Ale mieszkała tam siostra?

– Tak.

– Co to było za miejsce?



Siostra Immaculata milczy, spoglądając na rozległą piaszczystą przestrzeń. Judy zauważa jednak, że jej dłonie lekko drżą. Wiek? Choroba? Czy może strach?

– Piękny dom. Uroczy teren. Takie miejsce, w którym nie można sobie wyobrazić nic złego.

Judy wstrzymuje oddech. Nie wolno jej niczego zepsuć. Szef oczekuje od niej wyników. Dlatego przysłał tu ją, a nie Clougha, który na pewno już zdążyłby oskarżyć zakonnicę o molestowanie i byłby w drodze na obiad.

– Jakie zło ma siostra na myśli? – pyta ostrożnie.

Zakonnica patrzy na nią uważnie spod lekko przymkniętych powiek.

– Dwoje dzieci zniknęło. To mało?

– Martin i Elizabeth Black?

– Tak. Zniknęli. Przepadli. Jak kamień w wodę.

Judy wzdryga się. To trochę przypomina baśń, a baśnie zawsze ją przerażały. Dwoje dzieci idzie do lasu i szast-prast! Zjada je wilk, zostają uwięzione w domku z piernika albo otrute jabłkiem przez bliską krewną. Przepadły. Jak kamień w wodę.

– Uczylaam Martina – mówi siostra Immaculata. – Nie miałam za wiele do czynienia z młodszymi dziećmi. Tymi zajmowała się siostra James, świeć Panie nad jej duszą. Ale pamiętam Martina. Ksiądz Hennessey bardzo go lubił, ale według mnie ten dzieciak był trudny.

– Co siostra przez to rozumie?

– Był zdolny. Bardzo interesował się historią. Gładiatorzy, dinozaury, takie rzeczy. Nauki przyrodnicze też. Ciągłe

robił jakieś eksperymenty. Ksiądz Hennessey zachęcał go do tego, zrobił mu nawet laboratorium w piwnicy. Dawał mu książki. Ale to był chłopiec, który używał inteligencji do tego, żeby sprawiać nowe kłopoty. Na lekcjach zawsze zadawał pytania. Prowokacyjne, świętokradcze pytania o Ducha Świętego i Matkę Boską.

Kiwa głową w nabożnej zadumie.

– A co na to ksiądz Hennessey?

– Za każdym razem go usprawiedliwiał. Te dzieci miały trudny start. Ich matka zmarła, a jedynym żyjącym krewnym był ojciec pijak w Irlandii. Martin ciągle o nim myślał, robił z niego bohatera. Dlatego kiedy zniknęli, myśleliśmy, że pojechali do Irlandii.

– Czy to stało się nagle, to zniknięcie?

– Owszem, podejrzewaliśmy, że Martin może coś knuć. Od tygodni podkładał jedzenie. Ksiądz Hennessey nie chciał go o to pytać, przynajmniej do czasu, gdy się dowie, o co mu chodzi. Myślę, że później tego żałował.

– A co si o s t r a myślała? – Judy wie z doświadczenia, że wszyscy lubią być pytani o zdanie i zakonnice nie są tu wyjątkiem.

– Moim zdaniem potrzebował porządnego lania. Ale ksiądz Hennessey nie uznawał podobnych metod. Żadnych kar fizycznych, taka była zasada. Nawet prztyczka w ucho za pyskowanie. Nie tak jak za moich szkolnych czasów. – Zamyśla się na chwilę, wysuwa dolną wargę. – Mówiłam księdzu Hennesseyowi, że Martin Black to same zmartwienia, ale on nie chciał słuchać. Powiedział tylko, że chłopak potrzebuje miłości i troski. Miłość i troska! I do czego go to doprowadziło? Uciekł,

zabierając ze sobą tę biedną, niewinną dziewczynkę. Prawdopodobnie ktoś ich zabił.

– Jest siostra o tym przekonana?

Siostra Immaculata milczy przez chwilę i Judy dopiero teraz zauważa różaniec w jej dłoni. Koralki przesuwają się między pociętymi artretyzmem palcami.

– Tak, uważam, że tak się stało. Świat to niebezpieczne miejsce dla dzieci.

– A co myślał ksiądz Hennessey?

Siostra Immaculata patrzy śmiało na Judy, w jej niebieskich oczach widać iskierki rozbawienia.

– Jeszcze na to nie wpadłaś, dziecko? Ksiądz Hennessey to święty. A święci przysparzają nam, zwykłym śmiertelnikom, również wielu kłopotów.

## ROZDZIAŁ 10

Szkielet jest już całkiem odsłonięty, narysowany i obfotografowany z wszystkich stron. Teraz Ruth musi wyjąć każdą kość z osobna, żeby móc je poddać autopsji. Porusza się spokojnie, wkładając je do opisanej torebki, i porównuje z czymś, co nazywa kartą szkieletu – zapisuje wymiary i wygląd każdego fragmentu. Szacunek i troska – tego uczy swoich studentów. Ludzkie kości, choćby i najstarsze, należy traktować z poszanowaniem, z jakim podchodzilibyśmy do zwłok. Wykopanie ich nie powinno trwać dłużej niż jeden dzień, aby nic nie zginęło i nie zostało skradzione. Każda kość musi zostać zarejestrowana i zakonserwowana. Ruth pracowała przy grobach wojennych w Bośni, gdzie było wiele wymieszanych szkieletów. W takich sytuacjach proces segregowania i rejestrowania to niezwykle trudne zajęcie. Tutaj jest tylko jeden szkielet, jedno niewielkie ciało. Ruth obchodzi się z kośćmi delikatnie, niemal z nabożeństwem.

Ted Irlandczyk już zapakował szczątki kota. Ruth zawiezie je do laboratorium w drodze powrotnej. Ani ludzkiej, ani zwierzęcej czaszki nie udało się znaleźć.

– Dzień dobry.

Głos rozbrzmiewa tak blisko, że Ruth podskakuje. Podnosi

głowę i widzi przystojnego mężczyznę mniej więcej w jej wieku, w nienaganej bawełnianej koszuli i lnianych spodniach. Obok niego stoi starszy jegomość w panamie na głowie. Ruth rozprostowuje się i przysłania oczy ręką.

Młodszy z mężczyzn kuca, jakby miał zamiar wskoczyć do rowu. Ruth jest przerażona. Jak większość archeologów lubi utrzymywać wykop w nienaruszonym stanie. Wejść do wykopu, w którym trwają prace, to jakby wtargnąć bez zaproszenia do czyjegoś domu.

– Nie! – protestuje.

Przybysz patrzy na nią pytająco.

– Nie może pan tu wejść – wyjaśnia Ruth, starając się to zrobić jak najuprzejmiej. – Zabrudzi pan to miejsce.

Mężczyzna się prostuje.

– Nie przedstawiono nas sobie – mówi, jakby ten fakt coś zmieniał. – Jestem Edward Spens.

To wiele tłumaczy. Ten osławiony Edward Spens na pewno uważa, że wykop, podobnie jak reszta terenu, jest jego własnością.

– Ruth Galloway. – Zmusza się do uśmiechu. Czuje się niezręcznie, będąc tak nisko.

– A więc to są te nieszczęsne kości.

Nieszczęsne, myśli Ruth. Dziwny sposób opisanie znaleziska, ale trzeba przyznać, że dość trafny. Widzi wpatrzona w nią inteligentne oczy Spensa. Musi uważać, by mu zbyt wiele nie wyjawić.

– Tak, to ten szkielet.

– Wiadomo, ile ma lat?

– Jeszcze nie. Może znajdziemy jakieś wskazówki w wypełnisku.

- Wypełnisko?
  - Jamy grobowej – tłumaczy Ruth, myśląc o tym, jak mocno brzmią te słowa. Ale przecież właśnie odkryli grób, w którym pochowane zostało ciało. – Może natkniemy się na cegły lub gliniane naczynia. Chyba widziałam odłamek szkła z butelki. To coś, co można umieścić w konkretnym czasie. Przeprowadzimy też datowanie węglowe, choć ta metoda jest mało użyteczna w przypadku współczesnego szkieletu.
  - Na czym polega datowanie węglowe? – Edward Spens uśmiecha się czarująco.
  - To badanie ilości węgla w kościach. Podczas życia wchłaniamy izotop węgla  $^{14}\text{C}$ . W chwili śmierci ten proces ustaje. Jeśli sprawdzimy, kiedy kości przestały przyjmować  $^{14}\text{C}$ , będziemy w stanie określić wiek szkieletu.
  - Ciekawe. Jak dokładna jest ta metoda?
  - Na to badanie wpływa wiele czynników, ale dokładność wynosi około stu lat.
  - Sto lat! To niewielka precyzja.
  - Są też inne wskazówki – mówi Ruth poirytowana. – Na przykład niezbyt stare kości wciąż zawierają barwnik krwi i aminokwasy. Będziemy mogli stwierdzić, czy te szczątki są średniowieczne, czy względnie współczesne.
- Starszy mężczyzna, który cały czas rozglądał się z wyraźną przyjemnością, odzywa się w końcu:
- Wie pani, że tu kiedyś był kościół?
  - To mój ojciec, sir Roderick Spens – przedstawia go Edward. – Bardzo interesuje się historią – mówi zrezygnowanym tonem, jak gdyby wożenie ojca na tereny wykopalisk nie było jego ulubionym zajęciem.

Roderick Spens wyszukany gestem uchyla kapelusza.

– Bardzo mi miło panią poznać.

Ruth się uśmiecha. Chyba woli zainteresowanie ojca od nieudolnie skrywanej niecierpliwości syna.

– Powiadają, że stał tu kościół – wyjaśnia starszy pan. – Prawdopodobnie został zniszczony podczas kasaty zakonów: nagrobki roztrzaskano, witraże potłuczono, złoto i srebro przetopiono.

Ruth przypomina sobie robotnika rozbijającego szyby szklarni i ten żal, który poczuła na widok kolorowych odłamków szkła oraz na myśl o niszczeniu czegoś, co niegdyś było uważane za cenne.

– Wczoraj znaleźliśmy kielich – mówi. – Prawdopodobnie z piętnastego wieku. Piękna robota.

W oczach sir Rodericka pojawia się błysk.

– Oj, chciałbym to zobaczyć.

– Jest już na uniwersytecie – mówi Ruth – ale na pewno moglibyśmy...

– Tato – wtrąca się Edward – nie chcemy sprawiać kłopotu pani Galloway.

– Doktor Galloway – poprawia go Ruth. – To żaden kłopot.

– Czy nie zakrawa na ironię losu, doktor Galloway – starszy mężczyzna nachyla się do przodu, jakby celowo wyłączał z rozmowy syna – że Henryk VIII zniszczył tu kościół, a później w tym miejscu był jednak katolicki dom dziecka?

– Tak – odpowiada krótko Ruth, choć nie jest szczególnie zainteresowana odwieczną walką między katolikami a protestantami. Dla niej wszystkie religie są sobie równe. Chociaż

katolicyzm stworzył przynajmniej ładniejsze malarstwo.

– Czy policja sądzi, że te kości mają związek z domem dziecka? – pyta Edward.

– O ile prawdziwe są informacje, które posiadam, rozważają różne wersje – odpowiada Ruth. – A teraz... jeśli panowie pozwolą...

Odwraca się w stronę kości, a sekundę później Edward Spens bierze ojca za rękę i odciąga od wykopu.

Nelson zjawia się dopiero późnym popołudniem. Ruth już skończyła katalogować kości i pomaga Trace w jednym z wykopów na tyłach domu. Znalazły kilka rzymskich skorup i coś, co wygląda jak sygnet. Czyli to miejsce, podobnie jak tamto na wzgórzu, kiedyś było rzymskie. Nic w tym dziwnego, myśli Ruth, a jednak to odkrycie trochę ją niepokoi.

Wraz z Nelsonem przybywają Clough i jasnowłosego mężczyzna z krzaczastymi brwiami poniżej krawędzi kasku. Clough, zauważa Ruth, natychmiast się oddala, by porozmawiać z Trace. Nelson i ten drugi idą w jej stronę.

– Doktor Ruth Galloway. – Nelson zawsze przedstawia ludzi w sposób zwięzły. – Kevin Davies. Pan Davies kiedyś mieszkał w tym domu dziecka.

– Obawiam się, że niewiele pozostało z tamtego budynku – mówi Ruth – a wkrótce będzie tego jeszcze mniej, jeśli Edward Spens zrealizuje swoje plany.

Davies sprawia wrażenie nieobecnego duchem.

– Tu znajdowała się szklarnia – stwierdza – a tam mieliśmy huśtawkę i domek na drzewie. Była też studnia życzeń.



Grywaliśmy w piłkę na trawniku. Ksiądz Hennessey mógłby być zawodowym piłkarzem.

Nelson wznosi wzrok ku niebu. Nie ma ochoty wysłuchiwać kolejnych peanów na cześć księdza i nie obchodzi go, że przy wszelkich innych zaletach klecha z Norfolku mógł konkurować ze słynnym Pelem.

– Pamięta pan tu cmentarz dla zwierząt? Albo jakieś miejsce, gdzie je grzebano?

Davies spogląda na nią bladoniebieskimi oczami.

– Nie. Siostra James miała alergię, nie mogliśmy więc trzymać nawet kota. Ale hodowaliśmy kanarka. Słodkie małeństwo.

– Może się pan rozejrzy – proponuje Nelson – odświeży pamięć.

Davies się oddala, a Ruth wychodzi z wykopu. Widzi, że Nelson dziwnie na nią patrzy, i uświadamia sobie, że na pewno jest cała ubłocona i spocona. Cóż, niewiele może na to poradzić. Czuje też ból w krzyżu.

– Jeśli jeszcze raz usłyszę, że ksiądz Hennessey jest świętym, który w wolnym czasie chodzi po wodzie, to zwariuję – oświadcza Nelson, gdy oddalają się od wykopu.

– Fan swojego dyrektora? – pyta Ruth, wskazując na Daviesa, który spogląda na ruiny ogrodu z osłupiałym wyrazem twarzy.

– Fan?! Według niego ksiądz Hennessey to Matka Teresa, Nelson Mandela i cholerny Kubuś Puchatek w jednym.

Ruth się śmieje.

– Poznałeś go? Tego księdza Hennesseya?

– Tak.

– I jaki jest?

Nelson się zastanawia.

– Wygląda całkiem sympatycznie. W młodości musiał być postawny i silny. Ma twardy charakter, jak sędzę. I jest naprawdę bystry.

– No więc czy były jakieś podejrzone przypadki śmierci w domu dziecka? – pyta Ruth.

Ku jej zdumieniu Nelson odpowiada bez ogródek:

– Tak.

– Coś ty?!

– Właściwie zaginięcie. Dwoje dzieci. Martin i Elizabeth Black. Zaginęli bez śladu w siedemdziesiątym trzecim.

– Ile mieli wtedy lat?

– Dwanaście i pięć.

Patrzą na siebie i myślą o małym szkielecie pod wejściem.

– Myślisz, że to ona? – pyta Ruth.

– To chyba możliwe, nie?

Ruth przez chwilę rozważa wielkość znalezionych kości.

– Ale to by znaczyło...

– Że ktoś ją zabił w tym domu? Tak.

– Naprawdę myślisz, że mogło do tego dojść?

– Cóż, nie dowiemy się, dopóki nie przeprowadzisz dą-towania, ale... nie wiem, Ruth. Z tym miejscem jest coś nie tak. Dziwnie tu pachnie. A o co chodziło z tym cmentarzem zwie-rząt?

– Znaleźliśmy szkielet kota pogrzebany przy murze z tyłu.

– Może po prostu jakiś kocur tam sobie zdechł.

– Miał odciętą głowę. Ani śladu czaszki.

Nelson gwizdże cicho.

– O kurczę. Myślisz, że to ma związek?  
– Prawdopodobnie nie, ale przyjrę się tym kościom w laboratorium.

– Ta sprawa robi się coraz bardziej pokręcona.  
– Cóż – wzdycha Ruth, nie chcąc poruszać tego tematu przez wzgląd na swoje dziwne obawy z poprzedniego dnia. – Obecność kości można tłumaczyć na wiele sposobów. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że gdzieś tutaj był przykościelny cmentarz, to może się wydawać dziwne, że nie znaleźliśmy ich więcej.

– Ale kot bez głowy... – Nelson marszczy czoło. – To nie jest podejrzane?

– Musi być jakieś logiczne wyjaśnienie. – Nelson wciąż patrzy na nią jakoś dziwnie. Ruth zawsze się czerwieniła w najmniej odpowiednich momentach, a w ostatnich tygodniach jeszcze się to nasiliło. Czując, że krew napływa jej do policzków, pochyla głowę. – Był tu Edward Spens. Z ojcem.

To przynajmniej odwraca uwagę Nelsona od jej osoby. Inspektor kopie gwałtownie w wystający kamień.

– Wścibski drań – mruczy. – Czego chciał?

– Chyba tego, czego chce każdy wścibski osobnik. Ale jego ojciec jest sympatyczny. Pasjonuje się historią. Opowiadał o kościele, który podobno kiedyś tu stał.

– Ksiądz Hennessey też o tym wspominał. Mówił, że leczono w nim trędowatych.

Ruth myśli o czasce świętego Hugona, która czyniła cuda, o krzyżu świętej Brygidy, o świętych ogniach i źródłach. To wszystko bajki, ale brzmią niezwykle przekonująco.

– To katolicy – mówi nagle Nelson. – Rodzina Spensów. Edward Spens mi powiedział. Jego dziadek przechrzcił się w latach pięćdziesiątych.

– Wydał mi się jakiś dziwny... – zauważa Ruth.

Idą w kierunku łuku wejściowego, gdzie teraz stoi Kevin Davies i ze smutkiem spogląda na spustoszenie dokoła. Ruth zatrzymuje się, żeby zaczerpnąć łyk wody z butelki.

Nelson kładzie jej dłoń na ramieniu.

– W porządku?

Nagle ciepło w jego głosie sprawia, że krew znowu uderza jej do głowy.

– Tak. Tylko mi gorąco.

– Gorąco? – dziwi się Nelson. – W Norfolku nigdy nie jest gorąco. – I rusza przez rumowisko w stronę wyjścia.

11 czerwca

*Święto ku czci Fortuny Dziewicy*

*Chyba zawsze wiedziałem, że jestem wyjątkowy. Jeszcze zanim to wszystko się stało i spadła na nas ta klątwa, zawsze prze-czuwałem, że bogowie mają wobec mnie szczególne plany. Nie chodzi o to, że jestem zdolny (choć mój iloraz inteligencji wynosi 140), ale o to, że rozumiem. Kiedy czytam Pliniusza czy Katullusa, bogowie nie są dla mnie tylko imionami, są realni. Ich siła i moc przyćmiewają wszystko, co przychodzi później – żalosną agapę chrześcijaństwa, dziwacznych współ-czesnych bożków horoskopów i hipnozy oraz ruchome obrazki. Bogowie rzymscy są l o g i c z n i i dlatego tak mi się podobają. Jeżeli ktoś zabija, musi za to zapłacić krwią – życie za życie. Krew można zmyć, ale jedynie krwią. Bogowie żądają ofiar, lecz w przeciwieństwie do współczesnych bożków nie wymagają więcej, niż im się należy. Jeżeli złoży się właściwą ofiarę, przeszłość zostanie wymazana, wyczyszczona.*

*Niebawem będę w domu sam (oprócz kobiet i dzieci, ale one się nie liczą) i wtedy może uda mi się zrobić to, co należy. Tymczasem muszę zbierać siły, jadać zdrowo – więcej mięsa i mniej ziemniaków. Nawet Cezar długo by nie pociągnął na takiej diecie. Powinienem o tym porozmawiać z kucharką.*

## ROZDZIAŁ 11

Gdy Ruth wraca do samochodu, ból w krzyżu mocno daje jej się we znaki – jakby plecy chciały pęknąć na pół. Wpycha sweter za lędźwia, myśląc, że to tylko kwestia czasu, zanim kupi sobie małą ortopedyczną poduszkę lędźwiową i tym sposobem oficjalnie stanie się osobą w średnim wieku.

Jedzie na uniwersytet, żeby zostawić tam zwierzęce kości. Wyjmując pudełko z samochodu, zastanawia się, czy jego taszczenie to odpowiednie zajęcie dla kobiety w ciąży. Zabawne, że nie wspominają o tym w książkach. Ruth ocenia, że to już trzynasty tydzień. W przyszłym tygodniu zrobi USG i w ten sposób dokładniej ustali wiek dziecka. Może wtedy narzeczcie cała sprawa stanie się bardziej realna.

Jest tak głęboko zamyślona, że nie zauważa postaci w białym fartuchu idącej z naprzeciwka i wpada na nią.

– O, przepraszam!

Na szczęście nie upuszcza pudełka, ale starając się je utrzymać, sama osuwa się na ziemię. Mężczyzna pomaga jej się podnieść.

– Ruth! Nie ci się nie stało?

To Cathbad.

Gdy ma na sobie strój druida, z powiewającą fioletową peleryną, wygląda imponująco, wręcz dostojnie. Teraz zaś, z siwiejącymi włosami związanymi w kucyk, w białym fartuchu, dzinsach i trampkach, jest jednym z wielu starzejących się hipisów, którzy w końcu się ustatkowali. Tak czy inaczej jego widok sprawia jej radość; mimo wszystkich jego dziwactw Ruth lubi Cathbada.

– Nie, nic – wstaje powoli, z niezadowoleniem zauważając, że brak jej tchu.

– Niesiesz to do laboratorium? Daj, pomogę ci.

Ruth wręcza mu pudełko, ale nie wypuszcza z rąk swego cennego plecaka.

– Dostałaś mój e-mail? – pyta Cathbad, gdy idą pustym korytarzem. Dochodzi szósta, większość studentów i wielu wykładowców poszło już do domów.

– W sprawie Imbolc? Tak.

– Przyjdziesz?

– Oczywiście. A mogę przyprowadzić przyjaciela?

– Jasne. Plaża należy do wszystkich.

Uśmiecha się delikatnie, ale Ruth wie, że Cathbad uważa ten konkretny pas plaży, na którym odkryto krąg, niemal za osobistą własność.

– Jest archeologiem. Na pewno ci się spodoba.

– To ten z Sussex? Słyszałem o nim dużo dobrego.

Ruth, zaskoczona systemem szpiegowskim (albo szóstym zmysłem) Cathbada, pyta:

– To znaczy co?

– Że ma otwarty umysł, szanuje duchy. Takie rzeczy.

Ruth zastanawia się, o jakie duchy mu chodzi. Duchy ziemi, natury, gospodarstwa domowego – dla tych z otwartym

umysłem wybór jest duży. Postanawia nie pytać o nic więcej. Doszli już do laboratorium i Ruth zamyka kości w sejfie. Jutro je wyczyści i dokładniej obejrzy. Cathbad czeka na nią na zewnątrz.

– Wyglądasz na zmęczoną – mówi, gdy wracają na parking.

– Miałam ciężki dzień. Pracowałam w terenie.

– Powinnaś się jednak oszczędzać. – Cathbad sięga po jej plecak i dodaje: – W twoim stanie...

Ruth staje jak wryta. Plecak, który nie całkiem wypuściła z rąk, upada na ziemię.

– Co powiedziałaś?

Cathbad przybiera niewinny wyraz twarzy.

– Tylko tyle, że musisz się oszczędzać. Zwłaszcza w pierwszych miesiącach.

Ruth otwiera i zamyka usta.

– Skąd wiesz?

– To oczywiste... dla wprawnego oka.

– A od kiedy ty masz takie wprawne oko?

– Przecież jestem naukowcem – odpowiada Cathbad urażonym tonem – i umiem obserwować.

– I domyśliłeś się tego, obserwując mnie przez kilka minut?

– Widziałem cię kiedyś w kampusie i pomyślałem... może. Jak zobaczyłem cię dzisiaj, już byłem pewien.

Nie podobają jej się płynące z tego wnioski. Skoro Cathbad zauważył, to kto jeszcze wie? Phil? Współpracownicy? Nelson?

– Który to miesiąc? – pyta Cathbad gawędziarskim tonem, gdy przechodzą przez drzwi.



– Trzynasty tydzień.  
– Świetnie – najwyraźniej przeprowadza obliczenia – będzie Skorpion.

– Skoro tak twierdzisz. – Ruth nie wie, czym charakteryzują się poszczególne znaki zodiaku. Ona jest Rakiem, według księżek opiekuńczą domatorką, a to znaczy, że tym opisom nie można wierzyć. Doszli do jej samochodu i Cathbad podaje jej plecak.

– Dzięki. – Ruth kładzie go na tylnym siedzeniu. – No to do piątku.

– Do piątku. A powiedz jeszcze, czy Nelson wie?

– Czy Nelson wie co?

– O dziecku.

Ruth patrzy na niego chłodno, a on odpowiada jej dobrodusznym spojrzeniem. Nikt na świecie nie wie o tej nocy z Nelsonem. Cathbad najwyraźniej blefuje.

– Nie. A czemu miałby wiedzieć?

– A tak, bez powodu. – Cathbad unosi dłoń w geście pożegnania. – Uważaj na siebie. Do piątku.

Po bliskim spotkaniu z szóstym zmysłem Cathbada ma ochotę pobyć trochę w samotności. Jedzie wąską drogą pośród moczarów i już z daleka zauważa zaparkowany przed swoim domem sportowy samochód, a za szybą rudą głowę.

Shona. Kiedyś była jej bliską, a może nawet najbliższą przyjaciółką w Norfolk. Później wynikała jednak sprawa Słonych Błot i podobnie jak wszystko inne w życiu Ruth jej przyjaźń z Shoną także uległa przewartościowaniu. Ruth odkryła pewne fakty z przeszłości Shony, które kazały jej się

zastanowić, czy w ogóle zna swoją przyjaciółkę. W dodatku czuła się zdradzona. Ale jakoś udało im się przetrwać. Wspólna rozpacz po stracie Erika, poczucie żalu i pragnienie, by z tego straszego okresu pozostało coś pozytywnego, ponownie je zbliżyły. Może tylko nie są już wobec siebie tak otwarte jak kiedyś. Ruth nie potrafi zapomnieć, że Shona przez prawie dziesięć lat ją okłamywała (a w każdym razie nie mówiła jej wszystkiego). Shona z kolei uważa, że przyjaciółka zbyt surowo ją osądziła. Jednak potrzebują siebie nawzajem. Żadna nie ma innego bliskiego powiernika, a przyjaciele to skarb. Zanim zatrzymała samochód za autem Shony, lekka irytacja, że zakłócono jej samotność, niemal całkiem wyparowała.

– Gdzie byłaś? – Shona obejmuje ją na powitanie. Ma na sobie sukienkę w kolorze zgaszonej zieleni, którą wydyma wiatr od morza. Jej włosy tańczą wokół twarzy niczym ogniste iskierki. Uroda Shony czasami złości Ruth, innym razem zaś sprawia, że natychmiast jest gotowa jej wszystko wybaczyć.

– Na uniwersytecie.

– Za dużo pracujesz.

Shona też pracuje na uczelni, na wydziale literatury angielskiej. W ciągu ostatnich dziesięciu lat wplątała się w szereg skomplikowanych związków z żonatymi kolegami, a obecnie ma romans z szefem Ruth, Philem. Ruth ma nadzieję, że nie przyszła po to, aby roztrząsać ze szczegółami seksualne czyny Phila i prawdopodobieństwo jego odejścia od żony. Na samą myśl o zbliżeniu z Philem miałyby mdłości, nawet gdyby nie była w ciąży, a poza tym jest oczywiste, że jego małżeństwo

z Sue, nudną aromaterapeutką, będzie trwało wiecznie.

Ruth otwiera drzwi i odsuwa witającego ją z entuzjazmem Krzemyka. Shona pochyla się, by go pogłaskać. Często się nim opiekuje, gdy przyjaciółka wyjeżdża.

– Cześć malutki, chodź do cioci Shony. Wiesz co, chyba rzucę mężczyzn i kupię sobie kota.

Ruth słyszała to już wiele razy.

– Koty nie są użyteczne, jeśli chodzi o naprawę lampek choinkowych albo sprawdzanie poziomu oleju w samochodzie.

– Może nie, ale są lepszymi słuchaczami. – Shona głośno Krzemyka, który z nadzieją wpatruje się w podłogę.

– Racja. I nie zostawiają podniesionej deski w toalecie.

Shona siada na sofie z podkurczonymi nogami. Wygląda, jakby się przygotowywała do długiej, przyjemnej pogawędki. Ruth proponuje herbatę, ale przyjaciółka stwierdza, że woli wino. Ruth wysypuje chipsy do miski i już niosąc je do stołu, bierze pełną garść i wkłada sobie do ust.

– Phil mówi, że znaleźliście szkielet – oświadcza Shona.

– Tak. Znalazł go zespół terenowy. Na placu budowy w Norwich.

– Zespół terenowy... Czy to ten szalony Irlandczyk?

– Zgadza się. Ale on chyba nie jest z Irlandii? Czemu mówią na niego Ted Irlandczyk?

Oczy Shony błyszczą.

– To długa historia. A więc... wracając do tych zwłok... są jakieś ślady, że coś jest nie tak?

Ruth waha się. Shona jest zawsze łasa na ciekawostki. Może dlatego, że jest znawcą literatury. Ale Ruth nie jest pewna jej dyskrecji. Tylko tego brakowało, żeby Shona wszystko wypaplała Philowi podczas namiętnych nocnych rozmów w łóżku. Z drugiej strony sama ma wielką ochotę z kimś porozmawiać.

– Głowa jest odcięta – mówi.

– Nie! – Shona nie może się doczekać szczegółów. – Czyli to mord rytualny?

Ruth patrzy na przyjaciółkę z zaciekawieniem. To dziwne, że jej pierwsze pytanie jest właśnie takie. A właściwie może nie dziwne w ustach kogoś tak blisko związanego z Erikiem, ekspertem w dziedzinie rytuałów, ofiar i rozlewu krwi. Bo przecież większość ludzi chyba nie skojarzyłaby tak szybko bezgłowego ciała z rytuałem.

– Może – odpowiada. – Rzymianie czasem składali ofiary Janusowi, bogu drzwi. To ciało leży pod drzwiami.

– Czy to znaczy, że jest rzymskie?

– Musimy najpierw datować szkielet. Może być rzymski albo średniowieczny, ale nie sądzę. Jama wygląda na współczesną.

– Janus... To ten z dwiema twarzami?

– Tak. Bóg początków i końców. Od niego pochodzi łacińska nazwa stycznia, otwarcia roku.

Shona się otrząsa.

– Niesamowicie to brzmi. Ale właściwie to niejedyny dwulicowy facet, o jakim słyszałam.

– Co u Phila?

Shona się uśmiecha, choć jest to raczej grymas bólu.

– Nalej nam wina i wszystko ci opowiem.

Ruth napelnia dwa kieliszki, licząc na to, że przyjaciółka nie zwróci uwagi na jej powolne tempo spożywania alkoholu. Ostatnio wino wywołuje u niej mdłości. Jak gdyby jej zmysły były w stanie wyodrębnić wszystko, co złożyło się na jego smak: kwaśne winogrona, fermentujący alkohol, nutę liści winogron, a nawet zapach gleby i stóp chodzących po niej farmerów.

Wygląda na to, że Phil zaczął pokazywać Shonie pazurki. Chce, żeby wyjechała z nim do Genewy na konferencję, lecz upiera się, by podróżowała oddzielnie i sama zapłaciła za swój bilet. Ruth skrywa uśmiech. Skąpstwo Phila to temat powszechnych żartów na wydziale. Twierdzi, że kocha Shonę, ale coraz częściej wspomina, jaka to jego żona jest delikatna, jakby chciał zrzucić z siebie odpowiedzialność za ewentualne problemy w małżeństwie.

– Nie przeszkadzałoby mi to, ale przecież ona jest silna jak koń. Zresztą wygląda też jak klacz. Taka brzydka szkapa... Ruth, czemu nie pijesz?

Ruth patrzy na kieliszek z miną winowajcy. Shona już swój opróżniła, podczas gdy ona upiła zaledwie kilka łyków.

– Dobrze się czujesz?

Wszyscy mnie o to pytają, myśli Ruth. Nagle ma wielką ochotę powiedzieć Shonie o ciąży. W którymś momencie i tak się wyda. Cathbad już się domyślił. Może już wszyscy plotkują za jej plecami. No i będzie potrzebowała sprzymierzeńca, gdy postanowi poinformować o tym Phila. Nabiera powietrza w płuca.

– Shona... muszę ci coś powiedzieć.  
– Taak? – Shona natychmiast zwiększa czujność, jej oczy okolone długimi połyskującymi rzęsami skupiają się na twarzy Ruth.

Tylko jak to powiedzieć? „Spodziewam się dziecka” brzmi jakoś pretensjonalnie, a nic innego nie przychodzi jej do głowy. Już lepiej trzymać się suchych faktów.

– Jestem w ciąży – mówi.  
– Co?

Nagle zaczyna się bać tego, co może ujrzeć na twarzy Shony. Wie, że ona była w ciąży dwa razy i że za każdym razem dokonała aborcji. Czy zobaczy zazdrość, nienawiść, żal? Zmusza się do spojrzenia na nią i ku swemu zdumieniu widzi w jej oczach łzy.

– Jestem w ciąży – powtarza Ruth.

Shona kładzie rękę na jej ramieniu.

– Ojej... – mówi wzruszona niemal do łez. – Jesteś pewna?

– Tak. To mniej więcej trzynasty tydzień.

– Trzynasty tydzień! O Boże... – Shona ociera oczy i wygląda, jakby odzyskiwała równowagę. Teraz jej mina wyraża zaciekawienie. Wreszcie zadaje to pytanie, którego Ruth się obawia.

– Kto jest ojcem?

– Wolałabym nie mówić. – Wcale nie idzie jej lepiej niż z rodzicami. Shona niecierpliwie bawi się kosmykami włosów.

– No co ty? Możesz mi powiedzieć. Czy to Peter?

– Nie mogę. – Teraz to Ruth czuje, że łzy napływają jej do oczu. – Proszę.

Shona pochyla się i bierze ją w objęcia.

– Przepraszam. Jestem... po prostu zaskoczona. Urodzisz je?

– Tak.

– Odważna decyzja – mówi Shona cicho.

– Nie bardzo. Nie zastanawiałam się nad tym. To znaczy... nad skutkami. Ale na pewno chcę. Bardzo – dodaje.

– Będziesz wspaniałą mamą! Mogę być chrzestną?

– W ściśle niereligijnym sensie, tak.

– Zostanę jego ciocią. Tak jak jestem ciocią Krzemyka. – Teraz w głosie Shony wyraźnie słyhać gorycz.

– Będzie potrzebowało rodziny – mówi Ruth. – Moi rodzice właściwie się mnie wyrzekli.

– Poważnie? To się jeszcze zdarza? Przecież teraz wszyscy mają dzieci bez ślubu. Nawet moja matka by się z tym pogodziła. A jest zagorzałą irlandzką katoliczką.

– Moi rodzice są... staroświeccy.

– Na to wygląda. – Shona bawi się kieliszkiem przez chwilę, po czym pyta:

– Czy Phil wie?

– Nie, jeszcze nie. Muszę mu wkrótce powiedzieć, zanim to się stanie widoczne. Spotkałam dzisiaj Cathbada i od razu zauważył.

– Cathbad, naprawdę?

Shona od dawna zna Cathbada. Poznali się przy odkopaniu kręgu wiele lat temu. Ona popierała wtedy druidów, którzy chcieli zatrzymać krąg na miejscu, wbrew archeologom zamierzającym przenieść kamienie do muzeum. Ciekawe, co Phil, prawdziwy człowiek establishmentu, sądzi o jej wyzwolonych poglądach.

- Może duchy mu powiedziały? – zastanawia się Shona.
- Może. – Ruth słyszy słowa Cathbada, że Max szanuje duchy. Nagle oczyma wyobraźni widzi sunącą armię cieni zadających pytania, komentujących, wydających wyroki. Dziwne, ale wszystkie one przypominają z wyglądu jej matkę.
- W piątek organizuje imprezę.
  - Imprezę?
  - No, uroczystość. Obchody Imbolc, celtyckiego święta związanego z nadejściem wiosny. Na plaży. Chcesz przyjść?  
Na myśl o imprezie Shona wyraźnie się rozpogadza.
  - Czemu nie? Może właśnie satanistyczne obrzędy są tym, czego mi potrzeba do szczęścia.



## ROZDZIAŁ 12

Jak się okazuje, trudno o coś mniej satanistycznego niż obchody Imbolc na plaży w okolicach Słonych Błot. Część kolegów Cathbada przyprowadziła nawet dzieci, które beztrudno kopią w piasku i zachęcają się wzajemnie do przeskakiwania przez fale. Ogromne ognisko zbudowane z wyrzuconego na brzeg drewna i starych skrzynek bardziej kojarzy się z imprezą zorganizowaną przez Komitet Rodzicielski w celu zebrania funduszy na wyposażenie boiska niż ze składaniem ofiary pogańskim bogom ognia.

Ruth i Max idą przez mokradła, niosąc dary ofiarne w postaci wina i chipsów. Max nie wie, że tą samą ścieżką szły Lucy i Ruth tej strasznej nocy w lutym, kiedy wkoło huczał wiatr od morza, a bagna zdradziecko majaczyły w ciemnościach. Czasem Ruth się wydaje, że ten koszmar przytrafił się komuś innemu; może wtedy o nim myśleć spokojnie, tak jakby czytała książkę. Kiedy indziej zaś wspomnienia są tak wyraźne, jak gdyby to wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj: ucieczka przez bagna w nocy, chwila, w której myślała, że umiera, ciemna fala nadchodząca nie wiadomo skąd.

Teraz niebo jest jasnoniebieskie i jedynie lekka, przyjemna bryza porusza trawę. Ruth i Max idą ścieżką między wydmnami

i widzą rozciągającą się przed nimi plażę: srebrną linię morza, głęboką wodę, w której odbija się wieczorne niebo, połączenie piachu.

– Pięknie tu – mówi Max. – Już zapomniałem, jakie w Norfolkku są przestrzenie. Nic tylko piasek, morze i niebo.

– Tak, pięknie – potwierdza Ruth, zadowolona, że Max docenia jej ukochane miejsce. – Zimą bywa tu pusto, ale w takie wieczory jak ten to chyba najpiękniejszy zakątek na ziemi.

– Ja też lubię to pustkowie – stwierdza Max, spoglądając w dal, na cofającą się falę. Mewy krążą nisko nad wodą, a krzyki dzieci wydają się rozptywać w wieczornym powietrzu.

Ruth patrzy na niego z zaciekawieniem. Dobrze wie, o co mu chodzi. Bywają chwile, gdy odosobnienie i majestat mokradel przyprawiają ją o dreszcze. Nie przypuszczała, że Max czuje to samo. Przecież pochodzi z Brighton, gdzie plaża bardziej kojarzy się z kapeluszami dla turystów niż z urokliwą głuszą. Zaraz jednak sobie przypomina, że wychowywał się w Norfolkku.

Idą w kierunku ogniska, ciemnego na tle białego piasku. Cathbad, w szatach druida i fioletowej pelerynie, nadzoruje układanie drewna, ale na widok Ruth rusza do niej z rozpostartymi ramionami.

– Ruth! – Obejmują się i ona czuje, jak broda Cathbada drapie ją po policzku.

– To mój przyjaciel Max.

– Witam! – Cathbad ściska dłoń Maksa obiema rękami w taki sposób, jak robią to pastorycy witający parafian przed kościołem.

Oczywiście Cathbad powiedziałby, że ta plaża jest właśnie takim kościołem – uświęconą ziemią. W końcu ludzie odprawiali tu modły od setek tysięcy lat – najpierw w epoce brązu ci, którzy budowali tu krąg, a potem w epoce żelaza ci, którzy grzebali swych zmarłych i skarby w miejscu, gdzie morze styka się z lądem. Właśnie jedno z takich ciał Ruth odkryła w ubiegłym roku.

– Miło mi – mówi Max. – Piękne miejsce.

– Tak – potwierdza Cathbad, uważnie przyglądając się Maksowi. – To strefa graniczna, pomost pomiędzy życiem a śmiercią.

– Erik Anderssen, *Ruchome piaski*, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem – natychmiast reaguje Max. – Uwielbiam tę książkę. Anderssen był jednym z moich guru w czasach studenckich.

– Znałeś Erika?

– Nigdy nie poznałem go osobiście, ale przeczytałem wszystko, co napisał. Nikt lepiej nie rozumiał prehistorii.

– Był wspaniałym człowiekiem – mówi Cathbad. – Ruth dobrze go znała.

– Byłam jego studentką – przyznaje Ruth ostrożnie. Wciąż trudno jej rozmawiać o Eriku.

– Ulubioną studentką – zaznacza Cathbad dość nachalnie.

– Bez przesady.

– Żałuję, że go nie poznałem – oświadcza Max beztróskim tonem.

– Przynieśliśmy coś do picia – mówi Ruth, pragnąc porzucić temat życia i śmierci.

– To świetnie – odpowiada Cathbad. – Bogowie domagają się libacji. Freya... o tam... zajmuje się napojami.

Freya, drobna blondynka w niebieskiej sukmanie, bierze od nich butelki i ostrożnie odkłada je na bok. Następnie nalewa im ponczu z miedzianego kotła. Gdy oddalają się z plastikowymi kubkami w dłoniach, Ruth podejrzliwie obwąchuje zawartość swojego.

- Co to jest? Kwas do akumulatorów?
- Sama mówiłaś, że on pracuje na wydziale chemii.
- Kiedyś był archeologiem.
- I stąd znał Erika?

– Tak. Erik był jego opiekunem na studiach. Potem znowu się spotkali przy wykopaliskach. Pamiętasz? Opowiadałam ci. Cathbad był jednym z druidów, którzy sprzeciwiali się przeniesieniu kręgu do muzeum.

– Można ich zrozumieć – mówi Max powoli, spoglądając na piaszczystą przestrzeń, być może wyobrażając sobie ten krąg na swoim miejscu: drewniane kloce rysujące się na tle nieba. Ruth widzi ten obraz tak wyraźnie, że aż sama się dziwi, iż jeszcze się przed nią nie zmaterializował, wraz z Erikiem kłęzącym pośrodku i rozprawiającym o sposobach konserwacji drewna.

– Erik też to rozumiał – stwierdza – ale morze przesunęło się coraz bardziej. W końcu zniszczyłoby ten krąg.

- Zniszczyło czy zmieniło?

Przez chwilę Ruth myśli o łacińskim motcie na łuku na Woolmarket Street: *Omnia mutantur, nihil interit*; wszystko się zmienia, nic nie ginie, i czuje nagły dreszcz, jakby zimna dłoń dotknęła jej ramienia.

– Naprawdę jesteś miłośnikiem Erika – mówi tylko. On wierzył w cykl zmian rozkładu i odrodzenia. Może się odrodził? Bywały chwile, gdy wydawało jej się niemożliwe, że tryskający energią duch Erika mógł tak po prostu umrzeć wraz z ciałem. Na pewno chodzi gdzieś po świecie jakieś niebieskookie dziecko będące jego kolejnym wcieleniem. A może jest nim duch wody albo zwierzę, foka bądź lis arktyczny o lśniącej sierści.

Ognisko jest gotowe. Robi się coraz ciemniej, Cathbad i inni druidzi chwytają się za ręce wokół ognia i zaczynają recytację. Przyłączają się do nich dzieci, które ze śmiechem i ożywieniem wbiegają do kręgu i z niego wybiegają. Max i pozostali nie-druidzi stoją z boku, rozdarci między zawstydzeniem a ciekawością. W tym spektaklu jest pewien majestat, myśli Ruth. Maleńkie ciemne sylwetki na tle nieba, słup ognia i cichy szum fal uderzających o brzeg.

Cathbad ma kłopoty z zapaleniem symbolicznej pochodni. Wiatr zdmuchuje płomień, w końcu Freya osłania go swoją peleryną. Wtedy Cathbad unosi płonąca żagiew nad głowę.

– Bogini Brigid, przyjmij naszą ofiarę!

Płomienie pełzają u podnóża ogniska. Dzieci biegają dookoła, krzycząc z podniecenia. Dorośli znowu recytują, a wtedy ktoś zaczyna grać na gitarze i modlitwy stają się bardziej kameralne, jak piosenki w stylu folk. Teraz tłum gęstnieje. Ruth rozpoznaje wiele osób z uczelni i z zespołu terenowego, w tym Teda i Trace. Max wita Trace z entuzjazmem, co trochę irytuje Ruth.

– Pracowała na stanowisku w Swaffham. To dobry archeolog. Dużo wie o Rzymianach.

– Mmm... – mruczy Ruth. Jej uznaniu dla umiejętności Trace nie sprzyja fakt, że dziewczyna tak dobrze się prezentuje w czarnym podkoszulku i czarnych skórzanych spodniach. – Usiądźmy gdzieś – proponuje. Ból pleców staje się nie do zniesienia.

Siadają w cieniu jednej z wydym i jedzą wegetariańskie hot dogi. Maksowi udało się zdobyć butelkę lepszego wina, a Ruth pije sok pomarańczowy. On nie komentuje jej abstynencji. Rozmawiają o obu stanowiskach archeologicznych – rzymskim i na placu budowy luksusowych apartamentów, o dwóch bezgłowych ciałach, rzymskich bogach, a zwłaszcza o Janusie z dwiema twarzami.

– Łączy się go też z wiosną i żniwami – mówi Max. – Nie jest tylko bogiem drzwi, lecz wszelkich momentów przejścia i zmiany, przechodzenia z jednego stanu w inny.

– Dlatego że patrzy w przód i w tył jednocześnie?

– Tak, to mu też pomagało uwodzić kobiety, na przykład nimfę Karne.

– Złapał ją?

– Oczywiście, i w zamian za jej łaski obdarzył ją władzą nad zawiasami w drzwiach.

– Czyli zamiast je smarować WD40, powinniśmy się modlić do Karny? – śmieje się Ruth.

– Warto spróbować.

Max dolewa sobie wina, a Ruth dostrzega współczesną nimfę, która właśnie zmierza po piasku w ich stronę. To oczywiście Shona, w zwiewnej fioletowej sukni i szalu, do tego w towarzystwie Phila, którego Ruth akurat nie ma ochoty teraz widzieć.

– Ruth! Czemu się tu czaisz? – woła Shona.

Czaisz się, myśli Ruth, wstając. To brzmi bardzo nieładnie... Było jej tak przyjemnie, gdy odpoczywała sobie na piasku u boku przystojnego i inteligentnego mężczyzny. Teraz poczuła się głupia i nic niewarta.

– Cześć, Ruth – mówi Phil może trochę zbyt głośno. Pierwszy raz Ruth widzi go z Shoną. Ten wieczór jest zapewne ich „wyjściem z cienia” jako pary. Nic dziwnego, że Shona wygląda tak triumfująco.

– Cześć, Phil – odpowiada Ruth niepewnie. – Pamiętasz Maksa Greya z Sussex? Jest archeologiem i kierownikiem stanowiska w Swaffham.

– A tak, oczywiście. Co słyhać? Cieszę się, że Ruth się panem opiekuje.

Ta uwaga, podobnie jak wcześniejsza Shony, sprawia, że cały wieczór zaczyna tracić sens. Kim jest Phil, żeby śmiał mówić, że Ruth opiekuje się Maksem? Zresztą czemu Max miałby wymagać opieki?

– Dobrze się bawię – mówi Max, chcąc wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Ja nie mam czasu na te hipisowskie bzdury – narzeka Phil – ale Malone jest przyjacielem Shony.

– Malone?

– Catweasel czy jak tam go nazywają.

– Cathbad – podpowiada Ruth przez zaciśnięte zęby.

– Podobno był archeologiem – zauważa Max.

– Lata temu – oświadcza Phil z lekceważeniem. – Teraz pracuje jako laborant. To jeden z tych nawiedzonych, co wierzą w symbolikę krajobrazu, linie geomantyczne, duchy przodków i takie tam brednie.

Max milczy. Ruth jest niemal pewna, że on również wierzy w sporą część tych rzeczy, ale w jego interesie jest trzymać z Philem, który częściowo finansuje rzymskie stanowisko archeologiczne.

Jest już prawie ciemno. Druidzi wetknęli płonące pochodnie w piasek i teraz sylwetki harcujące wokół ogniska wyglądają jak powyginane monstra, rzucające zniekształcone cienie. Zapach dymu wypełnia powietrze kwaskowatą słodyczą. Ruth nagle czuje wielkie zmęczenie. Marzy o tym, by znaleźć się w domu, we własnym łóżku, z Krzemykiem wbijającym pazury w koldrę, ale wie, że Max zechce zostać dłużej. Ile jeszcze godzin będzie musiała patrzeć, jak Cathbad wrzuca do ognia symboliczne przedmioty? Jako ostatnia wylądowała w nim bluza Uniwersytetu Północnego Norfolkku; aż strach pomyśleć, co to miało znaczyć.

Wtem uświadamia sobie, że Shona coś do niej mówi ściszym głosem, tak aby mężczyźni nie słyszeli.

– Obiecał, że odejdzie od żony. I co ty na to?

Już to słyszałam, myśli Ruth, pyta jednak:

– Wierzysz mu?

– Nie wiem. – Shona opróżnia swój plastikowy kubek. – Postawiłam mu ultimatum. Ona albo ja. Mówi, że jestem dla niego najważniejsza.

Dlatego tu przyszedł, domyśla się Ruth. Gest pojednania, pokazanie się z Shoną przed grupą o niewielkim znaczeniu. Jest przekonana, że Phil nigdy nie przyszedłby z Shoną na zebranie wydziału albo na wykład dziekana. To równie pewne jak to, że nigdy nie odejdzie od żony. Nelson też nie opuści swojej.



– Uważaj – mówi tylko.  
– To znaczy?... – Shona potrząsa głową. Jej włosy płoną równie jaskrawo jak pochodnie w ciemnościach.

– Znam go dość długo. Mówi to, co chcesz usłyszeć.

Shona patrzy na nią z błyskiem w oczach. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie podszedł do nich Max, który położył dłoń na ramieniu Ruth.

– Chcesz się przenieść? Tutaj robi się trochę chłodno.

Zgadza się z ochotą. Po zachodzie słońca zrobiło się zimno. Wzmógł się też wiatr. Ruth szczelnie owija się kurtką. Druidzi w cienkich szatach sprawiają wrażenie odpornych na chłód. Ich dzieci także. Idąc z Maksem po plaży, Ruth widzi, jak bawią się w ciemnościach. Wykopały głęboki dół i śpiewają: „Bim, bom, barn, Kicię w studni mam!”.

– Niektóre rzeczy się nie zmieniają – mówi Ruth do Maksa, gdy kierują się w stronę ścieżki przez wydmy. Zbyt niebezpiecznie byłoby się zapuszczać na mokradła po zmroku, muszą więc iść szlakiem obserwatorów ptaków, zwirowaną ścieżką prowadzącą do parkingu. Max zostawił tam swój samochód. Ruth ma nadzieję, że odwiezie ją do domu i nie będzie się wpraszał na kawę.

– Ciekawy wierszyk – stwierdza Max tonem wykładowcy.

– Uważa się, że ta Kicia odnosi się do prostytutki.

– Co oni robią? Topią ją?

– Prawdopodobnie chodzi o stołek do pławienia czarownic.

– Jaki jest dalszy ciąg? „Kto ją wrzucił? Jasiu Guzik. Kto wyciągnął? Grześ Niezłomny”. Chyba tak. No to kim był Grześ? Jej alfonsem?

Max się śmieje.

– Lubię cię, Ruth – wyznaje.

Trudno na to odpowiedzieć. „Ja też cię lubię” zabrzmiałoby niemożliwie staroświecko. Zmiana tematu mogłaby zostać odebrana jako lekceważenie. A Ruth naprawdę czuje do niego sympatię. Jak dużą, woli się nie zastanawiać. To wszystko jest takie s k o m p l i k o w a n e. Ona nosi w sobie dziecko kogoś innego. Ten ktoś jest żonaty i nawet nie wie, że zostanie ojcem. Prawdopodobnie się wścieknie, gdy się o tym dowie. A może... tak teoretycznie... się ucieszy? Ruth czasem sobie wyobraża, że to chłopiec. Może Nelson zawsze chciał mieć syna, będzie więc zachwycony, zostawi żonę... Ależ nie... Czy ona chce, żeby Nelson odszedł od Michelle? Chyba nie. Czułaby się winna rozbicia rodziny, zresztą w ogóle nie jest pewna, czy chce znowu zamieszkać z mężczyzną. Zwłaszcza tak dużym jak Nelson.

Swoją drogą to wszystko jest dziwnie poplątane. Nelson jej nie kocha i nigdy nie kochał. Ich wspólna noc była skutkiem wyjątkowego zbiegu okoliczności. Właśnie znaleźli ciało martwego dziecka. Nelson musiał powiadomić o tym rodzinę zmarłej dziewczynki. Tej jednej nocy mieli wrażenie, że są sami na świecie. On przyszedł do niej, żeby szukać pocieszenia; namiętność zaskoczyła ich oboje. Ale Nelson nigdy, ani wcześniej, ani potem, w żaden sposób nie okazywał jej, że uważa ją za kogoś więcej niż koleżankę po fachu, może nawet przyjaciółkę. Dlaczego więc myśli o nim teraz, gdy Max bierze ją za rękę, by przeprowadzić przez belkę. Może Max przypomina jej Nelsona? Jest zupełnie inny: pracownik akademicki, elokwentny, uprzejmy, lecz pod względem fizycznym coś ich

łączy. Tak jak Nelson, Max ma dobrą prezencję. Nie chodzi o to, że jest wysoki. To coś więcej. Kiedy jest w jakimś pomieszczeniu, nie widać nikogo innego. Phil przy nim znika, nawet Cathbad wydaje się o parę tonów bledszy.

– Słyszysz? – odzywa się Max. – Sowa.

Mijają pierwszą ambonę dla obserwatorów ptaków. Są rozmieszczone w strategicznych punktach bagien – ta akurat wznosi się na palach i rozciąga się z niej widok na słodkowodne jezioro. Ruth słyszy szum wiatru w trzcinach i po raz setny czy tysięczny myśli o tej okropnej nocy na Słonach Błotach, kiedy pohukiwanie sowy zwabiło pewnego mężczyznę na manowce i doprowadziło do jego śmierci. Dokoła woda, ciemna i ponura, po której porozrzucane są bagienne wyspy. Ruth wzdryga się i Max wykonuje gest, jakby chciał ją objąć ramieniem, lecz szybko rezygnuje.

– Jesteśmy już prawie na miejscu.

Na parkingu ciemno i pusto, jedynym samochodem jest jego range rover. Ruth niemal krzyczy z radości, że wreszcie może usiąść, i to w ciepłe. Czy to normalne w ciąży, że plecy aż tak bolą? Może przyczyną jest jej nadwaga?

Max powoli wjeżdża na wąską drogę, która prowadzi do domów mieszkalnych. Jest ostrożnym kierowcą. Przynajmniej pod tym względem nie przypomina Nelsona.

– To było niesamowite, prawda? – mówi. – Ognisko, druidzi i w ogóle...

– Tak – zgadza się Ruth. – Ogień zawsze się sprawdza, jeśli chodzi o spektakle. Chyba dlatego był otaczany taką czcią. Ogień odstrasza ciemności.

– Jak pianie koguta – zauważa Max.

Ruth patrzy na niego z ciekawością.

– Skąd akurat takie skojarzenie?

Przez chwilę Max wpatruje się przed siebie i obserwuje ciemną drogę.

– Wczoraj na stanowisku zobaczyłem coś dziwnego. Oprowadzałem akurat jakąś wycieczkę. Chyba Towarzystwo Historyczne. I w jednym z wykopów znalazłem martwego koguta.

Ruth nie wie, co powiedzieć. Ma świadomość, że w okolicznych gospodarstwach mogą być kury, ale nie umie sobie wyobrazić, jak taki ptak mógł się przedostać na teren wykopalisk, oddzielony trawiastym nasypem.

– Ktoś go tam podrzucił?

– Chyba tak. Miał podcięte gardło.

– Co?

– Przecięte na całej szerokości. Dokładna robota.

Ruth czuje, że zbiera jej się na mdłości. Łapczywie wciąga powietrze.

– Po co ktoś miałby to robić?

Dojechali do jej domu. Max wyłącza zapłon.

– Koguty to dość popularna ofiara. Ponieważ pieją o świecie, przypisuje się im moc pokonywania ciemności. Właśnie o tym mówiłem.

Ruth czuje, że kręci jej się w głowie.

– Ofiara? Dlaczego ktoś miałby składać ofiarę na stanowisku archeologicznym?

– Nie wiem. Może uważa, że naruszamy spokój zmarłych.

Ruth przez moment myśli o Cathbadzie, po czym potrząsa głową, by rozwiać ten obraz. Martwe zwierzęta... Nie, to nie w jego stylu.

– Oczywiście kogut ma też swoje znaczenie w chrześcijaństwie. Czasami symbolizuje Chrystusa. No wiesz, zmartwychwstanie, nowe życie...

– Ktoś zabił ptaka jako chrześcijańską ofiarę?

Max nagle zmienia ton.

– Albo... złożył ofiarę Hekate.

– Bogini czarów?

– Była boginią wielu rzeczy. Grecy nazywali ją Królową Nocy, bo umiała zaglądać do podziemnego świata. Jest boginią rozstajów, rozwidleń dróg na trzy. Dlatego jej wizerunki często są potrójne. Można ją spotkać na rozdrożach w towarzystwie psich duchów. Nazywana jest też Hekate Kourotrophos, czyli Hekate Piastunka Dzieci. Kobiety modliły się do niej podczas porodu.

– Czy składa się jej w ofierze koguty? – Ruth stara się, by w jej głosie nie było słyhać niedowierzania.

– Hm... ten był czarny, a zgodnie z tradycją ofiarowywano Hekate czarne zwierzęta. Ale czasami też ptaki. Łączy się ją także z Ateną i przedstawia z sową, symbolem mądrości.

– Słyszeliśmy sowę.

Max się uśmiecha. Jego zęby lśnią bielą w ciemnościach.

– Może to była Hekate. Pojawia się czasem na bagnach, gdzie zapala ogniki wskazujące drogę podróżnym.

– Błędne ogniki – Ruth przypomina sobie inne legendy o upiornych światłach.

– Właśnie. Światła z bagien. Fosforescencja. Występują w wielu podaniach.

Przeszywa ją dreszcz. Zegar na desce rozdzielczej wskazuje godzinę 22.32.

– Chyba już pójdę.

Max nie próbuje jej zatrzymać ani nie wspomina o kawie, ale gdy ona otwiera drzwi, mówi: „Ruth” i nachyliwszy się w jej stronę, całuje ją w usta.

Od razu kładzie się do łóżka, lecz gdy już leży pod kołdrą z Krzemykiem mruczącym głośno na jej piersiach, nie może zasnąć. W głowie kołaczą jej się słowa i całe wypowiedzi. Obraca się z boku na bok (z czego Krzemyk jest wyraźnie niezadowolony), a mimo to nie może od nich uciec. Trochę to przypomina niespokojny półsen, w jaki się wpada po wypiciu zbyt dużej dawki alkoholu. Tym bardziej ją to denerwuje, bo przecież zdecydowała się tylko na łyk ponczu, a poza tym przez cały wieczór sączyła wyłącznie sok pomarańczowy.

„Jest boginią rozstajów, rozwidleń dróg na trzy.

Obiecał, że odejdzie od żony. I co ty na to?

Czy Nelson wie?

...to strefa graniczna, pomost pomiędzy życiem a śmiercią.

...wszystko się zmienia, nic nie ginie.

Bim, bom, bam, Kicię w studni mam”.

I oto nagle te wszystkie głosy odpływają i Ruth widzi spokojnego, przynębionego mężczyznę, który ze smutkiem wpatruje się w zdewastowany ogród.

„Tu znajdowała się szklarnia, a tam mieliśmy huśtawkę i domek na drzewie. Była też studnia życzeń...

Bim, bom, bam, Kicię w studni mam”.

Ruth siada, zrzucając Krzemyka na podłogę. Już wie, bez cienia wątpliwości, gdzie są ukryte czaszki.

## ROZDZIAŁ 13

Znajdują studnię na tyłach domu, blisko drzewa z liną po huśtawce. Jest częściowo zakryta jedną z nowych ścian, którą Nelson nakazuje rozebrać, wywołując tym wściekłość kierownika budowy.

Po studni życzeń pozostał tylko krąg cegieł wciśniętych w grunt. Dół zakryto betonowym deklek, lecz Nelson uważa, że ma on grubość jedynie kilku centymetrów. Zgodnie z przewidywaniem jeden z robotników po zaledwie paru minutach przewierca się przez tę warstwę wiertarką pneumatyczną. Ruth zagląda do otworu. Zimne, wilgotne powietrze uderza ją w nozdrza i usta, ale wzrok nie jest w stanie przedrzeć się przez ciemność.

- Jak tam głęboko? – pyta Ted.
- Pięć, sześć metrów – odpowiada Nelson – może głębiej.

Nelson ma do dyspozycji policyjnego nurka, który już jest gotowy, żeby wejść do studni – ma na sobie pasy bezpieczeństwa i właśnie mocuje linę do bosaka.

- Po co nurek? – pyta Ruth. – Przecież tam nie ma wody.
- Tego nie wiemy na pewno – mówi Nelson. – On jest ubezpieczony, a my nie dysponujemy specjalnym oddziałem do badania studni.

– Ja zejść – proponuje Ted. – Lubię ekstremalną archeologię.

– Nie, pan nie – oponuje Nelson. – Zostanie pan tutaj.

Nurek opuszcza się ostrożnie w głąb studni i znika im z oczu. Przez kilka minut panuje kompletna cisza, którą przerywa tylko głośny śpiew ptaka.

Wreszcie z dołu dobiega głos:

– Coś znalazłem!

– Co?! – krzyczy Nelson, klękając na krawędzi studni.

– Czaszkę.

– Tylko proszę nie chwytać za oczodoły! – wrzeszczy Ruth i klęka obok Nelsona. – Są bardzo kruche.

– Wychodzę.

Minutę później nurek wyłania się, trzymając ostrożnie czaszkę na otwartej dłoni. Wygląda jak aktor grający Hamleta w eksperymentalnym przedstawieniu (może *Szekspir spotyka Becketta?*). Ruth obiema dłońmi odbiera od niego znalezisko.

– I co? – pyta Nelson.

– Dziecięca – mówi Ruth cicho.

– Tam jest jeszcze coś, inspektorze.

– No to niech pan nie gada, tylko wraca.

Tym razem nurek zjawia się z czymś, co niewątpliwie wygląda na czaszkę zwierzęcą.

– Kot? – pyta Ted, zaglądając Ruth przez ramię.

– Możliwe. – Ruth przypomina sobie Hekate i zastanawia się, jakiego koloru był kot znaleziony pod murem zewnętrznym. Bogini czarów. Hekate Piastunka Dzieci.

Wszyscy wpatrują się w dwie czaszki leżące jedna przy drugiej na brezencie. Ruth myśli o kultach głów, o świętym



Fremundzie myjącym swoją odciętą głowę w źródle, o dziecięcych ciałach grzebanych pod murami świątyni, a Nelson o Martinie i Elizabeth Black. Czyżby w ogóle stąd nie uciekli? Czy ta czaszka należy do jednego z zaginionych, zamordowanego na terenie domu dziecka?

W tę ciszę wdziera się głos Teda.

- Czy zbada je patolog?
- Ludzka czaszka pójdzie do autopsji, a zwierzęcą zabiorę do laboratorium.

Nelson przygląda się, jak Ruth pakuje i etykietuje znalezione. Ludzka wędruje do specjalnego pojemnika, oznaczonego dość ponuro „Patolog policyjny”, który Ruth wręcza Nelsonowi.

- Będziesz przy sekcji? – pyta.
- Za nic bym tego nie przegapił.
- No to się tam zobaczmy.
- Odprowadzę cię do samochodu.

Obserwowani przez pozostałych, wracają przez plac budowy do miejsca, w którym Ruth zostawiła auto w cieniu dębu. W południowym słońcu drzewo druidów i świętej Brygidy wygląda zielono i niewinnie. Ruth otwiera bagażnik i ostrożnie wkłada do środka pudełko z czaszką kota. Nelson obchodzi zakurzone renault dokoła i kopnięciem wsuwa poluzowany kołpak na miejsce.

- Ile zajmie ci ich zbadanie? – pyta.
- Kilka godzin. Dłużej potrwa analiza próbek pobranych przy autopsji.

Nelson wykonuje typowy dla siebie ruch nogą przypominający wierzgnięcie kopytem. Ruth zna go na tyle, by wiedzieć,

że nienawidzi czekać na cokolwiek. Po chwili, wciąż patrząc w ziemię, inspektor mówi:

- Był u mnie Cathbad.
- Czego chciał? – w Ruth budzi się czujność.
- Zapraszał mnie na jakąś szaloną imprezę, obchody pogańskiego święta czy coś w tym rodzaju.

– I nie poszedłeś?

– Nie. Jakoś nie sędzę, żeby to było w moim stylu. Ani Michelle. – Podnosi głowę i spogląda na nią.

Ruth odwraca się pod pretekstem zamykania bagażnika.

- Pewnie masz rację.
- A ty byłaś?
- Tak.
- Sama?

Wpatruje się w niego zaskoczona. Nie wierzy własnym uszom.

– Nie – mówi w końcu. – Z przyjacielem. Maksem Greyem.

– I dobrze się bawiłaś?

– W porządku. Było ognisko, śpiewy, okropne jedzenie. Wiesz, jak to wygląda.

- To brzmi jak opis zebrania masonów.
- A co, czyżbyś był masonem?
- Nie, ale Clough jest.

Chwilę patrzą na siebie w milczeniu, aż w końcu Nelson odzywa się z udawanym entuzjazmem:

– No, przecież nie będziemy tak cały dzień plotkować. Do zobaczenia na sekcji.

Po tym radosnym pożegnaniu szybko odchodzi i niemal

zderza się z Tedem i nurkiem, którzy najwyraźniej zmierzają do pubu.

Ruth zawozi zwierzęcą czaszkę do laboratorium. Instytut jest pusty. Na zewnątrz odbywa się impreza pożegnalna na zakończenie semestru. Jest namiot z piwem i koncert na żywo. W budynku słychać dźwięki gitary basowej przypominające bicie wielkiego serca i rozlegający się raz po raz huk oklasków. W salach wykładowych i laboratoriach panuje natomiast cisza. Ani śladu Cathbada i pozostałych techników. Druid prawdopodobnie bawi się z innymi – on lubi wszelkie święta, pogańskie i nie tylko.

W towarzystwie kości w szklanych słojach, obserwowana przez oczy z plakatu o chorobach wzroku, Ruth wyjmuje czaszkę i zaczyna czyścić ją delikatną miotłką. Na podstawie kształtu i wielkości stwierdza z niemal stuprocentową pewnością, że jest to czaszka kota. Tępe krawędzie kości szyjnych wskazują, że głowa została usunięta w sposób brutalny, prawdopodobnie siekierą. Przyglądając się liniom cięcia pod mikroskopem, dochodzi do wniosku, że odcięto ją po śmierci. Ślady wyraźnie świadczą o tym, że cios zadano od przodu. Gdyby zwierzę jeszcze żyło, spowodowałoby to obfite krwawienie z żyły szyjnej. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że kota najpierw zabito, a następnie pozbawiono głowy.

Dlaczego? Ruth ma wiele teorii, ale żadna z nich nie jest wystarczająco wiarygodna. W tak zwanym celtyckim kulcie głów dekapitacja bywała częścią rytuałów religijnych i magicznych. Umieszczenie głowy w studni może świadczyć o takim akcie rytualnym. Czyżby więc te czaszki były celtyckie?

Jakoś nie bardzo chce mi się w to wierzyć, myśli Ruth.

Na zewnątrz robi się coraz ciemniej i impreza wyraźnie się rozkręca. Ruth słyszy trzaśnięcia drzwi, gdy studenci szukają pustych sal, by zatracić się w seksie lub używkach. Na razie jeszcze nie dotarli do laboratorium. Poza tym przed drzwiami świeci się niebieska lampka oznaczająca „warunki sterylne”. To ich powinno zniechęcić. Ruth jakoś nie wyobraża sobie, żeby ktokolwiek z nich czuł się szczególnie czysty.

Znowu odzywa się ból w krzyżu; Ruth zdejmuje rękawiczki i siada, by napić się wody. Widok tej małej czaszki na blacie nagle wywołuje u niej niewytłumaczalny smutek. Wie, że martwe dziecko jest ważniejsze od kota. Kot jest tylko wskazówką, osobliwością, makabrycznym szczegółem. Mimo to, gdy patrzy na te cieniutkie kostki, czuje przyływ żalu. Kilka miesięcy temu straciła ukochaną kotkę Skierkę i wciąż za nią tęskni. Tego kota też zapewne ktoś kochał. Wysyła wiadomość w przeszłość: „Przepraszam. Przepraszam za to, co ludzie robią zwierzętom”. Zdaje sobie sprawę, że w tym instytucie codziennie dokonuje się eksperymentów na niewinnych stworzeniach (raz lub dwa razy w roku odbywają się demonstracje obrońców praw zwierząt i wtedy przepisy bezpieczeństwa ulegają zaostreniu), ale ogólnie rzecz biorąc, uważa to za dopuszczalne, bo służy ważnej sprawie. Tutaj ma jednak do czynienia z czymś innym.

Czy ten kot został złożony w ofierze? A może potraktowano to jako ćwiczenie – najpierw zabić zwierzę, by przygotować się na coś tak przerażającego jak zabicie dziecka? Co powiedział Max? Zgodnie z tradycją ofiarowywano Hekate czarne zwierzęta.

Pod wpływem nagłego impulsu Ruth podchodzi do pojemnika z pozostałymi śladami ze stanowiska. Torebki z glebą i roślinnością do analizy, fragmenty cegieł i kamieni... ach tak... i jeszcze to... Wyciąga plastikową torebkę z rzymskim sygnetem. Ostrożnie kładzie go na dłoni. Ręcznie napisana etykieta informuje: „Pierścień z brązu z wklęsłorytem, prawdopodobnie rzymski”. Ornament jest trudno zauważalny: trzy nachodzące na siebie obręcze. „Wygląda jak koniczyna”, zauważył Ted, jak przystało na Irlandczyka. Teraz, oglądając go pod mikroskopem, Ruth widzi, że te trzy okręgi to właściwie trzy głowy.

Hekate. Trójgłowa bogini.

13 czerwca

Idy

*Jestem Agamemnonem. Jestem panem domu. Magister Mundi sum. Spoczywa na mnie odpowiedzialność i jako pan i władca mam obowiązki. Czy Agamemnon czerpał przyjemność z poświęceń, których od niego żądano? Nie, a mimo to robił, co należało. Czasami po prostu godzi się zrobić to, co trzeba. Bycie panem domu oznacza wielką samotność i nie byłbym człowiekiem, gdybym nie pragnął, by wszystko było jak dawniej. Żeby nie musiał tego robić. Ale bogowie muszą zostać przebłagani. Nikt nie rozumie. Agamemnon potrzebował wiatru do Troi, ja muszę zapewnić bezpieczeństwo naszymu murom. W zasadzie sprowadza się to do tego samego.*

## ROZDZIAŁ 14

Patolog policyjny jest młody i tak pełen entuzjazmu, że aż męczący. Nazywa się Chris Stevenson; Ruth jeszcze nie miała okazji z nim pracować. Lepiej znała jego poprzednika – uroczego jegomościa starej daty, który zawsze nosił muchę i sztruksowe kapcie. Stevenson zmierza do sali sekcyjnej w miękkich sportowych butach i białym fartuchu z rozwianymi połami. Jak widać, dawny świat zniknął bezpowrotnie.

– Doktor Galloway! Czy mogła by nam pani przedstawić opinię eksperta?

– Spróbuję – mówi Ruth sztywno.

Wie, że ta sekcja będzie próbą sił. Podczas normalnej autopsji to Stevenson byłby ekspertem. Jest ekscentrycznym praktykiem, który lubi na przykład usuwać organy wewnętrzne w całym bloku, a nie w czterech grupach, jak to się zwykle czyni. Podobno podczas poprzedniej sekcji z udziałem Nelsona tak wymachiwał skalpelem, że dwaj stażyści zemdleli. Lubi też dużo mówić, właściwie usta mu się nie zamykają, wypływa z nich nieustający potok informacji, obserwacji i luźnych uwag niczym z porannego programu radiowego – tyle że poświęconego głównie krwi, wnętrzościom i nacięciom. Ruth wie, że

Nelson go nie znosi.

W tej chwili liczą się tylko kości, w suchym, akademickim ujęciu. Nie ma potrzeby cięcia, szycia ani popisywania się teatralnymi gestami. Dzisiaj Ruth będzie ekspertem. Stevenson przeprowadzi badanie, lecz będzie zmuszony zdawać się na nią przy każdej decyzji. Nic dziwnego, że jego dowcipne komentarze nabierają tego ranka pewnej dozy złośliwości. Ruth milczy. Patrzy na kości, już rozłożone na stole sekcyjnym. Taki mały szkielecik. Takie małe życie.

Nelson wchodzi spóźniony i Stevenson wita go słowami:

– Miło, że zechciał pan do nas dołączyć.

– Nie przeszkadzajcie sobie – warczy Nelson. Dziwnie wygląda w lekarskim fartuchu i czepku na głowie. To chyba najmniej twarzowe ciuchy na świecie, myśli Ruth, świadoma, że ona przypomina olbrzymi zielony balon zaporowy.

Technik fotografuje kości, które zostały ułożone w odpowiedni sposób. Następnie Stevenson rozpoczyna badanie. Raz po raz wykrzykuje swoje spostrzeżenia do trzymanego w dłoni dyktafonu. Ruth stoi po przeciwnej stronie stalowego stołu. Odbiera od Stevensona każdą obejrzaną przez niego kość i dodaje własne uwagi. Nelson zajął miejsce za jej plecami i przestępuje z nogi na nogę niczym niespokojny koń.

– ...chrząstka nasadowa jeszcze nie skostniała... wielkość kości długich wskazuje na dziecko... jak pani myśli, doktor Galloway, chłopiec czy dziewczynka?

Ruth przygląda się kościom miednicy. Miednica żeńska jest płystsza i szersza niż męska, ale w szkielecie niedojrzałym nie jest to jeszcze wyraźnie widoczne. Bada wcięcie kulszowe, które jest krótsze i głębsze u osobników męskich. Znowu – u



dziecka jest ledwie dostrzegalne.

– Powiedziałabym, że dziewczynka.

– Tak? A to ciekawe. – Z tonu patologa Ruth wnosi, że jest on innego zdania.

– ...uraz mostka i trzeciego żebra... Co to było, doktor Galloway?

– Wygląda jak ślad po nożu.

– Dama twierdzi, że to nóż. Ano zobaczymy – Stevenson obraca czaszkę. – Zewnętrzne uszkodzenie kręgów szyjnych...

Siekiera, myśli Ruth. Głowę odcięto czymś podobnym do siekiery, i tak jak u kota zrobiono to od przodu.

– Przyczyna zgonu... dekapitacja? – sugeruje Stevenson.

– *Poena post mortem* – mówi Ruth krótko, odwracając się w stronę Nelsona – okaleczenie po śmierci. Głowę odcięto później i zrobiono to od przodu. Śmierć przez dekapitację jest niemal zawsze zadawana od tyłu.

Stevenson chrząka.

– Interesująca teoria. A pan jak myśli, inspektorze?

– Dźgnięcie nożem w pierś, odcięcie głowy. Jedno jest pewne: to na sto procent nie było samobójstwo.

Stevenson rozbawiony wraca do analizy czaszki.

– Brak załączków zębów stałych.

Ruth ogląda się na Nelsona. Brak zębów stałych... to znaczy, że czaszka należała do osoby nie mającej jeszcze sześciu lat.

– Wypełnienie bruzdy w dolnym lewym trzonowcu...

To ciekawe. Przede wszystkim dowodzi tego, że ciało pochodzi ze stosunkowo niedawnej przeszłości (choćby plomby istniały już w starożytnych Chinach, to dopiero w ostatnim stuleciu stały się powszechnie stosowane). Poza tym u tak

małych dzieci wypełnienia są rzadkością, a ich skład będzie cenną wskazówką w kwestii datowania szkieletu.

Ruth nachyla się nad stołem.

– Jakież spostrzeżenia na temat plomby, doktor Gallo-  
way?

– Chciałabym, żeby obejrzał to ekspert stomatologiczny.

– Ma pani kogoś na myśli?

– Tak.

Badanie prawie skończone. Stevenson pobiera próbki do datowania węglowego, a Ruth wypełnia swoje arkusze: cechy niemetryczne szkieletu, patologia, wnioski... Plecy bołą ją od długiego stania, ale nie chce prosić o krzesło, by się nie narażać na politowanie ze strony Stevensona i podejrzenia inspektora. Czy on coś przeczuwa? Ruth nie dopuszcza do siebie takiej myśli.

– Założymy się o wiek szkieletu? – pyta Stevenson. – Pięć lat w każdą stronę.

– Nie.

– Jak pani chce. Wezmę jeszcze trochę próbek do badania DNA.

– Da się pobrać jakiś materiał DNA? – pyta Nelson sceptycznie, patrząc na suche kości.

– Prawdopodobnie tak – stwierdza Ruth – ale DNA mogło ulec zniszczeniu, za długo było w ziemi. Może się nie udać uzyskanie dość dobrej próbki.

– Uda się – mówi Stevenson. – No, pokaz skończony.

Po wyjściu z sali sekcyjnej Ruth zdejmuje fartuch i do-  
kładnie myje ręce. Choć podczas badania nie było krwi, nie  
może się pozbyć uczucia brudu i splugawienia. Może to tylko  
przez zbyt długie przebywanie w obecności Chrisa Stevensona.

Nelson wtyka głowę w drzwi.

– No, dzięki Bogu już po wszystkim. Ten gość to kompletny bufon. Masz ochotę na kawę?

Ruth się waha. Chociaż na myśl o kawie czuje mdłości, to bardzo chętnie poszłaby z Nelsonem do jakiejś przytulnej kawiarni. Ma jednak coś jeszcze do załatwienia.

– Niestety. Umówiłam się.

## ROZDZIAŁ 15

– Jest pani sama?

Pytanie ma tyle znaczeń, że Ruth nie wie, co odpowiedzieć. Oczywiście, że jest sama: stawiała się w szpitalu bez żadnego towarzystwa. Ale ta samotność jest podwójna, gdyż ojciec dziecka nawet nie wie o ciąży. Myśli o Nelsonie, takim, jakim widziała go dziś podczas sekcji, i próbuje go sobie wyobrazić u swego boku, opiekuńczego i oferującego wsparcie. Nie, ten obraz w żaden sposób się nie układa. Nawet gdyby Nelson wiedział, nawet gdyby jakimś cudem byli razem, i tak patrzyłby na zegarek i myślał o powrocie na komisariat. A mama? Próbuje sobie wyobrazić matkę, życzliwą, uśmiechniętą, jak udziela jej rad i zachęty, nie pozwala robić za dużo i każe jeść ciasteczka imbirowe w razie nudności. Nie, to jeszcze mniej prawdopodobne. Shona? Ona cały czas zarzucałaby swymi płomiennymi włosami i robiła piękne oczy do lekarzy. Zabawne, ale jedyną osobą, którą potrafi sobie wyobrazić u swego boku, jest Cathbad. On przynajmniej byłby miły, chociaż ta jego fioletowa peleryna pewnie budziłaby zażenowanie...

– Tak, jestem sama.

Pielęgniarka prowadzi Ruth do sali z łóżkiem i urządzeniem przypominającym telewizor. Przy ekranie stoi kobieta i

nonszalancko zuje gumę. Ruth kojarzy się to z salą sekcyjną, tyle że tym razem to ona jest ciałem leżącym na stole. Nie, takie myśli zakrawają na patologię, gani w duchu samą siebie. Przecież to zwykła rutynowa procedura. Jak autopsja... głos w jej głowie się nie poddaje.

Pielęgniarka każe jej zsunąć spodnie i smaruje brzuch żelem. Ruth się krzywi. Nie znosi, gdy ktoś dotyka jej ciała, i jak ognia unika wszelkich masaży i kuracji upiększających. Przypomina jej się masażystka, która powiedziała kiedyś: „Proszę się rozluźnić”. Może to dziwactwo, ale dla niej obca osoba z wypielęgowanymi palcami ugniatająca jej łopatki podczas paplaniny o wakacjach w żadnym razie nie jest synonimem relaksu.

Kobieta przykładła do brzucha Ruth coś, co przypomina końcówkę stetoskopu, i dość mocno przyciska. Wcześniej zalecono jej, by w miarę możliwości powstrzymała się przed skorzystaniem z toalety, i teraz ucisk jest bardzo nieprzyjemny. Nagle nabiera ochoty, żeby zeskoczyć z tego łóżka, ale wtedy spostrzega na ekranie delikatne szare chmury. Pośrodku coś się porusza.

Ruth już widziała podobne obrazy – USG kości i innych obiektów archeologicznych. Wie, że fale dźwiękowe o wysokiej częstotliwości odbijają się od ciał stałych. Umie patrzeć na stopnie światła i cienia, oceniać gęstość i strukturę. Ale... to coś zupełnie innego. Tutaj widać zbiór ciemnych okręgów poruszających się powoli... to zupełnie nie do pojęcia i jednocześnie całkiem realne. To jest jej dziecko.

– Tutaj jest serduszko – po raz pierwszy odzywa się kobieta, przesuwając językiem gumę w ustach. Pokazuje cztery

czarne, pulsujące kółka. – To kręgosłup. – Ruth wpatruje się w wąską białą linię poruszającą się na ekranie. Z niewyjaśnionej przyczyny do oczu napływają jej łzy. Nagle coś sobie przypomina:

– Może pani stwierdzić, czy to chłopiec, czy dziewczynka?

– Jeszcze nie. Prawdopodobnie będziemy w stanie to zobaczyć przy następnym badaniu, około dwudziestego tygodnia.

Spojrzawszy jednak na ekran wilgotnymi oczyma, Ruth dochodzi do wniosku, że to chłopiec. Jest coś męskiego, niemal dziarskiego, w tej maleńkiej postaci pływającej w macicy. Kobieta wskazuje na inną część ekranu.

– Długie nogi. Czy pani partner ma długie nogi?

Ruth widzi Nelsona kroczącego z miejsca na miejsce, niecierpliwącego się, z ochotą przystępującego do nowego zadania. Jest wysoki, więc jego nogi pewnie są długie. W każdym razie dłuższe niż Ruth. I nagle po raz pierwszy to do niej dociera – dziecko jest w połowie jego. Do tej chwili uważała, że jest wyłącznie jej, a nawet że to jedyna rzecz na świecie, którą może uważać za własną. A przecież to nieprawda... Przez sekundę patrzy na kształt na ekranie jak na coś całkiem obcego – męską miniaturkę Nelsona. Zamyka oczy.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak... mam tylko lekkie mdłości.

– To normalne. Często się zdarza, zresztą i tak już skończyliśmy.

Podaje Ruth papierowy ręcznik do wytarcia brzucha. Ruth powoli siada.

- Wydrukuję pani to zdjęcie.
- Zdjęcie? – Ruth patrzy na nią nieprzytomnie.
- Zdjęcie dziecka! Żeby pokazać partnerowi.
- Ach tak, dziękuję.

Ruth powoli wraca na uniwersytet, świadoma, że zachowuje większą ostrożność niż kiedykolwiek, odkąd zdała egzamin na prawo jazdy. Przestrzega zasady dwóch sekund i wykonując całą procedurę lusterko-migacz-manewr, tak wolno wyprzedza rowerzystę, że samochód jadący za nią trąbi niecierpliwie. Wie, że prowadzi jak starsza pani, lecz nie może nic na to poradzić. Przytłacza ją świadomość, że nosi w sobie inną ludzką istotę. Do tego istotę z własną osobowością i z długimi nogami ojca. Ona, Ruth, jest środkiem transportu wiozącym tego przybysza z punktu A do punktu B i musi pilnować, by nadawać prawidłowe sygnały i nie zderzyć się z nadjeżdżającą ciężarówką. Jak zniesie tę dziewięćmiesięczną podróż bez przekraczania limitu prędkości, bez zatrzymywania się w przydrożnych barach? Może z czasem się przyzwyczai...

Studenci skończyli semestr. Ruth widzi ich wszędzie: znoszą torby do samochodów, żegnają się czule, wypisują słowa pożegnań na podkoszulkach. Skończcie już z tym, chce im powiedzieć. Zobaczycie się znowu we wrześniu. Ale sama pamięta, jak to jest mieć przed sobą całe lato: pracę, podróże, płatanie się po domu i granie rodzicom na nerwach. Cztery miesiące wieczności w wieku osiemnastu lat. Gdy studenci tu wrócą, Ruth będzie już w siódmym miesiącu. Zgodnie z

wydrukiem, który ma w torebce, poród ma nastąpić pierwszego listopada.

Młodzież ma wakacje, ale ona nie. Musi poprawiać prace i przygotować wykłady na przyszły rok. Wchodzi po schodach do biura i wzrusza się na widok dwojga studentów czekających na nią, by się pożegnać. Ruth uczy podyplomowych, którzy zwykle po roku uzyskują tytuł magistra, dlatego naprawdę widzi ich ostatni raz, zwłaszcza że tych dwoje przyjechało ze Stanów Zjednoczonych (w jej grupach jest wielu zagranicznych studentów, bo uczelnia potrzebuje pieniędzy).

– Do widzenia... powodzenia... będziemy w kontakcie... gdyby pani była kiedyś w Wisconsin...

Wreszcie otwiera drzwi swego gabinetu i zaczyna zbierać papiery i podręczniki. Widok tego pomieszczenia z plakatem Indiany Jonesa, ze stertami książek i skryptów, sprawia jej prawdziwą przyjemność. Tutaj przynajmniej jest doktor Ruth Galloway archeologiem, a nie Ruth Galloway – przyszłą matką (stara pierwiastką, co z przerażeniem przeczytała w swojej karcie). Jest pracownikiem naukowym, ekspertem, osobą o uznanej pozycji. Spędzi kilka spokojnych dni w domu, czytając o kościach, rozkładzie, śmierci.

– Ruth! Wszystko w porządku? – wita ją Phil.

Już wie o jej ciąży i stara się okazać troskę. Dlatego mówi ściszym głosem i przy każdej okazji pyta, jak się czuje.

– Jak poszło? – On oczywiście ma na myśli USG (musiała mu powiedzieć, bo przez to nie mogła się zjawić na zakończeniu semestru), lecz ona woli rozumieć to inaczej.



– Autopsja? W porządku. Ten nowy patolog jest może trochę... ekstrawagancki... wyciąga zbyt pochopne wnioski...

– Chodziło mi o szpital.

– A... w porządku, dziękuję.

– Żadnych problemów?

– Żadnych.

Phil staje w przejściu i uśmiecha się irytująco. Ruth ma ochotę się go pozbyć.

– Jedziesz gdzieś na wakacje? – pyta Phil.

– Nie, a ty?

– Właściwie... – wygląda na zażenowanego. – Może pojedziemy z Sue do naszego domku we Francji na kilka dni.

Ruth zastanawia się, co na to Shona. Mówiła, że Phil opuści żonę po ostatniej radzie wydziału. Dlaczego wybrał ten moment, Ruth nie ma pojęcia, wie tylko, że Shona trzyma się tego kurczowo. A jeśli Phil naprawdę zostawi Sue, to problemy Shony dopiero się zaczną, myśli Ruth cynicznie.

– Zajrzysz dzisiaj na stanowisko w Swaffham? – pyta Phil, z ochotą zmieniając temat. – Podobno mają tam coś ciekawego.

– Może. – Właściwie ma zamiar iść prosto do domu. Bołą ją plecy i marzy tylko o tym, żeby się położyć. Phil z wielkim entuzjazmem podchodzi jednak do wykopalisk Maksa. Z Rzymianami zawsze wiąże się jakiś grant, a może nawet występ w telewizji.

– Świetnie. Możesz pobrać trochę próbek gruntu?

A niech to, teraz będzie musiała jechać do Swaffham.

Czemu Phil tego nie zrobi? Pewnie jedzie na spotkanie z Shoną.

– OK – mówi.

Gdy dociera na miejsce, jest już prawie ciemno. U podnóża wzniesienia, na przekopanej ziemi nie ma żadnych samochodów i Ruth sama nie wie, czy się cieszyć, czy smucić z tego powodu. Nie widziała Maksa od obchodów Imbolc. Czy gdy go spotka, poczuje się niezręcznie? Czy tamten pocałunek coś dla niego znaczył? Chyba nie – może w Brighton całują się przy każdej okazji? Zdaje sobie sprawę, że często się nad tym zastanawia. Nie znaczy to, że myśli o nim bezustannie, ma bowiem wiele innych rzeczy na głowie, ale z pewnością absorbuje ją to bardziej, niżby chciała. Ostatecznie przeważa zadowolenie z tego, że jest tu sama.

Wyjmuje z samochodu latarkę i wspina się po nasypie. Jak widać, studenci ciężko pracują. Zrobiono już trzy kolejne wykopy, a małe sterty kamieni świadczą o tym, że odsłonięto nowe budowle. Wygląda na to, że istotnie była tu mała osada, albo przynajmniej willa z otaczającymi ją zabudowaniami. Ruth, zaintrygowana, podchodzi bliżej.

Nagle uświadamia sobie, że jest w tym samym wykopie, który Max pokazał jej przy pierwszej wizycie tutaj. Został już powiększony, aby odsłonić kąć ściany oraz coś, co wygląda na pozostałości po ogrzewaniu podpodłogowym. To by znaczyło, że była to ważna rezydencja. Ruth dostrzega także róg mozaiki. Przez chwilę myśli o tych, którzy się tu osiedlili, na tym odsłoniętym wzgórzu, dwa tysiące lat temu. Czy byli to starożytni

Brytyjczycy, czy Rzymianie na wygnaniu? Nic dziwnego, że zapragnęli ogrzewania, myśli, drżąc z zimna na wieczornym chłodzie.

Już ma wyjść, lecz jeszcze z zawodowego nawyku oświetla latarką fundamenty na poziomie cegieł, poszukując czegoś dziwnego, nietypowego. Wtedy to dostrzega. Mały czerwono-nawobrunatny napis, literki mogą mieć dwa centymetry wysokości. W pierwszej chwili nie jest w stanie ich odczytać, choć tekst wygląda znajomo. Potem zdaje sobie sprawę, że wyrazy są napisane do góry nogami. Przekrzywia więc głowę i czyta: „Ruth Galloway”.

Później trudno jej stwierdzić, dlaczego tak ją to przeraziło. Chyba było coś niesamowitego w tym miniaturowym napisie – jakby jakieś maleńkie, złośliwe stworzenie wpęzło pomiędzy gruz i kamienie, żeby napisać jej imię i nazwisko. Ale z jakiej racji? Przecież związana jest z tym miejscem bardzo luźno.

W jakim celu ktokolwiek zadawałby sobie trud wypisywania „Ruth Galloway” na ścianie wykopu mało znaczącego stanowiska archeologicznego? Na to pytanie nie zna odpowiedzi, wie natomiast, że nie chce tu zostać i spotkać tego złośliwego karła osobiście. Wstaje, słysząc bicie własnego serca.

Towarzyszy jej przy tym uczucie, że ktoś ją obserwuje. Rozgląda się, niespokojnie zatacza szeroki krąg latarką.

– Kto tam?

Nikt nie odpowiada, ale słychać... Tak, to na pewno kroki – ktoś zbliża się do niej, szurając po żwirze w jednym z wykopów.

Ruth wygrzebuje się na zewnątrz i kieruje światło latarki w ciemność. Teraz wyłapuje inny dźwięk. Powolne, miarowe sapanie. Ktoś oddycha bardzo blisko niej.

Ruth nawet nie próbuje ukrywać przerażenia. Trzymając latarkę przed sobą, rzuca się biegiem w dół wzgórza. Nie jest już bezpiecznym wehikułem dziecka, ale przestraszoną kobietą szukającą schronienia. Maleństwo będzie musiało to jakoś wytrzymać. Potyka się, omal nie upada. O Boże, gdzie jest samochód? Wtedy widzi przed sobą światła pubu Phoenix i wie, że idzie w dobrym kierunku. Dysząc ciężko, pędem pokonuje ostatni odcinek. Stary, dobry renault czeka. Wtem Ruth się zatrzymuje, krew zastyga jej w żyłach.

Obok auta widzi ciemną sylwetkę mężczyzny. Zaczyna krzyczeć.

– Ruth? To ja, nie bój się – odzywa się Max Grey.

Krzyk nie milknie i Ruth po chwili z zażenowaniem uświadamia sobie, że to jej własny głos.

– Max! – wzdycha.

Jest przy niej, obejmuje ją. Pachnie dymem ogniska i mydłem.

– Co się dzieje?

– Ktoś... ktoś tam... moje nazwisko... na ścianie...

– Co?

Ruth nabiera powietrza, wspiera się na ramieniu Makska.

– Byłam na stanowisku... żeby się rozejrzeć. Zobaczyłam... swoje nazwisko na ścianie wykopu. Potem... zdawało mi się, że ktoś tam jest i mnie obserwuje. Słyszałam jego oddech. Wiem, to głupie...

W ciemnościach nie widzi twarzy Maksa, ale czuje, jak jego ramię sztywnieje. Głos natomiast jest spokojny, pełen otuchy:

– Może pójde tam i zobaczę? Ty tu zostań. Usiądź w samochodzie, włącz ogrzewanie. Cała drżysz. Poczekaj.

Odwraca się i Ruth zauważa, że jego range rover stoi zaraz za jej samochodem. Max wraca z grubym swetrem i termosem.

– Włóż to.

Naciąga na siebie sweter. Otwiera drzwiczki swojego auta i wchodzi do środka. Max podaje jej termos.

– Napij się. Zaraz wracam.

Ruth pociąga mały łyk. Czarna kawa. Wszystkie napoje mają teraz dla niej dziwny smak, ale ten jest szczególnie. Po chwili dociera do niej, że w kawie jest whisky.

Po kilku minutach Max wraca. Zagląda do niej przez okno.

– Zdołasz dotrzeć do domu? Pojadę za tobą.

Pierwszy raz Ruth czuje ulgę na widok oświetlenia alarmowego, które włącza się, gdy ona otwiera bramę. W tym momencie z radością przyjąłaby każde światło. Otwiera drzwi wejściowe z nadzieją, że bałagan w salonie nie jest zbyt duży.

Max Grey zdaje się nie zauważać papierów rozłożonych po całej podłodze, a nawet brudnych ubrań na sofie. Głaszcze Krzemyka, ogląda jej książki, kolekcję grotów, i z radością przyjmuje zaproszenie na herbatę. Dopiero gdy już siedzą i piją gorący napój (pranie zostało pospiesznie przeniesione do kuchni), poruszają temat tego, co stało się na stanowisku archeologicznym.

– Czy widziałaś tam kogoś, kiedy przyjechałaś? – pyta Max.

– Nie. Było całkiem pusto. Phil chciał, żebym pobrała próbki gruntu i pomyślałam, że popatrzę na wykopy... sporo zrobiliście... i wtedy zobaczyłam te... te słowa.

– Mówiłaś, że coś słyszałaś.

– Tak. Słyszałam... bardzo blisko... jakieś sapanie. Nie wiem. Może mi się zdawało. Natknąłeś się tam na kogoś?

Max chwilę milczy, po czym mówi:

– Widziałem cień, może psa albo dużego lisa. Nic więcej.

– Pies – Ruth czuje taką ulgę, że aż się śmieje. – To by wyjaśniało sapanie.

– Tak. – Max jest jednak poważny. Z zamysłoną twarzą pochyla się nad filiżanką.

– Domyślasz się, kto to mógł zrobić? – pyta Ruth. – To znaczy nikt z twoich studentów nic o mnie nie wie. Żeby zadać sobie trud, zakraść się do wykopu z puszką czerwonej farby...

Max podnosi na nią wzrok.

– Nie sądzę, żeby to była farba.

– Co... – Ruth potrzebuje kilku sekund, by uświadomić sobie sens tego, co próbował jej powiedzieć. – Krew?

Max przytakuje skinieniem głowy.

– Tak myślę. Jutro możemy sprawdzić.

– Ale... dlaczego...? – jej głos przybiera coraz wyższy ton.

– Po co ktoś miałby pisać moje nazwisko na ścianie krwią?

– Nie wiem – mówi i po chwili dodaje: – Czytałaś *Ja, Klaudiusz*?

– Chyba tak... Dawno temu – odpowiada zaskoczona. – Roberta Gravesa, prawda?

– Tak. Jesteś za młoda, nie mogłaś tego oglądać, ale był kiedyś świetny serial telewizyjny oparty na tej książce. Grali w nim Derek Jacobi i Siân Phillips.

Ruth dobrze pamięta ten serial, ale schlebia jej to, że Max uważa ją za zbyt młodą na te wspomnienia. Ten film nadawano w porze, kiedy miała już być w łóżku, ale przypomina sobie czołówkę: węża sunącego powoli po rzymskiej mozaice. Jej rodzice uważali, że to obrzydliwe („Marnotrawstwo naszego abonamentu. Napiszę do Mary Whitehouse”), ale Ruth podejrzewała, że gdy zasypiała, oni mimo wszystko to oglądali.

– I co? – pyta.

Max wzdycha.

– W książce młody Kaligula zabija swojego ojca Germanika, brata Klaudiusza. Robi to, śmiertelnie go przerażając. Dosłownie.

Ruth milczy, myśląc o wężu sunącym po posadzce. To wszystko nagle nabrało jakiegoś surrealistycznego charakteru, jakby grała we własnym filmie, zupełnie nierzeczywistym, w którym te niepokojące obrazy istnieją tylko po to, by szokować co wrażliwszych widzów.

– Zrobił to – ciągnie Max – wykorzystując przesadność Germanika. Ukradł mu jego szczęśliwy talizman, zieloną jadeditową figurkę Hekate. Zostawiał w różnych miejscach domu ciała zwierząt, pióra kogutów umazane we krwi, wypisywał na murach symbole i numery uważane za pechowe... czasem bardzo wysoko, czasem bardzo nisko, tak że wyglądało na to, jakby to była sprawka karła. Potem na ścianie pojawiło się nazwisko Germanika odwrócone do góry nogami. Codziennie znikala jedna litera. W dniu, w którym pozostało już tylko „G”, Germanik zmarł.

Cisza. Krzemyk wskakuje na sofę i głośno pomrukuje. Ruth zanurza dłoń w jego miękkiej bursztynowej sierści.

– Czy naprawdę myślisz – mówi w końcu – że ktoś usiłuje mnie przestraszyć, wykorzystując pomysł z serialu *Ja, Klaudiusz*?

Max wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Ale to było moje pierwsze skojarzenie. I kiedy myślę o tym martwym kogucie...

– Czyli szukamy niezrównoważonego miłośnika Roberta Gravesa?

– Nie mam pojęcia, Ruth. Oczywiście wydaje się, że ktoś próbuje cię wystraszyć.

– Żeby mnie przepędzić ze stanowiska w Norwich?

– Prawdopodobnie. Nie jest tajemnicą, że zostałam tam zaangażowana. Dobrze ci poszło w tej drugiej sprawie, prawda? W sprawie Lucy Downey.

Ruth milczy. Starła się tego nie rozgłaszać (tylko Nelson wiedział na przykład, że to ona, a nie policja, znalazła Lucy), ale podejrzewa, że zawsze są jakieś przecieki. W każdym razie nie było trudno ustalić, że to ona, jako kierownik katedry archeologii sądowej, zostanie zaangażowana do obu spraw.

– Będzie musiał się bardziej postarać, żeby się mnie pozbyć – mówi w końcu.

– Słuszna decyzja – uśmiecha się Max. Znowu zapada cisza, tym razem nieco innego rodzaju. Po chwili Max odzywa się nieśmiało:

– Ruth, zjesz ze mną kolację? W przyszłym tygodniu. Nie w Phoenix. W jakimś przyjemniejszym miejscu.



Ruth patrzy na niego, jak siedzi swobodnie na jej zapadającym się fotelu, z podkurczonymi nogami. Krzemyk obok niej mruczy coraz głośniej. Powinna odmówić. Jest w ciąży. Nie potrzebuje takich komplikacji. Max się uśmiecha. Ruth zauważa, że jeden z jego przednich zębów jest lekko wyszczerbiony.

– Dobrze – mówi. – Z przyjemnością.

Po jego wyjściu czuje się tak zmęczona, że idzie prosto do łóżka, nawet nie sprawdzając, czy Krzemyk ma w misce dostatecznie dużo jedzenia (później ją obudzi, żeby jej o tym przypomnieć). Leżąc, słyszy jeszcze samochód Maksa oddalający się wąską drogą. Dziesięć minut później oświetlenie alarmowe ponownie się włącza. Ona jednak nie wstaje.

19 czerwca

Święto Minerywy

*Muszę się przygotować. Nie wolno mi działać ex abrupto. Tak więc – mam nóż, który już jest odpowiednio naostrzony, i siekierę, która przyda się później do obcięcia głowy. Wciąż się zastanawiam, czy potrzebne będzie jakieś znieczulenie, żeby dziecko nie krzychało. Takie rzeczy są trudne do zdobycia. Może dentysta będzie przydatny, to inteligentny człowiek, zna wszelkie naukowe nowinki. Mogę łatwo wytłumaczyć potrzebę chloroformu tym, że chcę przeprowadzić w szkole jakiś naukowy eksperyment.*

*Jak zwykle ona stwarza problemy. Nigdy nie odchodzi od dziecka. Muszę ją poprosić, nie, nakazać jej (w końcu jestem Panem), żeby zostawiała je popołudniami samo. Na pewno czekają na nią w domu różne rzeczy do zrobienia.*

*Mam na to mniej więcej tydzień. Problem polega na tym, że czasem czuję słabość i bogowie zsyłają mi straszne sny. Budzę się zlany potem i płacząc – żalosne. Jednakże nic mnie nie odwiedzie od tego zamiaru. Zaczęłam pościć, aby oczyścić ciało. Wszystko musi być przygotowane.*

## ROZDZIAŁ 16

Wyniki badania DNA wykazują, że ciało pod progiem to dziewczynka. Sekcja potwierdziła, że nie miała jeszcze sześciu lat. Nelson dochodzi do wniosku, że ksiądz Hennessey musi złożyć dodatkowe wyjaśnienia.

Tym razem nie jest to przyjemny spacer po ogrodzie. Nelson przesłuchuje księdza na komisariacie. Posyła po niego samochód, a gdy duchowny przyjeżdża, inspektor siedzi z poważną miną za biurkiem. W gabinecie jest także Clough. Kiedy Hennessey wchodzi, Nelson mówi do dyktafonu: „Przesłuchanie rozpoczyna się o czternastej zero zero. Obecni: inspektor Harry Nelson i sierżant David Clough”.

Ksiądz Hennessey uśmiecha się uprzejmie i siada naprzeciwko Nelsona. Nie wygląda na zaskoczonego tym chłodnym przyjęciem, nie próbuje też prowadzić wstępnych pogawędek. Czeka spokojnie na pierwsze pytanie.

– Proszę księdza – ta pełna szacunku forma z trudem przechodzi mu przez gardło – wspominał ksiądz o dwójce dzieci, które zagięły w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku.

Oczywiście już to sprawdzili. Nelson liczył na to, że znajdzie dokumentację stomatologiczną Elizabeth Black, żeby porównać ją z czaszką, ale nie dotarli do żadnych dowodów, że

Elizabeth kiedykolwiek odwiedziła dentystę.

- Tak – mówi ksiądz Hennessey, nie odwracając wzroku.
- Może nam ksiądz powiedzieć coś więcej o ich zaginięciu?

Przesłuchiwany wzdycha.

– To było wieczorem. Dzieci miały trochę wolnego czasu przed snem i większość z nich bawiła się na boisku. Naturalnie pod nadzorem. Siostra Immaculata zwołała wszystkich około szóstej, ale Martin i Elizabeth nie przyszli. Z początku myśleliśmy, że się po prostu gdzieś schowali. Martin miał... szczególne poczucie humoru. Ale po przeszukaniu całego domu i terenu zaczęliśmy się niepokoić.

– Kiedy wezwaliście policję? – pyta Nelson.

– Niemal natychmiast. Sprawdzili dom i cały teren. Niektórzy bardzo się przejęli. Ale niczego nie znaleziono. Później rozszerzono obszar poszukiwań.

– A czy ksiądz też szukał? Osobiście?

Hennessey spogląda w bok.

– Całą noc – mówi w końcu. – W domu i w okolicy. Potem objechałem Norwich na motocyklu. Zaglądałem do różnych zaułków, opuszczonych domów, wszędzie, gdzie według mnie mogli się ukryć.

– Miał ksiądz motocykl? – przerywa mu Clough.

– To nie jest sprzeczne z prawem – odpowiada Hennessey spokojnie.

– Czy podczas tych poszukiwań – wtrąca Nelson – policja kiedykolwiek przekopywała teren?

– Nie.

Małoły, kwituje w myśli Nelson. Prawdopodobnie ich również zmylił ten święty kapłan na motorze. Ani przez chwilę

nie pomyśleli, że mógłby zabić dziecko. Ale on, Nelson, jest inny.

– Czy zaglądali do studni? – pyta.

Teraz ksiądz Hennessey wygląda na zaskoczonego.

– Nie. Studnia była zakryta, zabetonowana. Dziecko nie mogło tam wpaść.

Nelson nie odpowiada, prowadzi swoją grę w milczeniu. Tym razem to on jest górą.

– Czy znaleźliście coś w studni? – odzywa się Hennessey.

– Dziecięcą czaszkę – odpowiada Nelson. – Pięcioletniego dziecka. Dziewczynki. – W raporcie z autopsji napisano: „poniżej sześciu lat”, lecz Nelson chce zmusić Hennesseya, by zdradził się z czymś szczególnym.

Ksiądz wygląda jak rażony piorunem. Porusza w milczeniu ustami, jakby się modlił.

– Czy to Elizabeth? – pyta.

– Nie mamy pewności – mówi Nelson. – Jeszcze. – Nie widzi powodu, by dodawać, że może nigdy się nie dowiedzą, gdyż nie mają DNA Elizabeth. Chce, by Hennessey myślał, że on się tego dowie. Nelson, nieustraszony poszukiwacz prawdy, postrach złoczyńców.

– Jak ta czaszka się tam dostała? – pyta Hennessey, wciąż struchlały. Przełyka haust wody. Nagle wyraźnie widać, że jest już starym człowiekiem.

– Myślałem, że ksiądz mi to powie.

– Nie mam pojęcia – teraz jego ton jest ostrzejszy. Hennessey odzyskuje równowagę.

Znowu cisza.

– Czy był ksiądz w dobrych stosunkach z Martinem i Elizabeth? – zmiana tematu i tonu. Stara metoda przesłuchań.

Hennessey stawia czoło wyzwaniu. Patrzy inspektorowi prosto w oczy.

– Tak. To były urocze dzieci, bardzo mądre, bardzo kochane. Miały za sobą traumatyczne przejścia, śmierć matki i zostały... skrzywdzone.

– Skrzywdzone? – żywo reaguje Nelson. – Co to znaczy?

– Takie rzeczy pozostawiają blizny, inspektorze. Martin był rozgoryczony, miał pretensje do matki o to, że go zostawiła, i do całego świata, że na to pozwolił. Elizabeth była łagodniejsza. Bardzo smutna, niepewna. Nie odstępowała Martina, nie pozwalała sobie odebrać przytulanki, takie rzeczy. Ale powoli zaczęli się odnajdywać. Martin był wyjątkowo zdolny. Staralem się rozbudzać w nim ciekawość świata. Dawałem mu książki.

– Jakie książki?

– Różne. Interesował się naukami ścisłymi i historią. Podsuwałem mu książki o Grekach i Rzymianach. Fascynowała go myśl, że ten dom mógł powstać na miejscu dawnej rzymskiej osady.

Nelson przypomina sobie uwagi Ruth o rzymskich skorupach znalezionych na tym terenie. Okazuje się, że ksiądz wiedział o tym już wtedy.

– To znaczy, że relacje księdza z dziećmi były bliskie?

Hennessey znowu patrzy mu prosto w oczy, niemal wyzywająco.

– Tak.

- A reszta personelu?
- Wszyscy kochali Elizabeth. Była takim słodkim dzieckiem, które dawało się kochać. Martin... z nim było trudniej.
- Rozmawialiśmy z siostrą Immaculata.
- Tak? – Hennessey pochyla się do przodu. – Co u niej?

Jak się miewa?

– Jakoś się trzyma – odpowiada Nelson chłodno. – Umysło bez zastrzeżeń.

Hennessey kiwa głową.

– To dobrze. Miała ciężkie życie. Biedna kobieta...

Nelson nie zwraca na to uwagi.

– Mówi, że Martin sprawiał kłopoty.

– Wspomniałem już, że był rozgoryczony.

– Czy miewał niekontrolowane napady złości? – pyta Clough zyczliwie.

Ksiądz Hennessey po raz pierwszy sprawia wrażenie wzburzonego:

– Nie, nie miewał niekontrolowanych napadów złości ani nie zabił swojej siostry w przyпіływie szaleńczej furii, co chyba pan insynuuje. Kochał ją. Byli ze sobą wyjątkowo zżyci.

– Nienaturalnie zżyci?

– Nie, to było naturalne. Byli rodzeństwem i nie mieli na tym świecie nikogo oprócz siebie. Nie sądzi pan, że to mogło ich do siebie zbliżyć?

– Niczego z góry nie zakładam – mówi Nelson. – Ksiądz ich znał, ja nie. Chcę się tylko dowiedzieć, kto mógł zabić dziecko i wrzucić jego głowę do studni. Ktokolwiek to był, na pewno nie było to naturalne.

Hennessey patrzy na niego.

– Może nienaturalne – mówi bardzo cicho – ale na pewno złe.

Droga z komisariatu upływa im w milczeniu, jeśli pominąć chrupanie Clougha, który zjada dwie paczki chipsów Hula Hoops. Nelson zdaje sobie sprawę, że w zasadzie nie posunęli się naprzód. Ksiądz Hennessey wydawał się wstrząśnięty, ale i szczerze zaskoczony tym, że znaleziono czaszkę. Nie na tyle jednak, by zacząć się zwierzać. Nelson zresztą wcale nie liczył, że go do tego namówi. Hennessey to twardy zawodnik. Opanowany, niemal nieprzenikniony, pomimo wewnętrznego ciepła. Ale czy to czyni z niego zabójcę?

– Myślisz, że to on? – pyta Nelson Clougha, gdy pędzą przez malownicze wioski (znaki przy drodze krzyczą: „Naciśnij hamulec, oszczędź dziecko!”).

– Ten ksiądz? Możliwe. Nietrudno było je zabić, ukryć ciała, a potem pogrzebać. Policja nigdy nie przekopała terenu.

– Kretyni! – Nelson zaciska zęby. – Myślisz, że z którymś z nich moglibyśmy się skontaktować?

– Może Tom Henty. Sierżant z Lynn. On chyba jest tu od zawsze.

– Dobry pomysł. Pogadam z nim.

– A pan, szefie, myśli, że Hennessey to zrobił? – Clough spogląda na niego z ciekawością.

– Wydaje mi się, że coś ukrywa – mówi Nelson powoli. – Coś, co ma związek z tymi dziećmi. Może kogoś osłania.

– A ta zakonnica? Judy mówiła, że jest stuknięta.



– Nie. Powiedziała, że jest twarda.  
– Na jedno wychodzi. Zakonnica mogła je zabić.  
– Dlaczego?  
– Może molestowała dziewczynkę i chłopak to odkrył.  
– Twój umysł jest jak prasa kolorowa!  
– Dzięki.  
– To nie komplement. Nie tak łatwo pozbyć się ciała dwunastolatka.

– Jeżeli żyją, to gdzie teraz są?

– Oto jest pytanie! Rozszerzymy poszukiwania. Spróbujemy znaleźć krewnych z Irlandii. Porozmawiamy z innymi osobami z domu dziecka. W dziewięciu przypadkach na dziesięć zaginione osoby wracają tam, gdzie się wszystko zaczęło. Jakby nie mogły oddalić się na dobre.

– Myśli pan, że żyją?

– Chłopak może tak. Był już dość duży, żeby o siebie zadbać. Dziewczynka... to chyba jej szkielet.

– To byłby niezwykle zbieg okoliczności, gdyby ten szkielet nie był jej – mówi Clough, grzebiąc w pustej torebce po chipsach wilgotnym palcem. – Dwoje martwych dzieci w jednym miejscu.

– Racja – wzdycha Nelson. Ciekawe, że był tam dom dziecka, cmentarz przykościelny, a może nawet rzymska willa. Kto wie, ile jeszcze wcieleń miało to miejsce, ilu zgonów było świadkiem... Odgania od siebie te myśli. Co się z nim dzieje? Zaczyna rozumować jak Cathbad.

– Wie pan, co było dziwne? – odzywa się nagle Clough. – Że tyle mówił o miłości.

- U księży to normalne.
- Nie. To było jakieś takie niesamowite. Powiedział, że dziewczynka dawała się kochać. Według mnie to trochę dziwaczne.

Nelson się zastanawia. Czy to było osobliwe? On traktował niektóre stwierdzenia księdza (wszyscy kochali Elizabeth) jako standardowy sposób wysławiania się duchownych. A jeżeli Clough ma rację? Może tu chodzi o coś bardziej grzesznego? Czy stwierdzenie „dawała się kochać” w odniesieniu do pięcioletniej dziewczynki jest dziwne? Czy to ma znaczyć, że ksiądz żywił do niej jakieś perwersyjne uczucia?

- Tak powiedziała także ta zakonnica. To było w raporcie Judy. Podobno Hennessey uważał, że chłopak potrzebuje „miłości i troski”.

Nelson jest pełen uznania, że Clough to zapamiętał. Ale z drugiej strony cóż to za smutny świat, skoro nie wolno w nim kochać dzieci.

- Może je naprawdę kochał – mówi – taką ojcowską miłością.

– Jezu... – wzdycha Clough – to brzmi jak słowa prawdziwego kaznodziei.

– Bzdura – odpowiada Nelson ze złością, nieuważnie wjeżdżając na autostradę. – Ja tylko nie wyciągam pochopnych wniosków. Nigdy nie zakładaj sobie niczego, tak mawiał mój pierwszy szef.

– Wiem. „Przez to obaj wychodzimy potem na głupków”, tak to leciało. – Clough wygląda przez okno, a Nelson zastanawia się, czy on aby nie zapomniał, gdzie jest jego miejsce w szeregu. Trochę czasu w miejscowych archiwach – to powinno utrzyć mu nosa.

– Jutro – oświadcza chłodno – zaczniesz poszukiwania rodziny tych dzieciaków. I przejrzyj księgi wieczyste. Chcę mieć spis wszystkich osób, które kiedykolwiek były właścicielami tej działki.

– Jezu – mruczy Clough tonem, który stanowczo nie ma nic wspólnego z pobożnością.

## ROZDZIAŁ 17

Max zaproponował, żeby spotkali się w Reedham, co Ruth uważa za zły pomysł. Reedham leży na terenie parku krajozobrazowego Norfolk Broads po przeciwnej stronie Norwich. Żeby tam dotrzeć, trzeba przebyć długą i nudną drogę przez siedem kręgów piekieł, czyli obwodnicę Norwich. Dlaczego nie mogą się spotkać gdzieś w King's Lynn, myśli Ruth ze złością, wsiadając do samochodu. W King's Lynn nie brak przecież restauracji. Może Max jest typem smakosza, który chce ją zabrać do jednego z tych eksperymentalnych lokali, gdzie podają lody o smaku parówek albo smażone jeże. No cóż, jeśli zaproponują jej podobne przysmaki, to wszystko zwróci w toalecie i nie będzie czuła wyrzutów sumienia. Zaczyna żałować, że nie została w domu z opakowaniem łazianki od M&S i kolejnym odcinkiem *Prawa ulicy*.

Mają się spotkać przed pubem Ship, często odwiedzanym przez żeglarzy. Chyba nie kazał jej przebyć całej tej drogi po to, żeby zjadła posiłek barowy w otoczeniu hałaśliwych londyńczyków?

Max siedzi przy stoliku z widokiem na rzekę. Gdy Ruth wchodzi do lokalu, zrywa się, a potem całuje ją z zakłopotaniem w policzek. Czyżby to była randka?

– Pięknie wyglądasz – mówi na powitanie.

Ruth ma na sobie luźną, marszczoną tunikę i bawełniane spodnie. Nie spodobał jej się ten styl, gdy wchodził w modę, bo wszystkie kobiety wyglądają w tych ubraniach, jakby były w ciąży. Teraz oczywiście działa to na jej korzyść.

– Jemy tutaj? – Rozgląda się po pubie, który w wieczornym świetle wygląda całkiem przyjemnie. Pomieszczenie zaczyna się zapełniać i do brzegu rzeki podpływają łabędzie w poszukiwaniu poczęstunków.

– Tutaj? Nie. Trochę dalej.

Ku jej zdumieniu Max rusza do swojego samochodu.

– Dokąd jedziemy? – pyta podejrzliwie.

– Zobaczysz,

Mijają domy na wzgórzu z ładnymi ogródkami opadającymi ku rzece. Czyżby Max miał tutaj dom? W takim razie na pewno zarabia więcej niż większość archeologów. Tymczasem on opuszcza osiedle mieszkalne i wjeżdża w polną drogę. Przed nimi pojawia się las sterczących w niebo masztów.

Max parkuje na końcu drogi, gdzie Ruth widzi kilka innych samochodów oraz budynek z napisem „Prysznice”. Na wprost znajduje się mała przystań, pełna lśniących łodzi. Niektórzy urządzają sobie grille, wokół biegają dzieci i psy. To wszystko wygląda bardzo przyjemnie, lecz Max nie zwraca uwagi na właścicieli jachtów. Wchodzi na most pontonowy, który kiwa się pod jego ciężarem. Ruth ostrożnie postępuje za nim. Wolałaby nie wpaść do wody, żeby nie musiał jej wyciągać jakiś pijany wczasowicz. Docierają do końca przystani i zatrzymują się przy małej drewnianej furtce.

– Już niedaleko.

Za furtką kolejny ponton, dużo bardziej chwiejny od poprzedniego. Idą gęsiego wzdłuż połyskującej jak jedwab rzeki. Po obu stronach ciągną się pola kukurydzy tak wysokiej jak oni. Zapada zmierzch; ptaki latają nisko. Wtem rzeka przed nimi rozwidła się jak na ilustracji w książce dla dzieci. Którą drogę wybrać?

– Oto i ona! – obwieszcza Max.

Speszona Ruth szuka „jej” wzrokiem. Może Max sprowadził ją tutaj, żeby poznała jego żonę? Wtedy zauważa, że on wskazuje na łódź przycumowaną na końcu mostu pontonowego. Jest mała, niebiesko-biała, z pasiastymi markizami.

– Twoja?

– Witam na pokładzie Lady Annabelle.

– Tutaj mieszkasz?

– Tak. – Max lekko wskakuje na łódkę i wyciąga rękę do Ruth. – To bardzo wygodne. Mogę codziennie cumować w innym miejscu, ale najczęściej trzymam ją tutaj. Dość daleko od Swaffham, ale warto. Tutaj noce są niesamowite, można spać pod gwiazdami i słuchać szumu rzeki.

Na pokładzie stoi mały stolik nakryty dla dwóch osób, ze świecami i winem w małym wiaderku. Ruth się rozgląda. Choć przystań jest blisko, nie dobiegają tu żadne dźwięki oprócz odgłosów wody uderzającej o burtę. Nad taflą rzeki przelatują jaskółki, a na przeciwnym brzegu, w wysokiej, wilgotnej trawie stoją krowy.

Max patrzy na nią z niepokojem.

– Podoba ci się? Pomyślałem, że tu będzie milej niż w restauracji. No i rzadko mam okazję dla kogoś gotować.

– Jest idealnie – mówi Ruth. Teraz, gdy już minęło zaskoczenie, pierwszy raz tego dnia czuje się rozluźniona i poddaje

się urokowi wieczoru.

Max nalewa im po kieliszku białego wina (Ruth nie chce odmawiać) i proponuje, że oprowadzi ją po łodzi.

– Jest bardzo mała, więc potrwa to dosłownie minutę.

– Czy to... ona... jest twoja?

– Nie, przyjaciela, który mieszka w pobliżu. Gdy się dowiedział, że przyjeżdżam do Norfolku na lato, zaproponował mi ją na siedzibę. To łódź poleasingowa, nazywają je tu wanami. Dobrze się sprawdza przy przepływanii pod niskimi mostami.

Łódź istotnie jest mała, lecz Ruth najbardziej fascynują ślady obecności Maksa. Pod pokładem znajduje się kuchenka, a na niej w rondlu coś się dusi. Z sufitu zwisają sznury ziół i czosnku. Naprzeciwko stoją ława i wąski stół. W ostrym kącie dziobu mieści się łóżko z mnóstwem poduszek. Ruth dostrzega książkę na szafce nocnej i, o dziwo, pluszową zabawkę na poduszce. Może Max wcale nie jest tak pewny siebie i dojrzały, jak się wydaje. Nad łóżkiem są okna, które zapewne wychodzą na front łodzi. Jest też prysznic i mała toaleta, z której Ruth, zakłopotana, musi skorzystać.

Siedzą na pokładzie, popijając wino (w wypadku Ruth bardzo powoli) i rozmawiają o wykopaliskach Maksa.

– To stanowisko ma duże znaczenie. Kilka budynków wokół świątyni. To może być *vicus*.

– *Vicus*? – Ruth czuje się zawstydzona, że nie zna tego słowa.

– Mała osada, zwłaszcza w pobliżu bazy wojskowej. Takie miasteczko garnizonowe.

– Znaleźliście jeszcze jakieś szkielety?

– Nie. Tylko więcej skorup. Kilka monet, inne metalowe przedmioty, prawdopodobnie pionki od jakiejś gry. Sygnet z pieczęcią.

– To mi coś przypomina... – Ruth opowiada mu o pierścieniu znalezionym na stanowisku w Norwich. Max milczy przez chwilę, dolewając wina.

– Wygląda na Hekate. Czy to były ludzkie głowy?

– Tak sądzę.

– Hekate czasami jest przedstawiana z trzema głowami zwierzęcymi: węża, konia i dzika.

– Te przypominały ludzkie.

– A na tym stanowisku są jakieś inne dowody istnienia rzymskiej osady?

– Na razie nie, ale znaleźliśmy trochę ceramiki z Samos.

– Taak? – Max wygląda na szczerze zainteresowanego.

– Może któregoś dnia wpadniesz obejrzeć?

– Chętnie. – Znika pod pokładem, by zajrzeć do jedzenia, które okazuje się wyborne: kurczak w czerwonym winie, ryż z szafranem, zielona sałata.

– Naprawdę dobrze gotujesz – chwali go Ruth z uśmiechem.

– Lubię gotować, ale... mieszkam sam... – zapada niezręczna, ciężka cisza.

– Zawsze tak było? – ośmiela się Ruth, świadoma, że to dość osobiste pytanie.

Max chętnie udziela odpowiedzi.

– Jakiś czas mieszkalem z dziewczyną, ale rozstaliśmy się, w przyjaźni. Teraz myślę, że byłoby mi trudno znowu z kimś zamieszkać. Człowiek się przyzwyczaja do własnej przestrzeni. A ty?



– Kilka lat mieszkałam z kimś. Po rozstaniu poczułam ulgę, że mam cały dom dla siebie. Chyba nie jestem stworzona do życia z kimkolwiek.

– Spotykasz się z kimś?

– Nie. – Ruth czuje, że to jest ten moment, w którym powinna mu powiedzieć, że chociaż nie ma partnera, to ma inne, bardziej trwałe zobowiązanie. Waha się, szukając odpowiednich słów.

– Ruth... – Max wyciąga rękę, by dotknąć jej dłoni.

– Jestem w ciąży – wyznaje.

– Co? – Opada plecami na oparcie.

Jest już ciemno i Ruth nie widzi jego miny. Nabiera powietrza w płuca i na jednym wydechu oświadcza:

– Jestem w ciąży. Nie jestem z ojcem dziecka. To skomplikowane.

– Ojej... – Mężczyzna sprawia wrażenie całkiem skołowanego.

Ruth zjada ostatni kawałek kurczaka i natychmiast czuje wstyd, że przy tak ważnym wyznaniu myśli o jedzeniu. Ale ta potrawa jest naprawdę smaczna.

– Nie wiem, co powiedzieć – podsumowuje Max.

– W porządku – odpowiada Ruth, żując kurczaka. – Nie musisz nic mówić. Pomyślałam tylko, że powinieneś wiedzieć, i tyle.

– Kiedy termin porodu?

– W listopadzie.

– Przygotowałem sery na później – oznajmia nagle Max. – Łagodne. Chyba nie powinnaś ich jeść. W ciąży to raczej nie najlepszy pomysł...

Ruth śmieje się, wzruszona, że tak przejął się jej stanem, i zadowolona, że ma już to wyznanie za sobą.

- I tak już jestem pełna.
- Upięknem czekoladowe babeczki.
- Na czekoladowe babeczki jeszcze znajdzie się miejsce.

Po deserze Max opowiada jej, że jedną z przyczyn, dla których on i jego partnerka się rozstali, było to, że on chciał mieć dzieci, a ona nie.

– Ja nigdy nie chciałam – mówi Ruth – albo tak myślałam... Wystarczyły mi koty. Ale kiedy zaszłam w ciążę, sama się zdziwiłam, jak mnie to ucieszyło. Nagle zapragnęłam tego dziecka bardziej niż czegokolwiek.

– Mimo wszystko to musi być niesamowite uczucie – śmieje się Max, lekko zażenowany. – Wiem, to dziwnie brzmi, ale zawsze zazdrościłem kobietom ciąży. Aż trudno sobie wyobrazić, że wewnątrz organizmu dzieje się coś tak niezwykłego.

- I można jeść, nie martwiąc się o figurę.
- Jeszcze ciasteczko?
- Nie, dziękuję.

– Ale jest to też przerażające – ciągnie Ruth po chwili. – Nic nie wiem o dzieciach i w ogóle... Nie jestem blisko z matką... Nikt z przyjaciół nie ma dzieci.

To niezupełnie prawda. Niektóre koleżanki Ruth ze szkoły i studiów mają dzieci, i to na ogół już kilku-, a nawet kilkunastoletnie. Tyle że gdy one zostały matkami, między nimi a bezdzietnymi znajomymi jakby wyrósł niewidzialny mur. Ruth pojawiała się w szpitalach z kwiatami i balonikami („To dziewczynka!”), pamiętała o prezentach na urodziny i Boże

Narodzenie, lecz zawsze była poza tym zaklętym kręgiem macierzyństwa. Z czasem te przyjaźnie słabły i gasły.

– A ojciec dziecka?...

– Nie wie.

– Aaa... – Ruth słyszy w jego głosie dezaprobatę. No tak, Max chce mieć dzieci. Utożsamia się z nieznanym ojcem, będzie jej zarzucał naruszanie praw ojcowskich i inne nowoczesne przewinienia. Może nawet wskoczy na dach w stroju Supermana.

– Powiem mu – oświadcza – tylko... on jest żonaty.

– Ooo... – wydaje z siebie inny dźwięk, bardziej wyrozumiały, może nawet współczujący. – Nie znam się na dzieciach, ale jak chcesz, możemy o tym porozmawiać.

– Dziękuję.

Milczenie, tym razem niekrępujące, przerywa dzwonek komórki. Ruth sięga po telefon z zamiarem wyłączenia go, ale wtedy widzi nazwisko: Debbie Lewis.

– Przepraszam. Chyba powinnam odebrać.

Nelson jest w domu i przegląda to, co z nadąsaną miną przedstawił mu Clough po przeszukaniu archiwów. Zwykle nie przynosi pracy do domu (złożył obietnicę Michelle na początku małżeństwa, że nie będzie tego robić, i starał się dotrzymywać słowa). Teraz zależy mu jednak bardzo, żeby ruszyć ze sprawą z miejsca. Jeżeli Clough znalazł jakieś użyteczne informacje... ale wydaje się, że nie znalazł.

Ma przed sobą akty urodzenia Martina i Elizabeth: matka Louise Black, z domu Maxwell, ojciec Daniel Black. Ma też akt zgonu Louise Black wydany w 1970 roku i Daniela Blacka z

1998 roku. Jeżeli nawet, zgodnie z przypuszczeniami Nelsona, Daniel Black wiedział o zniknięciu swoich dzieci więcej, niż przyznawał, to i tak jest za późno, by z nim porozmawiać.

Są także raporty z przesłuchań pracowników Domu Dziecka Najświętszego Serca Jezusowego – sprzątaczek, ogrodników, higienistek, opiekunek. Te wszystkie zeznania bez wyjątku świadczą o świętości ojca Hennesseya i wysokim poziomie opieki w placówce. Jeden z ogrodników mówi o Martinie Blacku „kłopoty”, ale można to łączyć z upodobaniem chłopaka do kopania dziur w trawniku. Higienistka stwierdza, że Elizabeth miała skłonność do przeziębień i zapaleń krtani, ale poza tym była zdrowa, a Martin – „zdrów jak koń”.

Clough odnalazł też ich daleką kuzynkę mieszkającą w Irlandii, lecz ona nie widziała Martina od 1963 roku, a Elizabeth nigdy, więc ten kontakt ma niewielkie znaczenie.

Nelson rozmawiał również z Tomem Hentym, siwym sierżantem, który bardzo dobrze pamiętał sprawę Blacków.

„– Wielka akcja, wszystkie urlopy odwołane. Nie mogliśmy pojąć, jak dwoje dzieci mogło ot tak sobie zniknąć. Byłem wtedy posterunkowym i jako jeden z pierwszych poszedłem do tego domu. To był piękny duży budynek, niemal jak dworek. Wysokie sufity, żyrandole, taki dostojny wystrój, ale wszędzie dziecięce rzeczy: zabawki, małe stoliczki, sprzęt sportowy w jadalni. Dziwne miejsce.

– Czemu tak pan uważa?

– Nie wiem. Ten ksiądz dyrektor to był porządny gość, to było widać, i dzieciaki wesołe, ale sam dom był dziwny.

Przeszukałem sypialnie... na górze, na poddaszu... masa małych łódeczek pod skosem sufitu i... no nie wiem... miałem ciarki na plecach. Cały czas spodziewałem się, że w którymś łóżku zobaczę zwłoki.

– Ale nie znalazł pan niczego.

– Nie. – Widząc spojrzenie Nelsona, Henty dodał, jakby usprawiedliwiająco: – Niczego nie znaleźliśmy. Przeszukaliśmy cały teren, nurkowie zbadali rzekę, obeszliliśmy okoliczne domy i nic.

– Zglądaliście do studni?

Henty wydawał się zdumiony.

– Była zasłonięta. Nikt nie ruszał pokrywy... – Spojrzał na Nelsona z nagłym przerażeniem w oczach. – To o to chodzi? Znaleźliście ciało w studni?”

Teraz Nelson siedzi w swoim gabinecie (zwanym też małą salką przez Michelle i bawialnią przez Laurę i Rebecce), czyta wydruki i kserokopie, zastanawiając się, dokąd go to zaprowadzi. Na pewno wkrótce dowie się o tym prasa i jeżeli do tego momentu nie będzie miał wiarygodnego podejrzanego, powieszą go, rozszarpią i poćwiartują. Ciało dziecka zakopane pod byłym domem dziecka – tabloidy z radością rzucają się na taki temat. W dodatku zbliża się lato, czyli sezon ogórkowy dla dziennikarzy. Jeśli nie zachowa ostrożności, to na pierwszych stronach gazet przez kilka miesięcy będzie się pojawiał Inspektor Gamoń z policji w Norfolku.

Wzdycha. Słyszy muzykę z serialu *Seks w wielkim mieście* dobiegającą z salonu, co oznacza, że przynajmniej na razie nie usłyszysz żadnej zachęty do opuszczenia gabinetu. Jego żona i

córki są uzależnione od tego serialu, który leci co wieczór na kanale Sky. Według niego są tam same sprośności, a do tego aktorki wyglądają jak dziwolągi... W każdym razie on nigdy nie widział takich kobiet.

„Taka jest teraz moda, tato”, wyjaśniła mu Rebecca.

Skoro to moda, to czemu jeszcze nigdy nie widział nikogo tak ubranego? Może to styl amerykański? Oprócz jednej wycieczki do Disneylandu, która się raczej nie liczy, Nelson nigdy nie był w Ameryce, i wcale go tam nie ciągnie. W odróżnieniu od innych policjantów nie marzy mu się praca w FBI, której towarzyszą szybkie samochody, strzelaniny i cała ta niewiarogodna otoczka. Tam życie stróżów prawa – Nelson nie ma co do tego wątpliwości – jest takie samo jak wszędzie: dziesięć procent emocji i dziewięćdziesiąt procent ogłupiającej nudy.

– Tato! – słyszy krzyk z salonu. – Dzwoni twój telefon!

Złorzecząc pod nosem, Nelson idzie do holu, gdzie w kieszeni kurtki zostawił komórkę. Oczywiście gdy tylko bierze ją do ręki, sygnał milknie. Jedno nie odebrane połączenie. Od Ruth. Nelson natychmiast oddzwania.

– Ruth? O co chodzi?

Jej głos dobiega z daleka, ale on poznaje, że dokonała jakiegoś odkrycia.

– Zadzwoiła do mnie Debbie Lewis. To ten ekspert od stomatologii sądowej, o którym ci mówiłam.

– Jaki ciekawy zawód.

– Fascynujący. No ale... doszła do ciekawych wniosków.

Znalazła na zębach ślady fluorku cyny.

– I co z tego?

– To, że został po raz pierwszy użyty w pastach do zębów Crest w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku. Ale okazało się, że przebarwia zęby, dlatego w pięćdziesiątym piątym zastąpili go monofluorofosforanem sodu.

– No i? – Nelson przeszedł już do gabinetu; czuje, że traci orientację.

– Czaszka musi należeć do dziecka, które żyło przed rokiem pięćdziesiątym piątym. Kiedy urodziła się ta dziewczynka? Ta z domu dziecka?

– Elizabeth Black? – Nelson kartkuje papiery na biurku, chociaż przypuszcza, że już zna odpowiedź. – W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym.

## ROZDZIAŁ 18

Rano Nelson zwołuje nadzwyczajne zebranie zespołu. Praca w sobotę oznacza nadgodziny, co nie spodoba się Whitcliffe'owi, ale inspektor wie, że muszą posunąć się naprzód, zanim o sprawie dowie się prasa. Przybywa na komisariat pełen energii i gotowy do natychmiastowego działania. Wbiega na górę, z hukiem otwiera drzwi do sali, zrywa zdjęcia księdza Hennesseya z tablicy i warczy:

– Książdz jest zatem czysty. Jakież inne pomysły?

Nie wywiera to na nikim takiego wrażenia, na jakie liczył, bo jedynymi osobami w sali są Judy i Clough. Clough je burgera, a Judy czyta „The Mail”.

– Co pan powiedział? – pyta Clough, mnąc papier i wstając, żeby wyrzucić go do kosza.

– Książdz. – Nelson kładzie zdjęcie na stole. Oczy księdza Hennesseya wpatrują się w niego. – Jest niewinny. Ruth Galloway znalazła w czaszce ślady fluorku, które mogły pochodzić tylko sprzed pięćdziesiątego piątego roku. Elizabeth Black urodziła się w sześćdziesiątym ósmym.

– Fluorek? – Clough patrzy nieprzytomnie.

– W zębach. Podobno jest jakiś specjalny fluorek, którego używano jedynie między czterdziestym dziewiątym a pięćdziesiątym piątym. No więc to nasz przedział czasowy.



- A nie dodają fluorku do wody? – pyta Clough.
- W Norfolku nie – odpowiada Judy, odkładając gazetę. – W naszej wodzie fluorek występuje w stanie naturalnym. Nie ma potrzeby jej wzbogacania.
- W każdym razie tu chodzi o jakiś inny związek. Nazywa się fluorek cyny. Podobno już go nie stosują, bo przebarwiał zęby. A właściwie używają, ale tylko w jednym specjalistycznym produkcie.
- Czyli nasz święty tego nie zrobił? – w głosie Clougha słychać rozczarowanie.
- Nie.
- Nigdy go tak naprawdę nie podejrzewałam – stwierdza Judy.
- Bo ty jesteś jedną z nich.
- Co?
- Katolików.
- Są wszędzie, Cloughie – mówi Nelson. – Nie ma ich tylko wśród masonów. No, a teraz bierzmy się do pracy.

Ruth także budzi się z pozytywnym nastawieniem. Jest sobota, może więc dłużej poleżeć. Światło wpada przez zasłony na łóżko, gdzie śpi rozciągnięty Krzemyk, poruszając przez sen pazurami. Ruth też się przeciąga; dotyka kota palcami stóp. Miło wspomina wczorajszy wieczór. Posiłek na łodzi, zrzucenie z siebie tego ciężaru, jakim było utrzymywanie ciąży w tajemnicy, przełom w sprawie. Naprawdę idealny wieczór. Po telefonie od Debbie i rozmowie z Nelsonem pogawędziła jeszcze trochę z Makssem, a później on podwiózł ją do samochodu. Przed pubem wciąż siedzieli goście, księżyc wisiał wysoko nad drzewami. Max pocałował ją w policzek i kazał jej

na siebie uważać.

„Do zobaczenia wkrótce”, powiedziała Ruth na pożegnanie.

„Mam nadzieję”, odparł Max.

W jego głosie i w pocałunku było coś, co sprawia, że na to wspomnienie serce bije jej mocniej. Na pewno się do niej nie zaleca, zwłaszcza teraz, gdy wie, że jest w ciąży, a mimo to Ruth czuje, że mogliby zostać czymś więcej niż przyjaciółmi. Czy jest pod jego urokiem? Musi przyznać, że trochę tak. To jej typ mężczyzny – wysoki, ciemnowłosy, inteligentny... Lecz wszystkie uczucia opisywane w kobiecych pismach tracą znaczenie wobec faktu, że ona spodziewa się dziecka. Nie może przecież skupić się na niczym innym. Nawet teraz, leżąc wygodnie w ciepłym łóżku, myśli o tej maleńkiej istocie rosnącej w jej wnętrzu. Wyobraża sobie, że dziecko się w niej porusza, chociaż pielęgniarka w szpitalu twierdziła, że na to za wcześnie. Ona jednak coś czuje – ciężkość, obecność, wrażenie zapełnionej przestrzeni. Myślała już nawet o imieniu. Zaczęła nazywać go Toby. Nie wie dlaczego. Tak właściwie to nie szczególnie podoba jej się to imię, ale czuje, że jest to Toby.

Znowu musi iść do toalety. A skoro już wstała, zrobi sobie herbatę. Widok z parteru wczesnym rankiem jest niezwykle; pod bładoniebieskim niebem krążą mewy. W radiu nadają wiadomości, lecz niebawem nadejdzie ten błogi czas między dziewiątą a dziesiątą, kiedy będą rozmowy o dobrym samopoczuciu, audycja „Z pokolenia na pokolenie”, w której zaproszeni goście prezentują ważne w ich życiu utwory muzyczne, później niezwykle informacje o kolekcjonerach pudełek po zapalkach albo takich, którzy nieświadomie poślubili własnych krewnych. Wspaniale.

Ruth wchodzi z herbatą na górę. Posłucha radia, a potem zastanowi się nad wstawaniem. Może nawet pójdzie popływać. To by dobrze zrobiło małemu. Nucąc pod nosem, wraca do łóżka.

Nelson patrzy na swój zespół obecny już w liczniejszym składzie.

– Tak więc – mówi stanowczym tonem – co prawda dowody trzeba jeszcze zweryfikować, ale wygląda na to, że w tym wypadku mamy do czynienia z przestępstwem dawniejszym, niż myśleliśmy. Elizabeth Black urodziła się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku. Jeżeli ekspert się nie myli, to czaszka nie może należeć do niej.

– A mamy pewność, że czaszka i ciało należą do tego samego dziecka?

Nelson przechyla się, by zobaczyć, kto o to zapytał. Nowy rekrut, Tania Fuller.

– Dobrze pytanie, Tania. Tak, potwierdzają to badania DNA. Szukamy zatem wcześniejszych zdarzeń w tym domu. Cloughie, co wynika z ksiąg wieczystych?

Clough, który spoglądał z wyrzutem na Tanię, zrywa się na równe nogi. Z ważną miną kartkuje plik dokumentów.

– Przed rokiem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ten dom był własnością... o cholera!

Po śniadaniu Ruth myśli o nadchodzącym dniu. Oczywiście jak zawsze czeka na nią wiele zajęć, lecz słońce tak pięknie przenika przez drobinki kurzu przy oknie, że od razu odechciewa się pracować. Przydałyby się jakieś ćwiczenia, ale przeszła jej

już ochota na pływanie w basenie, gdzie śmierdzi chlorem i ludzkim potem. Spacer – tak, to jest to, czego jej trzeba. Szybka przechadzka zakończona obiadem w pubie.

Omów nie dzwoni do Shony, która czasem daje się namówić na takie wypadki, jeśli nagrodą ma być alkohol, lecz po chwili rezygnuje, gdy myśli o tym, że musiałyby wysłuchiwać kolejnych doniesień o sytuacji w małżeństwie Phila. Zresztą Shona chciałaby zjeść w King's Lynn, gdzie może być pewna oliwy extra virgin i ciabatty. Ruth wolałaby mniej pretensjonalne miejsce. Nagle przychodzi jej do głowy Phoenix – zapach kurczaka z grilla pod gołym niebem, widok na wzgórze, brzęk kieliszków i szmery rozmów.

Czy Max nie wspominał o jakimś nowym odkryciu? Jeżeli pojedzie do Swaffham, to nie na spotkanie z Maksem, lecz po to, by obejrzeć tę ceramikę, monety i elementy rzymskiej gry planszowej. Nie będzie w tym więc nic podejrzanego.

Ruth chwyta kurtkę i wychodzi.

– Przed rokiem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym – Clough rozgląda się z ważną miną po sali – ten dom był własnością Christophera Spensa.

– Christopher... – powtarza Nelson. – Czy to nie rodzina...

– Dokładnie ta sama. – Clough wydaje się zadowolony, choć to dowodziło, jak wielkiego dopuścili się niedopatrzienia. – Ojciec Rodericka Spensa, dziadek Edwarda Spensa.

– To wyjaśnia, dlaczego on wciąż jest właścicielem nieruchomości – zauważa Tania. Clough patrzy na nią ze złością.

– Czy rodzina Spensów mieszkała w tym domu? – pyta Judy.

– Na to wygląda. Mam tutaj spis mieszkańców. Tak... z... tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku. Christopher Spens, Rosemary Spens, dzieci Roderick i Annabelle.

– No dobrze. – Nelson wstaje. – Cloughie, dowiesz się wszystkiego o tej rodzinie. Judy i Tania, wy zajmiecie się wynikami badań laboratoryjnych. A ja odbędę pogawędkę z Edwardem Spensem.

Przez całą drogę do Swaffham świeci słońce, lecz gdy Ruth zjeżdża z A47 (ostrożny skręt z użyciem lusterka i włączeniem migacza), niebo zasnuwają ciężkie chmury. Kiedy parkuje na trawie u podnóża nasypu, zaczyna padać. Przygląda się studentom, którzy zbiegają ze śmiechem po zboczach, trzymając nad głowami płaszcze i płachty brezentu. Większość z nich znika w pubie, część ładuje się do zdezelowanych samochodów i odjeżdża w obłokach spalin. Po chwili samochód Ruth jest jedynym stojącym pod wzgórzem.

– Czy to ważne, Harry? Wolalbym spędzić weekend z rodziną.

– To naprawdę ważne, panie Spens – mówi Nelson surowo. Postanawia zrezygnować z wszelkich wstępnych uprzejmości. – Czemu nam pan nie powiedział, że wasza rodzina mieszkała kiedyś na Woolmarket Street? Krótkie milczenie.

– Założyłem, że wiecie.

– Nigdy nie należy niczego zakładać, panie Spens. Nawet kiedy na działce odkryliśmy zwłoki, nie uznał pan za stosowne wspomnieć, że to był kiedyś pana dom?

- Sam nigdy tam nie mieszkałem. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku dom i cała działka zostały wydzierżawione diecezji.
- Ale wciąż pozostawały waszą własnością?
- Tak. Ale policję interesowały te lata, kiedy był tam dom dziecka. Rodzina Spensów nie miała z tym nic wspólnego.
- Teraz natomiast ciekawią nas te lata, kiedy mieszkali tam Spensowie – odpowiada Nelson.
- Co to ma znaczyć?
- Mamy dowody, że ciało należało do dziecka urodzonego w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych. Kiedy więc mogę do pana wpaść?

Deszcz ustaje. Ruth czuje lekkie mdłości po podróży samochodem, dlatego postanawia najpierw trochę się przejść. Tylko do stanowiska archeologicznego i z powrotem. Wysiada z auta i wkłada nieprzemakalną żółtą kurtkę.

Wspinaczka na wzgórzu nie jest łatwa. Ruth wbija wzrok w trawę, jakby to miało pomóc stopom w posuwaniu się naprzód. Kiedy dociera na szczyt i się rozgląda, zauważa, że niebo jest czarne. W oddali rozlega się pierwszy grzmot.

Idąc w stronę głównego wykopu, ma wrażenie, że z boku coś się porusza. Obraca się, lecz nie widzi nic oprócz uginanych wiatrem traw. Mimo to jest pewna, że mignęła jej czarna postać sunąca skrajem stanowiska. Może to było zwierzę, ale nie wiadomo dlaczego Ruth czuje ciarki na całym ciele. Słyszy głos Maksa: „Można ją spotkać na rozdrożach w towarzystwie psich duchów”.

Nie bądź żalosna, karcisz się w myślach. Psy Hekate przecież nie leżałyby tu, czekając na ciebie. To pewnie lis albo kot. Mimo wszystko nagle pragnie wrócić do samochodu i odjechać jak najdalej od tego miejsca. Powstrzymuje ją jedynie żal, że cały trud wspinaczki pójdzie na marne. Tylko się rozejrzy po głównym wykopie i wróci. Tak by potem powiedzieć samej sobie, że coś zrobiła.

Niebo znowu pomrukuje. Naciągnąwszy kaptur głębiej na głowę, Ruth wchodzi do wykopu.

Potyka się i omal nie upada na ubitą ziemię. Nagle niebo przesywa błyskawica. Ruth zamyka oczy. Kiedy je otwiera, u jej stóp leży martwe niemowlę.

20 czerwca

Święto Summanusa

*W nocy miałem straszny sen – kobieta z twarzą węża, mężczyzna o dwóch obliczach, dziecko wrzucone do pieca i jego ciało topiące się jak plastikowa lalka, która wpadła w ogień. Obudzilem się zlany potem i zbyt przerażony, by zasnąć. Do świtu czytałem Pliniusza. Czemu muszę znosić takie udręki? Złożyłem wszystkie należne ofiary, a bogowie prawdopodobnie wciąż są zagniewani.*

*Zrobiło się cieplej. Wczoraj Susan pracowała w ogrodzie z zakasanyimi rękawami. Widziałem jej ramiona z drobnymi plamkami jak na kurzych jajkach, pokryte zadziwiająco grubymi jasnymi włoskami. Musiałem ją skarcić. Jestem Panem.*

*Czuję zmęczenie. Czasami marzę o tym, by się położyć i o wszystkim zapomnieć. „Umrzeć – zasnąć – I na tym koniec. – Gdybyśmy wiedzieli, że raz zasnąwszy, zakończymy na zawsze Boleści serca... Umrzeć – zasnąć. – Zasnąć! – Może śnić? – w tym sęk cały...” \**

\* W. Szekspir, *Hamlet*, akt 3, scena 1, przeł. J. Paszkowski.



## ROZDZIAŁ 19

Ruth unosi się w ciemnym morzu. Toby jest gdzieś w pobliżu, lecz ona go nie widzi ani nie czuje. Dziwne, ale ma wrażenie, że zna go na wylot, jego nadzieje i obawy, wszystko, co kocha i czego nienawidzi, jak gdyby był jej starym przyjacielem, a nie trzymiesięcznym płodem. Wie nawet, jak brzmi jego głos. Jakby się żegnał.

Jest na plaży. Fala wyrzuca na brzeg kości. Słyszy głos Erika, który mówi do Toby'ego: „To cykl życia. Rodzisz się, żyjesz, umierasz. Ciało, drewno, kamień”. „Ale on się jeszcze nawet nie urodził!”, chce krzyknąć, lecz jakimś cudem ma głowę pod wodą, nie może mówić, nic nie słyszy, brak jej powietrza.

Fala wyrzuca ją znowu. Teraz Ruth jest w wykopie, zbyt ciemnym, by cokolwiek widzieć. Wie jednak, że ktoś jej towarzyszy. Ktoś zły. Spostrzega kobietę z dwoma czarnymi psami, rozdroże, żółte ślepia sowy.

Słyszy głos Maksa: „Była boginią wielu rzeczy. Grecy nazywali ją Królową Nocy, bo umiała zaglądać do podziemnego świata... Jest boginią rozstajów, rozwidleń dróg na trzy... Nazywana jest też Hekate Kourotrophos, czyli Hekate Piastunka Dzieci”.

– Hekate! – mówi z trudem Ruth. – Ratuń mnie!

Zalewa ją kolejna fala i wszystko przesłania ciemność.

Nelson jest w drodze na spotkanie z Edwardem Spensem, gdy dzwoni jego telefon. Słucha uważnie, po czym wykonuje gwałtowny zwrot na środku drogi. Zmieniwszy pas, włącza syrenę.

Znowu jest w wodzie i fala przesuwa jej ciało po kamieniach w tę i z powrotem. Otacza ją niemal całkowity mrok. Chwilami widzi iskierki światła, gdzieś w oddali przemykające w czarnej toni. Słyszy też głosy, czasem silniejsze, innym razem słabsze – matkę, Phila, Teda Irlandczyka i pielęgniarkę w szpitalu: „Jest pani sama?”.

Wtem dociera do niej wołanie Nelsona:

– Obudź się, Ruth!

Przecież to on musi się obudzić, wyjść, wracać do domu, zanim jego żona coś zauważy. Nie mogą dłużej być razem. Dziękuję. Za co? Że tu jesteś.

Dwoje dzieci kopie studnię na plaży. Śpiewają: „Bim, bom, barn, Kicię w studni mam!”. Zjawia się Krzemyk, wielki, zajęty oblizywaniem swoich wąsów. A potem Skierka z naszyjnikiem z kropel krwi. Bezgłowy ptak śpiewa w klatce. Światło lśni na monetach wrzucanych do studni życzeń. Pensa za twoje myśli... „Bim, bom, barn, Kicię w studni mam!”

Erik wiosłuje do brzegu. Opowiada jej o pochówkach wikingów. „Statek z rozpiętymi żaglami w wieczornym słońcu. Zmarły z mieczem przy boku i tarczą na piersiach – łódka wznosi się i opada na fali. Nie bój się – mówi Erik. – Twój czas jeszcze nie nadszedł”. Czas i fala nie czekają na nikogo. Morze

niesie ją w przeszłość. Eltham, szkoła, studia, Southampton, Norfolk, Słone Błota, ciało dziecka pogrzebane w celtyckim kręgu. Cathbad z uniesioną pochodnią. Bogini Brigid, przyjmij naszą ofiarę.

Kolejna fala wyrzuca ją z wody i pozostawia w świetle dnia, Ruth krztusi się i trzęsie. Otwiera oczy i widzi Maksa, Nelsona i Cathbada spoglądających na nią z góry.

Zamyka oczy.

Nelson jedzie do szpitala jak szalony. „Ruth coś się stało – powiedział Cathbad. – Może stracić dziecko”.

Dziecko. Nie daje mu spokoju myśl, skąd i co Cathbad wie. Nie zastanawia się nawet, dlaczego to Cathbad do niego dzwoni i w ogóle skąd się wziął przy Ruth. Myśli tylko o tym, że jej ciąża, która do tej pory była zaledwie podejrzeniem, stała się rzeczywistością. I że to dziecko, które jest zagrożone, może być jego. Mocniej naciska pedał gazu.

W szpitalu zastaje nie tylko Cathbada w pelerynie, ale też tego mądralę z Uniwersytetu w Sussex, Maksa jakmutam. Stoją w poczekalni, przy rzędach przyśrubowanych krzeseł i starych egzemplarzach „Hello!?”; wyglądają na bezradnych.

– Co się dzieje? – warczy Nelson, natychmiast przybie-  
rając policyjny ton.

– Badają ją – mówi Cathbad, kładąc dłoń na ramieniu Nelsona, jakby chciał mu dodać otuchy. Nelson strząsa jego dłoń z irytacją.

– Porozmawiam z lekarzem.

– Za chwilę. Teraz jest przy Ruth.

Zbity z tropu, Nelson zwraca się do Maksa, który wydaje się zakłopotany i nieco zawstydzony.

- Co się stała?
- Znalazłem ją na stanowisku archeologicznym. – Nelson brzmiał jak policjant, a Max mówi jak podejrzany. – Poszedłem sprawdzić wykopy po deszczu i ona tam była... leżała... nieprzytomna.
- Był tam jeszcze ktoś?
- Na początku nie, ale kiedy... patrzyłem na nią... zjawił się Cathbad.
- Zjawił się? – mruczy Nelson, spoglądając na Cathbada.
- To teraz masz magiczną moc, tak?
- Cathbad spogląda na niego z pokorą.
- Tak się złożyło, że się tam znalazłem. Chciałem się rozejrzeć. Wiesz, że interesuję się archeologią.
- I tak przypadkiem zjawiłeś się tam akurat wtedy, gdy Ruth zemdlą?
- Chyba przyjechałem kilka minut po Maksie. Widziałem jego samochód u podnóża nasypu.
- A co się stało Ruth? Jak to zemdlą?
- W odpowiedzi Cathbad wyciąga coś przed siebie. Nelson się wzdryga.
- Co to u diabła jest?
- Model noworodka – wyjaśnia Max. – Kiedy to zobaczyłem, pomyślałem...
- Ja też – przyznaje Cathbad z zawstydzaniem. – Dlatego wysłałem ci SMS-a.
- Nelson wpatruje się w bardzo dokładną pod względem anatomicznym plastikową replikę dojrzałego płodu. Twarz bez wyrazu, niewidzące oczy. Obraca lalkę i widzi stempel z opisem u podstawy kręgosłupa.

– To jest z muzeum – oświadcza. – Byłem tam na jednej imprezie i pamiętam je. Mają takie modele przedstawiające każdy etap rozwoju.

Max wygląda, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale w tym momencie podchodzi do nich lekarka (niepokojąco młoda Chinka).

– Jesteście z panią Galloway?

– Tak – natychmiast odpowiada Nelson.

– Jak ona się czuje? – pyta Cathbad.

– Jest wciąż nieprzytomna, ale czynności życiowe są w normie. Wkrótce powinna się obudzić. Rozumiem, że jest w ciąży?

– Około szesnastego tygodnia – informuje ją Cathbad. – Zgłosiłem to pielęgniarzowi z pogotowia.

Lekarka kiwa potakująco głową.

– Nic nie wskazuje na poronienie, ale później zrobimy jeszcze USG. Proszę wejść i coś do niej mówić. To może jej pomóc odzyskać przytomność.

To zaproszenie wydaje się skierowane do Cathbada, ale wszyscy trzej idą za lekarką do sali, w której leży Ruth osłonięta parawanem. W nogach łóżka już wisi tabliczka z jej nazwiskiem. W tej szybkości działania Nelson dostrzega coś złowieszczonego. Przecież pacjenci czekają całymi dniami na Izbie Przyjęć lub w korytarzu.

Ruth leży na boku, z jedną ręką na głowie. Wydaje się, że coś mruczy pod nosem. Cathbad siada przy niej i chwytą jej dłoń. Max kręci się przy parawanie, jakby niepewny, czy ma zostać, czy odejść.

– Co ona mówi? – pyta Nelson.

- Brzmi jak Tony – mówi Cathbad.
- Może Toby? – podpowiada Max z tyłu.

Nagle Nelson wysuwa się do przodu.

- Obudź się, Ruth!

Jej powieki lekko się poruszyły.

– Niech pan na nią nie krzyczy – protestuje Max. – To nie pomoże.

Nelson obraca się do niego z furią.

- A co to pana obchodzi?

Cathbad obserwuje Ruth.

- Wróciła do nas – oznajmia.

– Co się stało? – głos Ruth jest słaby, lecz oskarżycielski, jakby to w jakiś sposób była ich wina.

- Zemdlałaś – mówi Cathbad łagodnie. – Będzie dobrze.

Ruth rozgląda się rozpaczliwie po otaczających ją twarzach.

- Dziecko? – szepcze.

- W porządku – odpowiada Cathbad uspokajająco.

– Zrobią jeszcze USG, ale nic nie wskazuje, żeby coś było nie tak.

- A to dziecko w wykopie?

– To był manekin – wyjaśnia Nelson. – Jakiś kretyn musiał go tam podrzucić dla kawału.

Wyciąga plastikowe niemowlę. Ruth odwraca głowę. Po jej policzkach spływają łzy.

– Z twoim maleństwem wszystko w porządku – mówi Nelson łagodniejszym tonem. Ruth podnosi na niego wzrok i przez chwilę wydaje się, że nie mogą oderwać od siebie oczu. Sekundy zamieniają się w minuty. Max manipuluje przy pojemniku z płynem dezynfekującym zawieszonym na ścianie.

Cathbad oczywiście jest niezdolny odczuwać zażenowanie.

– Myślę – oświadcza błyskotliwie – że wszyscy powinniśmy być wdzięczni bogini Brigid za bezpieczny powrót Ruth.

Na szczęście w tym momencie pielęgniarka rozsuwa parawan i informuje ich, że przenoszą Ruth na inny oddział. Zatrzymają ją tam na noc, jak twierdzi, tylko na obserwacji.

– A rano – mówi pogodnie – jeden z przyjaciół może panią zabrać do domu.

Spogląda na mężczyzn, zaczynając od fioletowej peleryny Cathbada przez ubłocone dzinsy Maksa po policyjną kurtkę Nelsona, i jej uśmiech powoli blednie.

Rano Ruth nie może się doczekać wyjścia ze szpitala. Na początku nawet przyjemnie było leżeć w chłodnej, wykrochmalonej pościeli i korzystać z uprzejmości pielęgniarek przynoszących herbatę i tosty. Zawieziono ją na USG, gdzie zobaczyła Toby'ego beztrudko pływającego w jej wnętrzu. Ku swemu zażenowaniu trochę się popłakała, a pielęgniarka podała jej różowe chusteczki. Jezu, jacy oni tu są mili. Jak dobrze, że się nie złoścą.

Gdy zapadał zmierzch, zaczęła się jednak martwić o Krzemyka (Cathbad zaproponował, że będzie go karmił, ale kto wie, czy nie zapomni), o swoje dziecko (jak da sobie sama radę?) i w końcu o samą siebie. Wygląda na to, że ktoś próbuje ją śmiertelnie wystraszyć. Jej nazwisko wypisane krwią (Max to potwierdził), a teraz to potworne plastikowe niemowlę. Czy ten, kto to podłożył, wiedział, że ona jest w ciąży, czy też było to jakieś kolejne makabryczne nawiązanie do klasyki? To musi być ktoś, kto jest na tyle blisko, że może zakradać się tam w

chwilach, gdy stanowisko jest opuszczone. Ale dlaczego? To pytanie nie dawało jej spokoju przez całą noc, kiedy po korytarzu w obie strony krążyły pielęgniarki i pacjentki udające się do toalety i z powrotem. Ruth nie miała nic do czytania i w końcu tak jej tego brakowało, że poprosiła o jakiegokolwiek pismo. Pielęgniarka wróciła z czasopiśmie „Hello!” i resztę nocy Ruth spędziła, czytając o ślubach piłkarzy i hiszpańskiej rodzinie królewskiej, przy akompaniamencie urywanych pochrapywań z sąsiedniego łóżka.

Ranek zaczyna się wcześnie, o siódmej. Ruth od razu pyta, czy może już wyjść. Najpierw musi ją obejrzeć lekarz. Przed ósmą siedzi całkowicie ubrana na łóżku. Nie pomyślała o tym, by poprosić kogoś z wczorajszych gości o przyniesienie jej świeżej odzieży, zresztą i tak by się wstydziła. Ale wkładanie jeszcze raz tych samych rzeczy wydaje jej się obrzydliwe. Nie ma nawet szczoteczki do zębów. Pielęgniarka przynosi jej pastę, którą Ruth energicznie rozsmarowuje w ustach. Kobieta obok (bardzo sympatyczna, kiedy nie chrapie) proponuje jej dezodorant i jakiś spray do ciała o mocnym zapachu. Wreszcie Ruth siedzi na łóżku, pachnie różami i czyta o tym, że jakaś aktorka, kompletnie jej nie znana, najpierw przeżyła tragedię, a potem poślubiła sportowca, o którym Ruth także nie słyszała.

W końcu zjawia się małolat w kitlu lekarza, bada jej głowę i mówi, że może iść do domu.

– Proszę natychmiast wrócić, gdyby pani miała zawroty głowy albo mroczki przed oczami – przypomina surowym tonem. Ma na nogach trampki. Trampki! I jak ona ma traktować jego słowa poważnie?



Nie ma nic do pakowania, pyta więc, czy może wezwać taksówkę.

– Nie ma potrzeby. – Pielęgniarka uśmiecha się słodko (choć Ruth wie, że jest na dyżurze od dwunastu godzin). – Dzwonił pani przyjaciel i powiedział, że panią odbierze. Czyż to nie miłe?

Nie mówi, który przyjaciel, lecz gdy Ruth wychodzi frontowymi drzwiami, bez większego zdziwienia zauważa auto Nelsona na podjeździe dla taksówek. Zajmuje miejsce koło kierowcy i przez kilka minut siedzą w milczeniu.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – pyta po chwili Nelson.

– Miałam zamiar.

– Jeśli tak, to w porządku.

– To było trudne – wyjaśnia Ruth – jesteś żonaty. Nie chciałam niczego zepsuć.

– Nie pomyślałaś, że mam prawo wiedzieć? To znaczy... jeśli jest moje.

– Oczywiście, że twoje! – wybucha Ruth. – A myślałaś, że czyje?!

– No... może tego twojego byłego... Petera.

– Nie spałam z nim od dziesięciu lat.

– No więc nie jest jego – mówi Nelson ze słabym uśmiechem.

– Nie, na pewno jest twoje.

Znowu cisza, którą przerywa dopiero wojownicze trąbienie taksówek czekających na możliwość wjazdu. Nelson klnie i wrzuca bieg. Jadą w milczeniu uliczkami Norwich. Jest niedziela rano i wokół panuje spokój, ludzie wychodzą z saloników

prasowych z wielkimi arkuszami niedzielnych gazet pod pachą, właściciele kawiarni wystawiają stoliki na zewnątrz. Gdy przejeżdżają przez centrum, słyszą dźwięk kościelnych dzwońców.

– Co zamierzasz? – pyta Nelson, ostro hamując przed przejściem dla pieszych.

– Urodzić – mówi Ruth stanowczo – i samotnie wychować.

– Chcę ci pomóc.

– Pomóc? To znaczy co?

– No wiesz... finansowo. I inne rzeczy. Chcę brać udział.

– Jak brać udział? Powiesz Michelle?

Nelson nie odpowiada, ale Ruth widzi, że mruży oczy. W końcu mówi:

– Słuchaj, Ruth. To nie takie proste. Jestem żonaty. Nie chcę niszczyć mojej rodziny. Dziewczynki...

– Nie myśl, że chcę za ciebie wyjść. To ostatnia rzecz, na jakiej by mi zależało.

Wydaje jej się, że Nelson trochę się odpręży. Gdy się odzywa, jego głos brzmi łagodniej.

– W takim razie czego ode mnie oczekujesz?

– Nie wiem. – Oczywiście chciałaby mieć w pełni oddanego partnera, który byłby przy porodzie i razem z nią wychowywałby dziecko. O tym nie może być jednak mowy. –

Chyba kogoś, z kim mogę pogadać – wyznaje.

– Możesz rozmawiać ze mną. Miałaś już USG?

– Tak. Było widać jego długie nogi.

– Jego?

– Myślę, że to on. Nazywam go Toby.

– Toby! – Samochód wykonuje gwałtowny piruet. – Toby! Nie możesz nazwać go Toby!

– Dlaczego nie?

Nelson nie wie, co odpowiedzieć. Ruth czuje, że chciałby wyrzucić z siebie coś w rodzaju: „Bo to imię pedałów”, ale przypuszcza, że nawet jak na niego byłoby to zbyt dosadne.

– Pewnie według ciebie powinnam nazwać go Harry.

– Harry? Nie. Odkąd pojawił się ten cholerny Potter, to imię stało się koszmarem. A nie mogłabyś nazwać go po... Jak ma na imię twój ojciec?

– Ernest.

– No, może jednak nie.

– Mogę zapytać Cathbada.

– O Jezu... On będzie chciał go nazwać Jupiter Księżyc Nawiedzony albo coś w tym stylu. Dajże dziecku jakieś normalne imię. Na przykład Tom.

– Albo Dick. Albo Harry.

Ona i Nelson nie potrafią długo wytrzymać bez kłótni. Mimo to jest zadowolona, niemal szczęśliwa. Rozmowa o dziecku, wybieranie dla niego imienia sprawiają, że ciąża wydaje się bardziej rzeczywista niż kiedykolwiek od chwili pierwszego USG. Nie, to nie jej stan wydaje się realny, tylko to małństwo. A raczej poczucie, że wyrosnie na konkretną osobę, która będzie jadła kanapki z pastą Marmite, będzie malować palcami, grać w piłkę, skakać po kałużach. Nagle Ruth zdaje sobie sprawę, że się uśmiecha.

Są na obwodnicy. Nelson jak zwykle jedzie za szybko. Ruth czasem myśli, że został policjantem tylko po to, by nie płacić mandatów za przekraczanie prędkości.

Widać jednak, że i on jest pogrążony w myślach.

– To dziwne – mówi, wyprzedzając ciężarówkę. – Właściwie to nie znamy się zbyt dobrze, ale mamy wspólne dziecko.

– Nie mamy wspólnego dziecka – protestuje Ruth.

– Ależ mamy.

– Ale nie jesteśmy razem. Ty nie będziesz chodził na zebrania rodziców, prawda?

– Do tego jest jeszcze trochę czasu.

– Ale to tylko przykład. Ja mam dziecko sama, ale ty jesteś ojcem. I tyle.

– Dzięki.

– Powinieneś się cieszyć, że nie stawiam ci żadnych żądań.

– A ty powinnaś się cieszyć, że nie uciekam, gdzie pieprz rośnie.

Bezsensowność tej wymiany zdań sprawia, że oboje się śmieją.

– A twoi rodzice? – pyta Nelson. – Wspierają cię? – Mówi to takim tonem, jakby rozpierała go duma, że przyszło mu do głowy tak poprawne politycznie określenie.

– Nieszczególnie – odpowiada Ruth. – To nowo narodzeni chrześcijanie. Uważają, że pochłonie mnie ogień piekielny.

– Miło. Ale jak dziecko się urodzi, może się pojawią.

– Mam nadzieję.

– Jesteś jedynaczką?

Nelson ma rację, myśli Ruth. To dziwne, że mają dziecko, a nic o sobie nie wiedzą. Ona też nie ma pojęcia, czy Nelson ma rodzeństwo.

– Mam brata. Jest w porządku, ale niewiele nas łączy.  
Mieszka w Londynie.

– Ma dzieci?

– Tak. Dwoje.

Toby będzie miał kuzynów. Wcześniej o tym nie pomyślała.

– Chcesz nadal pracować? – pyta Nelson.

– Oczywiście. Przecież muszę nas utrzymywać.

– Powiedziałem, że chcę pomóc.

– Wiem, ale spójrz na to realnie. Jeśli nie powiesz Michelle, nie będziesz mógł wiele zrobić. To nic takiego. Ja nie chcę pomocy. Możesz mu kupić rower albo coś.

– Pierwszą piłkę nożną.

– Chyba nie będziesz się upierał, żeby kibicował jakiejś żalosznej drużynie z północy?

– Blackpool, oczywiście.

– A jeśli będę chciała, żeby był kibicem... – nerwowo szuka w pamięci czegoś, co najbardziej go zdenerwuje – ...Arsenalu?

– To wystąpię o prawo do wyłącznej opieki! – Po chwili milczenia Nelson poważnie i mówi: – Co mu o mnie powiesz? Nie chcę, żeby dorastał, nie wiedząc, kto jest jego ojcem.

– Nie wiem – wzdycha Ruth. – Będę się zastanawiać, gdy przyjdzie na to czas. – To zadanie wydaje się tak niewykonalne jak przejście po chwiejnej desce nad Niagara. Jeśli Michelle nie będzie wiedzieć, to niby jak Ruth ma powiedzieć dziecku, że Nelson jest jego ojcem? Są teraz na drodze do Słonych Błot.

Fala przyływu tworzy połyskujące niebieskie rozlewiska pomiędzy skupiskami wysokich traw. Ruth otwiera okno i wdycha słony zapach morza.

– Lubisz to miejsce, prawda?

– Tak.

– Czyli nie ma sensu mówić, że takie odludzie nie jest najlepsze na wychowywanie dziecka?

– Nie.

Nelson zatrzymuje samochód przed domem Ruth.

– Wejdiesz?

– Powinienem wracać. Obiecałem Michelle, że ją zabiorę do centrum ogrodniczego.

– Aha, w porządku.

Ruth wysiada i grzebie w torebce, szukając klucza. Nelson przygląda się jej z samochodu. Ten widok, jak stoi na progu w zmiętej koszuli, z opatrunkiem na lewym oku, wywołuje u niego ucisk w gardle.

– Ruth!

Odwraca się.

– Uważaj na siebie.

Macha do niego i uśmiecha się, a potem wyciąga klucz i znika wewnątrz domu.

24 czerwca

*Fors Fortuna*

*Jest bardzo gorąco. Zbyt gorąco. Spałem pod samym prześcieradłem, a i tak rano byłem cały spocony. Przyszła do mnie znowu, a ja byłem słaby. Może to przez tę moją słabość ten dom jest przeklęty, nic tu nie rośnie, tylko kurz i proch. Rano ponownie złożyłem ofiarę – wnętrzości były zgniłe i cuchnące. Zakopałem je za oranżerią, gdzie rośnie wysoka trawa. Czasu jest coraz mniej. Nie uda nam się uciec.*

## ROZDZIAŁ 20

Edward Spens mieszka na Newmarket Road, ruchliwej arterii na przedmieściach Norwich. To dzielnica bogaczy. Domy są wielkie, usytuowane z dala od drogi, otoczone drzewami. Tyle tu zieleni, że same budynki są niewidoczne i dopiero gdy dociera się do końca podjazdu, nagle wyłaniają się w pełnej krasie na tle pięknego krajobrazu. Nelson powoli zbliża się do posiadłości Edwarda Spensa – mijają kryty basen i domek zabaw dla dzieci, który wygląda, jakby wymagał zezwolenia na budowę. Na równiutko przystrzyżonym trawniku działają zraszacze, a gdy Nelson się zatrzymuje, przechodzi obok niego ogródek z naręczem roślin. Inspektor z satysfakcją stwierdza, że jego brudny mercedes w pewnym stopniu psuje ten idylliczny obrazek.

Wciąż trudno mu dojść do siebie po rewelacjach poprzedniego dnia. No, może niedokładnie rewelacjach, raczej potwierdzeniu jego wcześniejszych przypuszczeń. Czy można mieć większego pecha? Pozwala sobie na jeden jedyny wyskok i – proszę! – znowu będzie ojcem. Inni mężczyźni (wie to od Clougha) ciągle z kimś sypiają bez najmniejszych konsekwencji. Dlaczego, u diabła, ani on, ani Ruth nie uważali? Jego uczucia wobec Ruth oscylują między złością, podziwem a



chwytającym za serce współczuciem. Podziwia ją za determinację, z jaką pragnie dziecka, i jest wdzięczny, że niczego od niego nie oczekuje. Jest też lekko poirytowany. Ona chyba myśli, że może tak po prostu urodzić i wychować je sama, licząc jedynie na okazjonalny prezent urodzinowy od niego. Ale on wie to, o czym ona nie ma pojęcia: że rodzicielstwo bywa trudne, a nawet nie do wytrzymania. Wie, że Michelle miewała ciężkie chwile, zwłaszcza po przeprowadzce na południe, kiedy on dużo pracował, a ona całe dni spędzała sama z dziećmi. Ruth nie będzie miała do kogo się zwrócić, chyba że do swoich fanatycznych rodziców albo do tej stukniętej przyjaciółki. Może Cathbad zgodzi się czasem popilnować małego. To nie jest życie dla jego syna.

Jego syn. Wbrew powszechnemu przekonaniu Nelson nigdy nie marzył o synu. Zawsze bardzo się cieszył, że ma córki. Odpowiada mu ta ich odmienność, zdolność do ukrywania się za tajemnymi żeńskimi rytuałami, nawet to, że jest w domu jedynym mężczyzną („To kobiece sprawy, tato, i tak nie zrozumiesz”). Syn – nagle świadomość posiadania męskiego potomka obudziła w nim najgłębiej skrywane emocje. Nelson nigdy nie miał bliskiego kontaktu z ojcem. Był jego jedynym synem (miał dwie starsze siostry; jak widać, ten model się powtórzy) i dość wcześnie zdał sobie sprawę, że z tą rolą wiąże się pewne oczekiwania. W przeciwieństwie do sióstr nie musiał być grzeczny; miał być twardy, wysportowany, nieporadny wobec emocji, zainteresowany piłką nożną. I ogólnie rzecz biorąc, spełniał te oczekiwania. Owszem, w dzieciństwie przejawiał pewną skłonność do kucyków (co bardzo martwiło ojca), lecz ją stłumił i został miłośnikiem piłki nożnej, członkiem drużyny szkolnej, a później drużyny hrabstwa. Ojciec

zawsze go obserwował w trakcie rozgrywek, wykrzykiwał niezrozumiałe rady zza linii bocznej boiska, mimo że sam właściwie nigdy nie uprawiał tego sportu. Miał niedowład jednej stopy po przebytych w dzieciństwie polio i podpierał się laską. Jaki wpływ miało to schorzenie na jego wizję męskości? Czy dlatego tak bardzo chciał, aby Harry był wysportowany? Nigdy go o to nie zapytał, a teraz to już niemożliwe. Archie Nelson zmarł, gdy Harry miał piętnaście lat, i nie doczekał chwili, gdy jego syn został policjantem.

Matka Nelsona, Maureen, wywarła na niego dużo większy wpływ. To silna Irlandka, która nieraz krzyczała na dzieci, a zdarzało jej się też im przyłożyć. Archie nigdy nie podniósł na nich ręki ani głosu (chyba że na linii boiska), a mimo to Nelson czuł bliższą więź z matką. Dochodziło między nimi do gwałtownych awantur, gdy był nastolatkiem, ale zawsze wiedział, że w głębi serca Maureen bardzo go kocha. Może dlatego nawet teraz Nelson dobrze się czuje w towarzystwie kobiet. Oczywiście nieźle sobie też radzi z męskimi zadaniami, inaczej nie wytrzymałby w tym zawodzie. Gra w piłkę i w golfa, lubi wpadać wieczorem do pubu, odpowiada mu poczucie braterstwa łączące go z kolegami. Ale ceni sobie również towarzystwo silnych, inteligentnych kobiet. Dlatego tak zbliżył się do Ruth Galloway, przez co narobił sobie w życiu nie lada bałaganu.

Wzdycha, zatrzymując samochód przed posiadłością Spensa. Po niedzieli, którą spędził jak przykładowy mąż, czuje się emocjonalnie wyczerpany. Nie tylko zawiózł Michelle do centrum ogrodniczego, ale też zjedli razem obiad w jakimś pubie. Zgodził się nawet iść z nią na okropny spektakl teatralny

dziś wieczorem. Teraz z ulgą wraca do pracy. Edward Spens nie zdoła się ukryć za murami pięknego domu z podwójnym garażem. Nelson potrzebuje odpowiedzi. Dlaczego Spens nie wspomniał na początku o swoich związkach z domem na Wolmarket Street? Może nie za życia Edwarda, lecz w okresie, gdy mieszkali tam właśnie Spensowie, zostało zabite dziecko, którego zwłoki pogrzebano pod wejściem, a głowę wrzucono do nieużywanej studni. Trzeba przyznać, że to dobry materiał na tajemnicę rodzinną.

Edward Spens wita Nelsona jak przyjaciela.

– Harry! Miło cię widzieć. Proszę, wejdź. – Nelson przeklina w duchu Whitcliffe'a i okoliczności, które sprawiły, że teraz Spens uważa, iż są ze sobą po imieniu. W tej sytuacji jedyne, co może zrobić, to udzielić jak najchłodniejszej odpowiedzi.

– Dzień dobry, panie Spens.

– Mów mi Edward.

Spens prowadzi go do kuchni, której okna wychodzą na ogród na tyłach domu. Michelle padłaby z zazdrości, myśli Nelson. Wszystko tu jest idealne, od lśniących blatów przez żółte róże na stole i niebieskie poduszki na wiklinowej sofie (sofy w kuchni – w Blackpool byłoby to nie do pomyślenia!) po drogi włoski ekspres do kawy posapujący w kącie.

– Kawy? – proponuje Spens, wysuwając krzesło dla Nelsona. – To urządzenie robi niezłe capuccino.

– Wystarczy zwykła czarna.

Kiedy Spens krząta się przy stole, od strony ogrodu zbliża się piękna kobieta. Blond włosy w odcieniu miodu, niebieskie

oczy, zapach perfum, drogie ubrania – i to zjawisko podaje Nelsonowi dłoń.

– Moja żona Marion – oznajmia Spens.

Marion nie było na średniowiecznej imprezie (Nelson nie ma jej tego za złe), nie mieli więc okazji się poznać. On sam w pierwszym porywie myśli: nie ufaj mężczyźnie, który ma piękną żonę. Wie to z doświadczenia, bo sam jest w takiej sytuacji.

– Miło mi – mówi Marion Spens. Z bliska jej twarz jest zbyt idealna, rysy za łagodne, całość przesadnie symetryczna. Wygląda przy tym na zdenerwowaną i niepewnie spogląda na męża.

– Harry przyszedł porozmawiać o Woolmarket Street

– wyjaśnia jej Spens.

– Znalaziono tam jakieś zwłoki, tak? – pyta szybko Marion. – Roddy mi powiedział.

– Roddy? – Nelson wie, że dzieci Spensa nazywają się Sebastian i Flora. Typowe imiona z Newmarket Road.

– Mój ojciec, Roderick. Ma bzika na punkcie historii – wyjaśnia Spens.

– Powiedział, że ciało może być średniowieczne – podsuwa Marion.

– Obawiam się, że jest o wiele bardziej współczesne – oświadcza Nelson. – Chciałbym państwu zadać kilka pytań związanych z własnością tego domu. – Cieszy się, że będzie przy tym Marion. Coś mu mówi, że ona wyjawi więcej niż jej mąż. Edward, jak się zdaje, jest niechętny udziałowi żony w tej rozmowie.

– Proszę bardzo. Weź swoją kawę i przejdźmy do mojego gabinetu. Wybacz nam, kochanie.

W gabinecie przeważają ciemne drewno i skóra. Biblioteczkę wypełniają dziewicze tomy w twardych oprawach i podpisane wydania w miękkich okładkach. Ściany mają barwę bladej pieczeni wołowej.

Spens siada za biurkiem, a Nelson zajmuje miejsce przeznaczone dla gościa. Ze ścian uśmiechają się do niego postaci z rodzinnych fotografii. Jedno ze zdjęć przedstawia drużynę rugby. Nelson jest gotów się założyć, że ten w środku, z pucho-  
charem w rękach, to Spens.

– No cóż, Harry. Widzę, że sprawa robi się tajemnicza.

– Wcale nie, panie Spens. Po prostu sprawdzamy wszystkie ślady. Pańska rodzina mieszkała przy Woolmarket Street od...

– ...od tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku. Ten dom zbudował mój prapradziadek Walter Spens.

– Interesują mnie lata między tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym a pięćdziesiątym piątym. Kto wówczas tam mieszkał?

– Mój dziadek Christopher Spens, jego żona Rosemary i ich dzieci, Roderick i Annabelle.

– Roderick jest pańskim ojcem?

– Sir Roderick. Tak.

– Chciałbym z nim pomówić. Mieszka gdzieś w okolicy? Edward milczy i bawi się jakimś gadżetem z biurka.

– Nie. Mieszka z nami.

– Tak? – Nie rozumiejąc, czemu, u licha, Spens nie powiedział o tym wcześniej, Nelson pyta: – Czy jest teraz w domu?

– Chyba tak.

– A mogę z nim porozmawiać?

– Oczywiście. – Ale Spens się nie rusza. W końcu dodaje: – Mój ojciec ma pierwsze objawy demencji starczej. Może się wydawać przytomny, nawet bardzo, ale łatwo traci orientację, a wtedy... wpada w złość.

– Rozumiem – mówi Nelson, choć właściwie nie bardzo rozumie. Nigdy dotąd nie spotkał nikogo z demencją i nie wyobraża sobie, jak mieszka się z kimś, kto powoli traci kontakt z rzeczywistością. W tej sytuacji widzi Edwarda i Marion w nieco innym świetle. – To musi być trudne.

– Zgadza się – potwierdza Spens. – Zwłaszcza dla Marion, bo ona najwięcej czasu spędza w domu. Czasami... zważywszy na mojego ojca i dzieci... ale mamy opiekunkę. Chorwatkę, bardzo dobrą. Ojciec wciąż jest aktywny, należy do Stowarzyszenia Konserwatystów, Towarzystwa Historycznego, gra w kręgle, korzysta z Internetu. Lepiej sobie radzi z nowinkami technicznymi niż ja. Jeszcze nie jest inwalidą.

To „jeszcze” zawisa między nimi, bo Nelson wie o demencji jedynie to, że jest nieodwracalna.

– Przyprawdzą go – mówi Edward i słabo się uśmiecha. – Pewnie się ucieszy. Lubi rozmawiać o dawnych czasach.

To z pewnością prawda, lecz Edward Spens nie wspomniał, że „dawne czasy” oznaczają starożytny Rzym, kontrreformację

i wojny krymskie. Gdy Nelsonowi udaje się wtrącić parę słów, pyta:

– Sir Rodericku, czy pamięta pan lata spędzone na Wolmarket Street?

– Czy pamiętam? – Roderick spogląda na niego groźnie spod krzaczastych białych brwi. – Oczywiście. Wszystko pamiętam, prawda Edwardzie? – Syn przytakuje ruchem głowy.

– Miał pan wtedy... ile lat?

– Urodziłem się w trzydziestym ósmym. Mieszkalem w tamtym domu aż do wyjazdu do Cambridge, czyli osiemnaście lat.

To znaczy, że teraz ma siedemdziesiąt, oblicza w myślach Nelson. Nie jest znowu taki stary jak na dzisiejsze czasy. Matka Nelsona niedawno, w wieku siedemdziesięciu trzech lat, zapisała się na kurs tańca. Roderick Spens wygląda jednak, jakby był o dziesięć lat starszy.

– Mieszkał pan z rodzicami?

– Tak. Ojciec był dyrektorem Szkoły Świętego Zbawiciela na Waterloo Road. Uczył łaciny i kultury antycznej.

– Tej szkoły już tam nie ma?

– Nie. Zamknęli ją chyba w latach sześćdziesiątych. Szkoda. To była wspianała szkoła.

– Chodził pan do niej?

– Tak, rozumie pan, tam pracował mój ojciec. – Patrzy na Nelsona podejrzliwie, jak gdyby spodziewał się jakiejś pułapki. – Matka chciała, żebym poszedł do Eton, ale ojciec się sprzeciwił. Jego słowo było prawem w naszym domu.

Nelson próbuje sobie wyobrazić, jak któraś z jego córek mówi to samo o nim. Nie, to niemożliwe...

- A pańska siostra... Annabelle. Ona też tam uczęszczała?  
Roderick wygląda na zdezorientowanego.
- Annabelle?
- W porządku, tato – wtrąca się Edward Spens i zwraca się do Nelsona: – Ojciec zawsze się unosi, kiedy o niej mówi.  
Zmarła młodo, rozumie pan.
- Ile miała lat? – pyta Nelson zaintrygowany.
- Pięć czy sześć...



## ROZDZIAŁ 21

Ruth jest na Woolmarket Street. Budowlańcy jutro znowu zaczynają prace, postanowiła więc zebrać pozostałe znaleziska. Nie znaczy to, że w innych wykopach odnaleziono coś szczególnie ciekawego – jeszcze trochę ceramiki, szkła, kilka monet. Niewykluczone jednak, że jest tam coś interesującego, dlatego powinna wszystko sprawdzić. To jej zadanie jako głównego archeologa.

Jest kolejny ciepły dzień, a to miejsce wygląda w słońcu tak niewinnie. Mimo to Ruth co chwilę ogląda się przez ramię i podskakuje, gdy wiewiórka przebiega przez mur naprzeciwko.

Choć wciąż ma plaster na oku, czuje się zadziwiająco dobrze, biorąc pod uwagę jej sobotnie przeżycia. Ten lekarz o wyglądzie chłopca zabronił jej być w nocy samej: „Na wypadek, gdyby zapadła pani w śpiączkę”, wyjaśnił pogodnie, lecz ona była tak zmęczona, że położyła się o dziewiątej i spała smacznie, mając jedynie Krzemyka obok siebie. Jest pewna, że to dzięki rozmowie z Nelsonem jej sen był tak spokojny. Już wie. Może to dla niego trudne, skomplikowane i tak dalej, może teraz będzie doprowadzał ją do szału, wtrącając się do każdej sprawy związanej z ciężą, ale przynajmniej wie. A dzisiaj rano

odbyła uprzejmą, choć sztywną rozmowę z matką. Nie wspomniała o żadnym z wydarzeń ostatnich kilku tygodni, ale zapewniła ją, że nie odczuwa już nudności, ma więcej energii i nie pracuje ciężko przy wykopaliskach.

– Ja podczas obu cięż żeglowałam – oświadczyła matka z dumą, a Ruth z przyjemnością powitała tę chwilę jej triumfu.

Stanowisko jest jeszcze puste. Ruth spodziewała się tu spotkać Teda Irlandczyka i Trace. Pozostało jeszcze trochę pracy przy zasypywaniu wykopów, ale może oni uznali, że nie warto się trudzić, skoro wkrótce i tak cały dom zostanie zmieciony z powierzchni ziemi. Ruth zabiera znaleziska z baraku kierownika budowy. Na szczęście jego też nie ma. Spogląda na kamienny łuk rozpięty na tle jasnego nieba. „*Omnia mutantur, nihil interit*”. Musi pamiętać, żeby poprosić Nelsona o sprawdzenie, kiedy go wzniesiono. Wygląda dość dziwnie przed prywatnym domem. Ruth myśli o rzymskich wodzach, którym poświęcano łuki triumfalne po wielkich zwycięstwach. Przypomina jej się wyprawa do Rzymu z Shoną kilka lat temu. Łuk Tytusa na Forum Romanum, zdobiony płaskorzeźbami przedstawiającymi zwycięstwo Tytusa nad zbuntowanymi Żydami. Gdzieś przeczytała, że pod tą budowlą nie może przejść żaden Żyd.

„Ja mogę!”, wykrzyknęła Shona i przebiegła pod przejściem. „Nie jesteś Żydówką”, zaprotestowała Ruth. Shona była wówczas w związku z żydowskim wykładowcą prawa i uważała, że to łączy ją z tym narodem.

Powinna zajrzeć do wykopu, w którym znaleziono kota, ale jakoś nie ma ochoty zapuszczać się tak daleko. W tej ciszy jest coś ciężkiego, co każe mieć się na baczności. Nie bądź głupia,

mówi sobie, jest środek dnia. Co może ci się stać? Zarzuca plecak na ramiona i rusza, mijając zabudowania gospodarcze, w stronę dawnego ogrodu. Czy naprawdę było to tak szczęśliwe miejsce, jak je wspomina Kevin Davies? Ruth próbuje sobie wyobrazić dzieci biegnące radośnie po ogrodzie, huśtające się na drzewie, wrzucające monety do studni życzeń. Nie, studnia była już wtedy nieczynna. Podchodzi do niej i zagląda do środka. Czuje nieprzyjemny zapach wilgoci i natychmiast się prostuje. Kiedy przestano z niej korzystać? To kolejne pytanie do Nelsona. Czaszki musiały tam trafić, zanim położono betonowy dekiel. Czaszki w studni. Te słowa brzmią nonsensownie, jak jakaś koszmarna dziecięca rymowanka. Ruth myśli o dzieciach na plaży. „Bim, bom, barn...”

Kota znaleziono przy murze zewnętrznym, który z wiekiem uległ wybrzuszeniu. To jest granica. Terminus, bóg granic. „Modlę się do niego zawsze w drodze na lotnisko”, powiedział Nelson na dźwięk tego imienia. Jakoś nie może sobie wyobrazić Nelsona na wakacjach. Na pewno Michelle próbuje go namówić na luksusowe wczasy pod palmami, ale on lepiej czuje się w bardziej dzikich, chłodniejszych miejscach – jak wrzosowiska Yorkshire albo góry Szkocji. Aż narzuca się obraz Nelsona zanurzonego po pas w zimnej wodzie szkockiego jeziora.

Ruth podnosi się, by zmniejszyć ból w krzyżu. Zrobiło się już bardzo gorąco, powietrze stoi nieruchomo. Wychodzi z wykopu i idzie wzdłuż muru. Widać, że nowe budynki powstaną przy samej granicy działki. To tyle na temat przestronnych apartamentów. Nowoczesne obmurowanie wygląda krzykliwie i pretensjonalnie w porównaniu z kruszącym się

krzemieniem poprzedniego budynku. W odległym kącie ogrodu zachowało się jeszcze kilka jabłoni. Ruth zauważyła też krzaki agrestu i czerwonej porzeczki zarośnięte ostami i przyprószone pyłem z budowy. Kawałek dalej odkrywa jeżyny; jeszcze nie rozwinęły się kwiatki, a zanim pojawią się owoce, te krzewy zostaną zmiecione, by zrobić miejsce „przestronnym krajobrazowym ogrodom z wodnymi elementami”.

– Placek z porzeczkami i jabłkami – słyszy nagle obcy głos – to prawdziwie królewskie danie.

Ruth obraca się. Starszy mężczyzna w ciemnym garniturze uśmiecha się do niej. Trzyma w dłoni niedojrzałe jabłko i przez ułamek sekundy Ruth myśli o Adamie w raju. Starszy, smutniejszy Adam zjawiał się, by opłakiwać dewastację Edenu. Wtedy dostrzega koloratkę i jej umysł przedstawia się na odpowiedniej tory.

– Ksiądz Hennessey?

– Tak – mężczyzna wyciąga do niej rękę. – Chyba ma pani nade mną przewagę.

– Ruth Galloway. Jestem archeologiem.

– Archeolog?

– Specjalizuję się w archeologii sądowej.

– Aha. Czyli jest pani związana z tą przykrą sprawą.

– Tak.

Hennessey wzdycha. Z opisu Nelsona wyobrażała go sobie jako kogoś narzucającego swoją obecność, jednego z tych snujących wizje ognia piekielnego kaznodziejów, których pamięta z dzieciństwa. Tymczasem ten człowiek wygląda po prostu na smutnego.

– Budowa jest bardziej zaawansowana, niż myślałem –

zauważa. – Jak im się udało tyle upchnąć na jednej działce?

– Wszystko robią mikroskopijne – odpowiada Ruth oschle. – Całe takie nowe mieszkanie zmieściłoby się pewnie w salonie starego domu.

– Ma pani rację. To był kiedyś wspaniały dom.

Wracają przez ogród. Hennessey zatrzymuje się przy zwałonym drzewie i ze smutkiem je poklepuje. Jest okropnie gorąco. Będzie burza, myśli Ruth. Czuje, jak koszula lepi jej się do pleców, stopy zdają się roztopiać i wypływać z butów. Marzy o tym, żeby się położyć.

Kiedy dochodzą do frontu, Hennessey spogląda na kamienny łuk.

– „*Omnia mutantur, nihil interit*”. „Wszystko się zmienia, nic nie ginie”.

– W pańskich czasach ten łuk już tu stał?

– Tak. Oczywiście to kopia, ale robi wrażenie. I zawsze uważałem, że te słowa są odpowiednie. W końcu my, chrześcijanie, wierzymy, że śmierć jest tylko zmianą, nie końcem istnienia.

Ruth milczy. Jeśli o nią chodzi, śmierć to śmierć. Nie da się jej oszukać, może tylko rodząc dziecko. Słowa Hennesseya przypominają jej jednak coś innego – Maksa na plaży podczas obchodów Imbolc, gdy mówił o Janusie: „Nie jest tylko bogiem drzwi, lecz wszelkich momentów przejścia i zmiany, przechodzenia z jednego stanu w inny”. Stałe przechodzenie od życia do śmierci...

– Przepraszam, panno Galloway – łagodny głos księdza z irlandzkim akcentem wdziera się w jej myśli. – Czy może mi pani pokazać... gdzie znaleźliście ciało?

– Dobrze. I proszę mówić mi Ruth. – Nie znosi, gdy ludzie zwracają się do niej „panno”, a „doktor Galloway” brzmi zbyt sztywno.

Wciąż stoją schody, fragment ściany frontowej i kamienny portyk. Czy te elementy pochodzą z tego samego okresu co łuk? Sprawiają podobne, majestatyczne wrażenie. „Kopia”, powiedział Hennessey. Nie wiadomo dlaczego, ale jego słowa nie dają jej spokoju.

– Uwaga – mówi, gdy przechodzą pod łukiem. Z drugiej strony pozostała półka z czarno-białymi płytkami. To będzie ostatnia rzecz, która stąd zniknie – ogniwo łączące terazniejszość ze starym domem.

– Tędy. – Prowadzi Hennesseya wzdłuż sterczącej półki. Kiedy schodzą do wykopu, ksiądz się potyka i omal nie traci równowagi. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Widać jednak, że ciężko oddycha.

Musi mieć koło osiemdziesiątki, myśli Ruth i po chwili wskazuje kopiec ziemi przed sobą.

– Ciało było bezpośrednio pod progiem. Już je wyjęliśmy. Staraliśmy się pozostawić wszystko inne w nienaruszonym stanie. – Patrzy na twarz Hennesseya. – Jesteśmy bardzo ostrożni – wyjaśnia – podchodzimy do tego z szacunkiem.

Wargi Hennesseya przez chwilę poruszają się bezgłośnie. Modli się? Potem się odzywa:

– Pogrzebane pod progiem?

– Tak. – Nie wspomina o pozycji embrionalnej.

– A czaszka była w studni?

– Tak.

Hennessey milczy przez kilka minut, po czym pyta:

- Czy mogę odmówić modlitwę?
- Proszę bardzo. – Ruth się cofa. Publiczne modlitwy w najlepszym razie wprawiają ją w zakłopotanie, ale przebywanie w wąskim wykopie z kimś, kto wypowiada łacińskie formuły i wymachuje kadzidłem, wydaje jej się prawdziwym koszmarem.

Modlitwa Hennesseya okazuje się na szczęście krótka, wypowiedana po cichu i wcale nie po łacinie (tak się przy najmniej wydaje Ruth). W końcu ksiądz wyjmuje z kieszeni buteleczkę i zrasza ziemię jej zawartością.

- Woda święcona – wyjaśnia. Patrzy na twarz Ruth. – Nie jesteś katoliczką? – mówi z rozbawieniem.

– Nie. Moi rodzice są chrześcijanami, ale ja nie... Jestem... niczym.

- Och, jesteś czymś, Ruth Galloway – oświadcza ksiądz Hennessey.

Przygląda jej się przez chwilę i kobieta ma dziwne wrażenie, że ten człowiek zna ją lepiej niż ona sama. Ten magiczny moment niestety szybko mija i Hennessey proponuje:

- Suszy mnie. Pójdziemy na kawę?

Nelson właśnie wychodzi z muzeum, gdy dzwoni do niego Judy.

- Mam akt zgonu Annabelle Spens.
- Świetnie. Coś ciekawego?

Słyszy, jak Judy grzebie w papierach, i myśli o swoim ojcu, o tych kilku oficjalnych słowach, w których zawierają się cały ból i rozpacz. Przyczyną zgonu ojca był zawał mięśnia sercowego. Wtedy nie miał pojęcia, co to znaczy.

– Data i miejsce urodzenia – czyta Judy – dwudziesty czwarty maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego, Woolmarket House, Woolmarket Street, Norwich. Przyczyna zgonu: szkarlatyna. Teraz już chyba dzieci na to nie chorują?

– Chorują – mówi Nelson – ale nie umierają. – Zatrzymuje się, bo mija go grupa uczniów, tratująca się nawzajem i wymachująca arkuszami pracy.

– Zmarła w domu – ciągnie Judy. – Dlaczego nie była w szpitalu?

– Nie wiem. Może wówczas częściej zajmowano się dziećmi w domu.

– Ale przecież mieli pieniądze, stać ich było na opiekę. To były czasy przed wprowadzeniem składek zdrowotnych?

– Pierwsze lata państwowej służby zdrowia.

Dzieci przepychają się przez szklane drzwi muzeum.

Nelson słyszy głos nauczyciela, który objaśnia, że zaraz podzielią się na grupy. „Jesteś w mojej grupie, Ryan”. „Masz przechlapane, Ryan, ty palancie”.

– A świadectwo pochówku? – pyta Nelson.

– Tania się tym zajęła – odpowiada Judy takim tonem, jakby jej się to nie podobało. – Szefie, czy naprawdę pan myśli, że nie pochowano Annabelle na cmentarzu?

– Nie wiem – mówi Nelson – ale w tym domu i w całej tej sprawie jest coś dziwnego.

Poszedł zobaczyć się z dyrektorem muzeum, żeby zapytać, jakim sposobem model płodu mógł się stamtąd wydostać i trafić do wykopu w Swaffham. Dyrektor był bardzo uprzejmy, ale niewiele pomógł. Modele zostały zdjęte z wystawy kilka



tygodni temu (było kilka skarg rodziców) i przeniesione do magazynu. Kto miał dostęp? Ano, każdy pracownik tutejszej placówki. Cenniejsze eksponaty są zabezpieczone, ale kto kradłby plastikowy model niemowlaka?

Nelson stoi na schodach, przygląda się dachom Norwich i zastanawia się, co teraz robić. Wracać i znowu przesłuchać Edwarda Spensa? Ten człowiek na pewno coś ukrywa. Jechać na komisariat i pogonić Tanię w sprawie świadectwa pochówku? Muszą też zdobyć kartę leczenia dentyścycznego. Wzdycha. Jest upalny, duszny dzień i marzy mu się kufel zimnego piwa. Clough na pewno by go sobie nie odmówił.

– Dzień dobry, inspektorze.

Nelson obraca się. Młoda dziewczyna z jasnofioletowymi włosami uśmiecha się do niego beczelnie. Kto to jest? Koleżanka jego córki? Jakaś nowa znajoma Michelle?

– Jestem Trace – odzywa się zjawą. – Z wykopalisk.

Ach tak. Chuda dziewczyna, która była tam pierwszego dnia. Ta, o której wszyscy myślą, że podoba się Cloughie'emu. Bardziej jemu niż mnie, myśli Nelson, spoglądając na metalowe kolczyki lśniące w uszach i wardze Trace. Wydaje się jednak dość sympatyczna.

– Co pan tu robi? – pyta.

– Rutynowe dochodzenie – odpowiada Nelson. – A pani?

– Pracuję tu w poniedziałki i piątki. Nie ma tyle roboty dla archeologów, żebym miała zajęcie cały rok, dlatego dorabiam sobie tutaj: katalogowanie znalezisk, prace kuratorskie i tak dalej.

Nelson nie ma pojęcia, czym są prace kuratorskie, ale wie jedno: Trace może być ważnym kontaktem w muzeum. Może nawet wie, czy ktoś wynosi eksponaty.

– Ma pani ochotę na drinka?

Ruth pomyślała o którejś z przyjemnych kafejek na Wolmarket Street, lecz ksiądz Patrick Hennessey niczym pies gończy kieruje się do galerii handlowej i kawiarni Starbucks – miejsca, którego ona nienawidzi.

– Mają tu wyśmienitą kawę – mówi Hennessey, zacierając ręce. Klimatyzacja jest tak ustawiona, że Ruth trzęsie się z zimna.

Gdy wchodzi do kawiarni – puszysta kobieta w ubłoconych spodniach i z plastrem na oku oraz ksiądz z rumianą twarzą – Ruth dostrzega zaintrygowane spojrzenia. Ona zamawia wodę mineralną, a Hennessey z lubością uruchamia cały rytuał związany z podaniem latte z chudym mlekiem i dodatkową dawką espresso.

– Tam gdzie mieszkam, niemożliwością jest napić się dobrej kawy – wyjaśnia.

– A gdzie ksiądz mieszka?

– W zabitym deskami Sussex. – Wymawia „zabite deskami” w taki sposób, jakby był to dosłowny opis miejsca, w którym żyje.

– Nelson... inspektor Nelson... mówił, że tam jest bardzo ładnie.

– Owszem, jeśli lubi się drzewa. Ja jestem chłopakiem z miasta. Urodziłem się i wychowałem w Dublinie. Zawsze przebywałem w miastach: Rzym, Londyn. Norwich.

To brzmi trochę jak przygody serialowego Del Boya: Nowy Jork, Paryż, Peckham. Ruth powstrzymuje uśmiech.

- Norwich to niezbyt światowe miejsce.
- Oczywiście. I piękne miasteczko. Tęsknię za nim.

Brakuje mi pracy, moich parafian, wszystkiego.

- Prowadził ksiądz ten dom dziecka, tak?
- Założyłem go i zarządzałem nim. Widziałem w Londynie sierociniec, w którym panowała rodzinna atmosfera. Próbowałem stworzyć coś podobnego. Sam zatrudniłem cały personel. Wybierałem młodych, pobożnych ludzi, takich, którzy jeszcze mieli ideały.

– Poznałam jednego z waszych wychowanków. Wspominał to miejsce z wielkim rozrzewnieniem.

Hennessey wygląda na zaintrygowanego.

- Kto to taki?
- Davies, chyba tak się nazywa.
- A, Kevin Davies. To był miły chłopiec, ale zawsze taki poważny. Zdaje się, że teraz jest przedsiębiorcą pogrzebowym.

Ruth przypomina sobie markotnego, przygnębionego Daviesa. Nie umie go sobie wyobrazić jako dziecka. Na pewno zawsze wyglądał na czterdzieści lat.

Hennessey przygląda się jej. Ma intensywnie niebieskie oczy i drobne zmarszczki na zniszczonej twarzy.

– To musi być trudny zawód – mówi – odkrywanie przeszłości.

Ta uwaga ją intryguje. Większość ludzi widzi w archeologii „wykopywanie szczątków”, ale „odkrywanie przeszłości” trafnie oddaje istotę tej pracy. Ruth patrzy na księdza z uznaniem.

– Tak, to trudne – mówi ostrożnie – zwłaszcza w takich sytuacjach jak ta, gdy mamy do czynienia z całkiem niedawną przeszłością, a do tego jeszcze chodzi o dziecko.

– Milknie, czując, że powiedziała zbyt wiele.

Hennessey kiwa głową.

– Jako duszpasterz często stykam się z rzeczami, które powinny pozostać w ukryciu. Ale prawda zawsze wyjdzie na jaw.

Jak te kości pod wejściem, myśli Ruth. Gdyby Spens nie chciał zbudować swojej działki, gdyby Ted i Trace nie kopali akurat w tym miejscu, czy ten szkielet pozostałby tam na zawsze? Czy zapomniana zbrodnia wyszłaby na jaw, wołając o pomstę do nieba?

– Czasami trudno stwierdzić, co jest prawdą, a co nie – zauważa Ruth.

– Poncjusz Piłat by się z tym zgodził. „Cóż to jest prawda?”, powiedział. A on był mądrym człowiekiem. Tchórz, ale mądry.

Ruth jest lekko skonsternowana tym, w jaki sposób ksiądz mówi o Piłacie, jakby ten mógł w każdej chwili wejść do Starbucks.

– Inspektor Nelson odkryje prawdę – oświadcza, jakby chciała przekonać samą siebie. – Jeśli to tylko możliwe.

– Tak. Inspektor Nelson jest chyba porządnym człowiekiem. Z zasadami.

Ruth zauważa speszona, że się czerwieni.

– To dobry detektyw – stwierdza.

– I dobry człowiek – spokojnie powtarza Hennessey – co może się dla niego okazać trudniejsze.

Nelson niechętnie zamawia colę, a Trace prosi o piwo.

- Myślałem, że archeolodzy piją cydr – zauważa Nelson.
- Cydr jest dla mięczaków – krzywi się Trace.

Chyba mógłbym ją polubić, myśli Nelson.

- Jak długo jest pani archeologiem? – pyta.
- Skończyłam studia pięć lat temu. Zrobiłam magisterkę w Londynie i jakiś czas pracowałam w Australii. Właściwie nie chciałam wracać do Norwich, ale rodzice tu mieszkają, dzięki czemu nie muszę niczego wynajmować. No i jest tu sporo pracy dla archeologów.

- Dużo śladów prehistorii – mówi Nelson. Wie to od Ruth. Trace kiwa głową.

– Z epoki brązu, żelaza i z okresu rzymskiego. Rzymianie to mój ulubiony okres.

- Widziała pani *Gladiatora*? Świetny film.

– Filmy wszystko wykoślawiają – parska Trace pogardliwie. – Cała ta dekadencja, to leżenie i jedzenie winogron. Rzymianie dali nam prawo, porządek, infrastrukturę. Zanim tu przyszli, byliśmy tylko bandą walczących z sobą plemion.

Rozumiejąc, że „my” znaczy Brytyjczycy, Nelson mówi, lekko poruszony:

- Byli najeźdźcami, okupantami.

– Żyli tu przez czterysta lat. To więcej niż piętnaście pokoleń. A kiedy stąd odeszli, zapomnieliśmy wszystkiego, czego nas nauczyli... kamieniarstwa, inżynierii, produkcji szkła, ceramiki. Cofnęliśmy się do epoki ciemności.

Nelson odczuwa pewien rodzaj dumy z tego powodu. Może i siedzieli tu przez czterysta lat, myśli, ale dla nas i tak byli obcymi okupantami, z całą tą swoją wyszukaną produkcją szkła.

Nie mówi tego jednak na głos.

– Była pani na stanowisku archeologicznym w Swaffham? – pyta. – Kierownikiem jest Max Grey.

Twarz Trace się rozjaśnia.

– Tak. Nawet sporo tam zrobiłam. Max jest świetny. Naprawdę zna się na rzeczy. W ubiegłym tygodniu oprowadzał tam skautów. Tak im to przedstawił, że historia ożyła.

– Dużo gości odwiedza to miejsce?

– Trochę. – Trace wzrusza ramionami. – Stało się popularne po tym, jak wspomnieli o nim w „Time Team”. Było już kilka wycieczek autokarowych.

– A czy odwiedził was Edward Spens?

Twarz Trace, tak ożywiona podczas rozmowy o Rzymianach, traci beztroski wyraz.

– Chyba przyszedł raz. Ale mnie tam nie było.

– Zna go pani?

– Wszyscy w Norwich go znają.

– Rodzina Spensów – Nelson informuje swój zespół – mieszka w Norwich od pokoleń. Walter Spens zbudował dom na Woolmarket Street. Był, z tego co wiemy, ekscentrykiem. Miał kolekcję wypchanych zwierząt i lubił się przebierać za afrykańskiego wodza.

Clough, pożerający łąpczywie orzeszki z tyłu sali, zaczyna się dławić. Nelson rzuca mu wściekłe spojrzenie.

– Jego wnuk, Christopher Spens, zarządzał elitarną prywatną Szkołą Świętego Zbawiciela, która mieściła się na Waterloo Road. Według jego syna, Rodericka Spensa, był tyranem, kazał własnym dzieciom zwracać się do siebie per proszę

pana i zmuszał je do używania łaciny przy stole.

Nelson milknie. Sir Roderick nie użył słowa „tyran”, a o ojcu wyrażał się wręcz z podziwem, ale Nelson miał nieodparte wrażenie, że był to zimny, autorytarny człowiek. Zastanawia się, czy nie artykułuje w ten sposób swoich uprzedzeń wobec szkół prywatnych, łaciny i ogólnie wobec całej kasty wyższych sfer.

Obserwuje twarze zebranych. Clough wciąż wypluwa łuski z orzeszków. Tania Fuller trzyma przed sobą otwarty notes. Judy Johnson wbija wzrok w Nelsona, lekko marszcząc czoło.

– Sir Roderick Spens ma początki demencji starczej – ciągnie Nelson – jego wspomnienia nie są więc zbyt spójne. Bardzo dobrze pamięta ojca, ale rozmowa o siostrze wyraźnie go wzburza. Z aktu zgonu wynika, że Annabelle Spens zmarła na szkarlatynę w wieku sześciu lat. Zgon nastąpił w domu, została pochowana na cmentarzu świętych Piotra i Pawła.

Przypatruje się słuchaczom, ciekaw, czy zdają sobie sprawę, co to znaczy. Judy oczywiście rozumie, ale Clough potrzebuje więcej czasu, żeby zaskoczyć. Naturalnie głos zabiera Tania.

– Czy Annabelle mogła zostać zakopana pod drzwiami?  
– Nie wiem, ale wydaje mi się, że musimy to wziąć pod uwagę.

– Przecież ją pochowali – odzywa się Clough niemal wzburzonym tonem.

– Tak, ale łatwo było sobie z tym poradzić, jeśli w nocy przed pogrzebem trumna była w domu. Wystarczyło wyjąć ciało, a potem zamknąć wieko.

– Po co ktokolwiek miały to robić?

– Tego nie wiem – odpowiada Nelson niecierpliwie – ale zamierzam się dowiedzieć.

– Karta dentystyczna? – pyta Tania.

– Tak. Tania, ty możesz się tym zająć. Czaszka ze studni miała plombę w jednym zębie. To nietypowe u tak małego dziecka, więc może nam pomóc. Chcę się też dowiedzieć, czy DNA pokazuje jakiś związek między tym dzieckiem a sir Roderickiem.

– A jeśli nie znajdziemy żadnej dokumentacji stomatologicznej? – pyta Judy.

– Wtedy rozkopię grób – mówi Nelson ponuro.



## ROZDZIAŁ 22

Nelson tego wieczoru nie jest w nastroju do oglądania eksperymentalnego spektaklu w Little Theatre. Ale z drugiej strony niby kiedy byłby w nastroju? Obiecał Michelle i nawet informacja, że autorem sztuki jest ten dziwaczny Leo poznany na średniowiecznej imprezie, nie ma wpływu na jego postanowienie, że będzie dzisiaj dobrym mężem.

– O czym to jest? – pyta, gdy krążą po ulicach, szukając miejsca do zaparkowania. Little Theatre mieści się w nowym Ośrodku Sztuki przy dokach. To okolica do tego stopnia „artystyczna”, że wszystkie znaki informacyjne napisane są drobną minuskułą, przez co trudno je odczytać.

Michelle czyta ulotkę, którą ten typ o imieniu Leo ośmielił się jej posłać.

„*Bóg o dwóch twarzach*. Opowiadana przez Janusa, rzymskiego boga początków i końców, sztuka o debiutach, wejściach i szczelinach i cielesnych otworach w życiu seksualnym. Akcja rozgrywa się na przestrzeni wieków: od czasów rzymskich przez rewolucję przemysłową i seksualną aż po odległą przyszłość na stacji kosmicznej”.

– O rany! – mówi Nelson. – Cieleśne otwory w życiu seksualnym? Co to ma być?!

– Aleś ty pruderyjny – oświadcza Michelle, przeglądając się w lusterku pasażera. – Wszystkie współczesne sztuki są o seksie.

Czy naprawdę jest pruderyjny? Nelson zastanawia się nad tym, parkując golfa Michelle na miejscu opuszczonym przez skuter. Owszem, rzadko śmieszą go kawały opowiadane przez Cloughiego i uważa, że *Seks w wielkim mieście* jest bliski pornografii, ale przecież korzysta z uciech świata i obcowanie fizyczne w jego życiu zajmuje odpowiednie miejsce (nie rozwija dalej myśli o tym, gdzie ono się znajduje). Po prostu nie chce oglądać, jak jakiś studencina rozwodzi się nad ludzką fizjologią. Chyba nie ma w tym nic niezwykłego?

– Nie jestem pruderyjny – odpowiada po chwili – tylko na wszystko jest odpowiedni czas i miejsce.

Michelle spogląda na niego spod półprzymkniętych powiek.

– Nie zawsze tak myślałeś. Pamiętasz pociąg duchów na przystani w Blackpool?

Nelson chrząka.

– Byliśmy wtedy młodzi i głupi.

Bierze ją jednak za rękę, gdy idą w stronę teatru.

W holu zgromadził się już tłumek gości. Popijają wytworne koktajle i przeglądają program – drukowany oczywiście miuskułą. Są wśród nich pracodawcy Michelle, Tony i Juan, stojący akurat w grupie osób, które Nelson na własny użytek określa jako „pokręcone”. Jest kilka par w podeszłym wieku, które z niepokojem oglądają fotosy na ścianach, przedstawiające aktorów w greckich maskach i właściwie w niczym więcej. Kręci się też wielu młodych ludzi, prawdopodobnie studentów.

– Zobacz, jaka elegancka kobieta – mówi Michelle.

– Gdzie? – Nelson przeciska się przez tłum przy barze, niosąc szklankę piwa i kieliszek białego wina.

– Tam. Z rudymi włosami.

Nelson patrzy w tę stronę i widzi atrakcyjną kobietę ubraną na czarno, która wydaje mu się dziwnie znajoma. Obok niej... O Jezu.

– Chodź tędy – próbuje odciągnąć Michelle w przeciwną stronę. – Tam jest jakieś krzesło.

– Nie chcę siedzieć. Kto z nią jest? To Ruth! Harry, patrz, to Ruth.

Michelle już się przedziera przez tłum. Nelson patrzy, jak poklepuje Ruth po ramieniu i zostaje przedstawiona tej rudej, w której on teraz rozpoznaje zbzikowaną Shonę, zamieszaną w sprawę Słonych Błot. Ruth wita Michelle z wszelkimi oznakami zadowolenia. Blado wygląda, myśli Nelson, ale poza tym ładnie jej w tej luźnej czerwonej bluzce i czarnych spodniach. Dzięki Bogu za luźne ubrania. Jak dobrze pójdzie, Michelle pomyśli, że to taka moda.

– Harry! – Michelle przywołuje go władcym gestem.

Nelson podchodzi bliżej i Ruth uśmiecha się do niego jakby kpiąco.

– Kogo jak kogo, ale ciebie nie spodziewałam się tu spotkać.

– To był pomysł Michelle.

– Ruth też musiałam chwilę przekonywać – mówi Shona, odrzucając do tyłu włosy i mrugając do Nelsona. On ze spokojem wytrzymuje jej spojrzenie.

– Poznaliśmy Leo na przyjęciu u Edwarda Spensa – wyjaśnia Michelle. – Wydał mi się bardzo interesujący.

– Wykorzystał trochę pomysłów z teatrów greckiego i rzymskiego – mówi Shona z takim uniesieniem, aż Nelson zaczyna się bać, że zaraz będzie musiał wysłuchiwać intelektualnych rozważań o teatrze.

– Naprawdę masz ochotę obejrzeć ten spektakl? – pyta Ruth. Pije sok pomarańczowy i wygląda na szczęśliwszą, niż była ostatnimi czasy. Czuje, jak jego usta rozciągają się w uśmiechu.

– Nie. Wiesz, jaki jestem gruboskórny. Nie jem nawet jogurtu, żeby nie liznąć kultury.

Ruth się śmieje.

– Ja też nie powiem, żebym miała na to ochotę, ale Shona uznała, że takie wyjście dobrze mi zrobi.

Nelson ścisza głos.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Żadnych uciążliwych objawów. Byłam dzisiaj na Woolmarket Street.

– Sama? – oburza się Nelson.

– Spotkałam księdza Hennesseya.

– Hennesseya? A co on tam robił?

– Chyba przyszedł się rozejrzeć. Przecież sam zawsze powtarzasz, że ludzie wracają na miejsce zbrodni.

– Tak, ale czyja to zbrodnia? – pyta Nelson trzeźwo. – Tego musimy się dowiedzieć.

Sztuka jest tak marna, jak Nelson się spodziewał. Mężczyzna w masce pojawia się na tle czarnej kurtyny i rozprawia o styczniu. Później zmienia maskę i rozwódzi się na temat przeznaczenia, wyborów i innych takich. Dzięki temu Nelson

przynajmniej przypomina sobie, że jeszcze nie kupił losu na środowe zakłady lotto. Potem kurtyna się podnosi i widać ludzi w togach, którzy urządzają sobie orgię, tyle że nie mogą sobie zbyt pofołgować, bo najwyraźniej nie starczyło funduszy na więcej niż czworo aktorów. Następnie kurtyna opada i mężczyzna w masce plecie coś o prawach kobiet, a potem wkłada inną maskę i zaczyna głądzić o gwałcie. Kurtyna znowu w górze i na scenie dwie osoby w wiktoriańskich strojach przy śniadaniu. Okazuje się, że mężczyzna chodzi do burdelu, i kobieta się zabija. Znowu wyskakuje ten pajac w masce i rozprawia o zakończeniach, seksie oralnym i pigułce. Nagły wybuch muzyki z lat sześćdziesiątych i oto czworo aktorów przedstawia kolejną orgię, tylko tym razem zamiast winogron raczą się LSD. Ktoś umiera z przedawkowania i pozostali śpiewają *Yellow Submarine* jako swoisty hymn pogrzebowy. Zjawia się facet w masce, żeby powiedzieć, że to wszystko wina planet, i na scenę wchodzi wesoła czwórka w kosmicznych kombinezonach z wieścią, że Ziemia w końcu zniknęła, pochłonięta przez własne otwory. Oklaski i okrzyki z widowni: „Autor! Autor!”.

– O rany – wzdycha Nelson, gdy przesuwają się do wyjścia. – Co za bzdury.

– Cicho bądź – Michelle rozgląda się niespokojnie – tu jest Leo.

Nelson zauważa brodatego autora w otoczeniu pełnych uwielbienia przyjaciół. Gdzieś w tłumie migają rude włosy Shony, ale Ruth nie widać.

– Z chęcią bym go aresztował za naruszenie obyczajności – mruczy Nelson.

– Uspokój się...

W samochodzie Michelle przyznaje, że sztuka była okropna, a nawet zgadza się na wizytę w chińskiej restauracji. Nelson, w dobrym nastroju, nuci sobie pod nosem, jadąc szybko przedmieściami Norwich.

– No i co myślisz o Ruth? – pyta Michelle.

– A co mam myśleć? – przerywa nucenie.

– Oj, Harry, jesteś beznadziejny – śmieje się Michelle. – Nie zauważyłeś?

– Czego? – Niebezpieczeństwo, ostrzega sam siebie.

Ale Michelle wciąż się śmieje.

– Jest w ciąży.

Nelson liczy do dziesięciu, nie odrywając wzroku od drogi.

– Nie zauważyłeś?

– Znasz mnie – odpowiada. – Nigdy niczego nie zauważam.

– No to świetny z siebie detektyw – drażni się z nim Michelle.

– Nie wiesz na pewno, czy jest w ciąży – upiera się Nelson.

– Właśnie, że wiem. Zapytałam ją, gdy poszłyśmy do toalety.

Nelson przeklina kobietą niezdolność do samotnego chodzenia do toalety. I dlaczego muszą tam plotkować? Czy to do pomyslenia, żeby mężczyźni plotkowali przy pisuarze? Nic dziwnego, że kobiety zawsze tak się tara guzdrzą.

– Nie powiedziała, kto jest ojcem – ciągnie Michelle, pochylając się nad radiem.

– Nie?

– Nie. To na pewno ten jej ekschłopak. Wiesz, że wrócił do żony?

– Tak?

Michelle zmienia stacje, aż trafia na muzykę, która jej odpowiada. W samochodzie rozlega się głos oznajmiający, że dziewczyny chcą się po prostu dobrze bawić.

– Wiesz, chciałabym jej jakoś pomóc.

Uwaga, Harry, mówi sobie znowu. Miej się na baczności.

– Dlaczego?

– Bo będzie miała dziecko, a jest sama. Na pewno ma przyjaciół na uczelni, takich dziwaków jak ten, który dał nam łapacze snów, ale prawdopodobnie to my jesteśmy jedyną normalną rodziną, jaką zna. Dlatego chcę ją zabrać na zakupy, wybrać coś dla dziecka, no wiesz.

Przez wszystkie te lata, odkąd zna Michelle, nigdy się nie zdarzyło, by chciała przygarnąć jakąś kobietę pod swoje skrzydła. Dlaczego, myśli Nelson rozpaczliwie, musi zacząć właśnie od Ruth? Spogląda na żonę. Ona uśmiecha się do siebie, bawiąc się blond końcówkami końskiego ogona jak mała dziewczynka.

– Dobrze – mówi w końcu. – Jak chcesz.

Ruth wraca do domu w dobrym nastroju. Przeżyła imprezę kulturalną bez nudności i bez biegania do toalety. Choć sztuka była beznadziejna, to miło było wyjść, zobaczyć elegancko ubranych ludzi i porozmawiać o czymś innym niż kości, dekapitacja i śmierć. Przyjemnie było spędzić trochę czasu z Shoną. Może uda im się pozostać przyjaciółkami nawet wtedy, gdy Ruth przejdzie już na drugą stronę i zamieszka w

Świecie Matek. Nawet spotkanie z Nelsonem i Michelle nie okazało się niczym strasznym. Trochę ją zaskoczyło pytanie Michelle o dziecko, ale chyba wkrótce wszyscy będą wiedzieli. A najzabawniejsze jest to, że ona naprawdę chciałaby wybrać się z Michelle na zakupy. Ona sama jest w tym beznadziejna. To rytuał, którego nigdy nie opanowała. Inne kobiety potrafią zniknąć w sklepie na półtorej godziny i wyjść z naręczem ubrań w odpowiednim rozmiarze i z dobranymi do nich dodatkami i butami. Ona zaś może włóczyć się po sklepach cały dzień i kupić tylko za mały o dwa numery podkoszulek.

Poza tym potrzebuje przyjaciółki. Takiej, która nie byłaby zazdrosna i krytyczna, a sama miałaby dzieci i byłaby gotowa służyć radą i pomocą. Szkoda tylko, że jedyną kobietą, która pasuje do tego modelu, jest żona ojca jej dziecka, która jeśli pozna prawdę, na pewno więcej się do niej nie odezwie.

Wzdycha, skręcając w boczną drogę do Słonych Błot. Światła, gwar i barwy teatru zdają się oddalone o tysiące kilometrów. Tutaj wszystko jest pogrążone w ciemnościach i ciszy. W dali słychać huk morza. To nadzwyczajne, jak głośny potrafi być ten szum w nocy. Na pewno nadchodzi przyływ – wówczas woda całkowicie zalewa brzeg i zatrzymuje się przed słodkowodnymi mokradłami, zaledwie kilkaset jardów od frontowych drzwi Ruth. Czasami w takie noce jak ta wydaje jej się, że za chwilę fale pochłoną wszystko dokoła i jej małeńki domek, niczym arka Noego, odpłynie w dal. Przekonała się już, że morza nie wolno lekceważyć.

Wtem na drogę wbiega jakieś zwierzę; jego ślepia połyskują w świetle reflektorów. Chyba kot, a może lis. Ruth ma nadzieję, że to nie Krzemyk. Kiedy parkuje przed domem, włącza się



oświetlenie alarmowe i zalewa wszystko jasnością niczym światła rampy w teatrze. Może powinna podskoczyć i zacząć deklamować przemówienie o Janusie. W odróżnieniu od Shony nigdy jednak nie chciała zostać aktorką. Występowanie z wykładami to jedno, a emocje na scenie to coś zupełnie innego. Wyjmuje torebkę i szuka kluczy. Odkąd dostała ją od mamy, nigdy nie może niczego znaleźć, bo jest w niej za wiele przegródek. O Boże, jak bolą ją plecy. Marzy o tym, żeby wreszcie usiąść z filizanką herbaty i ogromną kanapką z szynką.

Jest. Wyciąga brelok z czarnym kotem (prezent od dzieci jej brata). Nagle się zatrzymuje. Światło wciąż się świeci i morze wciąż huczy w oddali. Ale ona słyszy jeszcze coś. Bardzo słaby, lecz wyczuwalny dźwięk. Oddech.

Wsuwa klucz do zamka i w nagłej panice niemal wbiega do środka. Szybko zapala lampy i zamyka drzwi na łańcuch. Oświetlenie alarmowe wyłącza się i na zewnątrz zapada ciemność. Trzęsąc się ze strachu, gasi światło w domu, żeby obserwować, co dzieje się na zewnątrz. Ale chociaż przykłada twarz do szyby, nic nie widzi.

Nagle wzdryga się, czując, jak coś ociera się o jej nogi. To Krzemyk. Pochyla się, by go pogłaskać, i to ją uspokaja. Wszystko w porządku, tłumaczy sobie, to nic. Tylko lis albo inne zwierzę. Wie jednak, że ten oddech, ciężki i miarowy, to był oddech człowieka. W dodatku kogoś, kto nadal jest na zewnątrz i na nią czeka. Czy to ta sama osoba, która podrzuciła model dziecka, zabiła koguta i wypisała jej nazwisko krwią na ścianie wykopu? Co zobaczy, jeśli otworzy drzwi? Czy ujrzy boginię Hekate z twarzą oświetloną blaskiem księżycy, otoczoną przez dwa upiorne psy? Czy może będzie to zwykły

śmiertelnik, który zamordował dziecko i wrzucił jego głowę do studni? Zabójca, który teraz ściga Ruth.

Stojąc tam, głaszcząc Krzemyka i spoglądając w ciemność, traci poczucie czasu. Ma wrażenie, że póki nie poruszy się gwałtownie, będzie bezpieczna – inaczej ten nieznajomy przyjdzie po nią. Czuje łzy w oczach.

Słaby ruch w żołądku sprowadza ją na ziemię. Musi myśleć o dziecku. W końcu ta istota na zewnątrz nie przedostanie się przez grube mury. Bierze Krzemyka na rękę, odwraca się od okna i wchodzi na górę do sypialni.

Budzi ją miauczenie kota, który często odmawia używania kłapy i żąda osobistej obsługi. Zaspana schodzi po wąskich schodach i otwiera drzwi. Od bagien napływa poranna mgła. Krzemyk stoi w połowie ścieżki, z pyszczkiem otwartym ze złości. Na progu leży martwe ciele. Czarne. Z dwiema głowami.

## ROZDZIAŁ 23

– Co to jest?

– Ekspонат – mówi Nelson – z muzeum. Tak jak tamto niemowlę.

Ruth natychmiast zadzwoniła do Nelsona i już po dziesięciu minutach był u niej. Ma mokre włosy, jest w dresie.

– Byłem w klubie fitness – wyjaśnia, widząc jej pytające spojrzenie.

– Myślałam, że nie lubisz ćwiczyć.

– To był pomysł Michelle. Chodzimy tam przed pracą. Nie jest źle, jak się już przywyknie. Ja lubię pływać. To dobre na początek dnia.

– Skoro tak twierdzisz.

Nelson kłęczący w ogrodzie przed jej domem i ogląda cielę, które, co teraz wyraźnie widać, jest wypchane. Z bliska wygląda mniej groźnie, a bardziej żałośnie. Druga głowa to w zasadzie tylko narośl na szyi ze szczątkowymi uszami i pyskiem. Oczy zostały dodane zapewne przez preparatora zwierząt w celu zwiększenia efektu. Ruth czuje litość wobec biednego cielęcia, ale i tak wolałaby go nie oglądać na swoim progu. Czy to prezent od tego kogoś, kto kręcił się przed jej domem w nocy?

– Dwugłowe cielę z Aylsham – stwierdza Nelson, rozprostowując się.

– Co?

– Jest z muzeum. Mają tam kolekcję wypchanych zwierząt. Zdaje się, że w czasach wiktoriańskich ten cielaczek był sławny. Podróżował po całym kraju z innymi tego typu dziwolągami.

– Ale jak to dwugłowe cielę z Aylsham trafiło na mój próg? – pyta Ruth, świadoma, że jej głos jest rozkapryszony i przerażony zarazem.

Nelson wzrusza ramionami, lecz wyraz jego twarzy świadczy o tym, że traktuje to poważnie.

– Nie wiem. Pójdę dzisiaj znowu do muzeum. A byłem tam wczoraj!

– Byłeś? Po co?

– Zapytać o model dziecka. Wygląda na to, że komuś sprawia przyjemność podrzucanie ci tych eksponatów.

Ale dlaczego?, myśli Ruth. I ma wrażenie, że ta osoba jest coraz bliżej i pała coraz większą wściekłością.

– Zjesz coś? Może napijesz się kawy?

– Nie, dziękuję. Muszę już iść. Zabiorę tego przyjemniaczka.

Nelson wkłada plastikowe rękawiczki i odchodzi z dwugłowym zwierzęciem pod pachą.

Ruth patrzy za nim. Ten widok jest tym bardziej surrealistyczny, że przy ziemi wciąż utrzymuje się mgła przysłaniająca wszystko do wysokości pasa. Tułów Nelsona, z dziwnym dwugłowym kształtem u boku, zdaje się płynąć na białej chmurze. Ruth drży. Poranne powietrze jest zimne, a ona ma na

sobie tylko bluzę narzuconą w pośpiechu na piżamę. Wie, że jej włosy są w nieładzie, a twarz opuchnięta. Taki wygląd musiał być dla Nelsona szokiem w porównaniu z zadbaną, odzianą w markowy dres Michelle, którą zostawił w klubie fitness. Ale co tam. Rusza po wilgotnej trawie w stronę domu. Weźmie prysznic i się ubierze. O dziesiątej ma być w szpitalu. Pora na kolejne USG. W drodze do łazienki słyszy dźwięk telefonu. To Nelson dzwoni z samochodu.

– Myślę, że nie powinnaś mieszkać na tym odludziu sama, kiedy ten świr płacze się po okolicy. Masz jakieś miejsce, gdzie mogłabyś się przenieść?

– Nie – mówi Ruth. Kiedyś w podobnych okolicznościach zamieszkała u Shony. Nigdy więcej.

Nelson wzdycha.

– No to wyznaczę kogoś, żeby u ciebie nocował.

– Nie!

– Muszę, Ruth. Jesteś w niebezpieczeństwie.

– No dobrze. Byle to nie był Clough.

Nelson się śmieje.

– Wyślę najlepszą policjantkę.

Ruth odkłada słuchawkę poirytowana, ale też podniesiona na duchu. Czuje zmęczenie, a jeszcze nawet nie ma dziewiątej. W chwili gdy wchodzi pod prysznic, znowu dzwoni telefon. Cholerny Nelson. Pewnie chce jej powiedzieć, żeby nie pośli-znęła się na mydle. Przez moment się waha, czy odebrać, ale obawa, że to może być zła wiadomość (coś się stało któremuś z rodziców) sprawia, iż znowu schodzi na dół.

Tym razem to Max.

– Cześć Ruth. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem. Chciałem tylko zapytać, jak się czujesz. No wiesz... po sobocie.

Czy to zaledwie w sobotę była w szpitalu? Wydawało jej się, że minęły już tygodnie.

– Dobrze – mówi.

– Myślałem... o tym twoim stanowisku w Norwich.

– Tak?

– Mógłbym tam przyjechać i się rozejrzeć? Mówiłaś, że znaleźliście jakąś nową ceramikę...

Ruth milczy. Proponowała mu, żeby zajrzał na Woolmarket Street, ale tak właściwie to się nie spodziewała, że skorzysta z tego zaproszenia. Znaleźiska rzymskie nie należą do wyjątkowych, a dzisiaj znowu mają ruszyć roboty budowlane. Dlaczego nagle zapragnął obejrzeć to miejsce? Może chce się z nią znów zobaczyć?

– O dziesiątej jestem umówiona, ale możemy się spotkać na miejscu o wpół do dwunastej.

Znowu wbiega na górę i tym razem śpiewa pod prysznicem.

Dwugłowe cielę z Aylsham wywołuje na komisariacie nie lada poruszenie.

– Widzę, że ma pan nowego ulubieńca, szefie – mówi Clough.

– Obrzydlistwo. – To Leah.

– Co to tutaj robi? – Judy.

– Czy to z muzeum? – Jak zawsze bystra i zainteresowana Tania.

Nelson zanosí cielę do sali operacyjnej. Nie chce go mieć w swoim gabinecie; te szklane oczy działają mu na nerwy.

– Cloughie! Zabierz to do muzeum i dowiedz się, jak się stamtąd wydostało.

– Może chciało się przejść?

Nelson nie zwraca na to uwagi.

– Dowiedz się, kto ma dostęp do eksponatów. Tania!

– Tak, szefie?

– Ty zajmij się sir Roderickiem Spensem. Przyjeżdża dzisiaj na test DNA.

– Dobrze.

– Judy, chcę, żebyś na kilka dni zamieszkała z Ruth Gal-  
loway.

Kobieta z jakiegoś powodu wygląda na zgaszoną. Nelson ma nadzieję, że nie jest na niego o coś obrażona.

– Dlaczego? – pyta.

– Bo myślę, że ktoś chce ją zabić.

Badanie USG tym razem bardzo różni się od pierwszego. Ruth wie, czego się spodziewać, bo kontrolowano jej stan po wypadku, i jest pewna, że z dzieckiem wszystko w porządku. Czuje nawet jego ruchy, jakby niewielki motyl muskał ją skrzydłami po brzuchu; czegoś takiego nie umiałyby sobie wyobrazić. „Czuję się, jakby coś się we mnie ruszało”, odpowiedziała na pytania Shony. „Tak to jest”, skwitowała przyjaciółka.

Prowadzą ją do gabinetu USG. Jak zwykle wszystko się opóźnia i Ruth zaczyna się martwić, że nie zdąży na stanowisko na jedenastą trzydzieści. Technik rozprowadza żel po jej brzuchu i już po chwili widać szare, mgliste wnętrze macicy.

– Tutaj są nóżki. Długie nogi. – Mężczyzna wciska jakiś guzik. – Tu dobrze widoczna twarzyczka. – Ruth spostrzega tylko nakładające się na siebie kształty jak na kubistycznym

obrazie. – O, tutaj nosek – pokazuje technik i Ruth widzi profil: czoło, małeńki nosek, usta, podbródek. Wydaje jej się nawet, że rozpoznaje minę, surową i poważną. – Chce pani wiedzieć, jaka płeć?

Sama się dziwi, że tak bardzo tego pragnie. W jakiś sposób jej relacja z tą istotą, tą o s o b ą , przybrała taką formę, że nie może tego nie wiedzieć.

– A... tak, proszę.

Technik wskazuje na ekran.

– Nie możemy mieć stuprocentowej pewności, ale jestem raczej przekonany, że to dziewczynka.

Ruth wpatruje się w niego zdumiona.

– Dziewczynka?

– Czasami tego nie widać... no wie pani, tych części ciała... ale tutaj mamy idealne ułożenie. Myślę, że to dziewczynka.

Dziewczynka. Córka.

Nelson ma ciężkie przedpołudnie. Clough poszedł do muzeum i przepadł. Pewnie siedzi w kawiarni albo spotkał tam Trace i ucinają sobie pogawędkę o Rzymianach. Przybywa Roderick Spens, nieco zagubiony, pełen wątpliwości, i trzeba go przeprowadzić przez procedurę badania. Judy lepiej by się do tego nadawała, myśli Nelson, patrząc, jak Tania próbuje wyprowadzić starszka z gabinetu. Stanowczo, ale grzecznie – tak trzeba postępować. On sam nigdy nie był dobry w takich delikatnych sytuacjach.

Jakby tego było mało, zjawia się jeszcze Whitcliffe.

– Dzień dobry, Harry. Wpadłem się dowiedzieć, jak idzie sprawa z Woolmarket Street. Zadzwoił do mnie Edward



Spens. Jest zaniepokojony tym, że wplątuje się w to jego chorego ojca.

Typowe, myśli Nelson. Edward Spens to właśnie taki typ, co to idzie na skargę do wyższych instancji. Wszelkie cieplejsze uczucia, jakie wzbudziła w nim jego synowska troska o ojca, natychmiast zniknęły.

– Sir Roderick właśnie tu jest – oznajmia. Ma wrażenie, że Whitcliffe już o tym wie. – Sprawdzamy, czy jego DNA wykaże związek ze znalezionymi zwłokami. Zajmuje się nim jedna z moich policjantek.

– Czy to możliwe, żeby było między nimi jakieś pokrewieństwo?

Nelson mówi mu o Annabelle Spens, ale Whitcliffe wciąż nie wygląda na przekonanego.

– Cóż, Harry, widzę, że chwytasz się nawet najdrobniejszych poszlak.

– Może.

Nelson nie potrafi mówić do niego „Gerry”. Nie chce też zwracać się do niego „szefie”.

Whitcliffe właśnie ma coś powiedzieć, kiedy komórka Nelsona informuje, że dostał SMS-a.

– Przepraszam. – Inspektor bierze telefon do ręki.

Wiadomość od Ruth. Dwa słowa: „To dziewczynka!”.

Nelson wpatruje się w wyświetlacz. W tle Whitcliffe nad czymś się rozwódzi. „Ważny lokalny przedsiębiorca... relacje z mieszkańcami... szacunek wobec starszych...”, ale Nelson myśli tylko o wiadomości od Ruth. Dziewczynka. Kolejna córka. Nie może w to uwierzyć. Ruth była tak mocno przekonana, że to

chłopiec, iż jemu także udzieliła się ta pewność. Michelle jest taka kobieca, dlatego zawsze wydawało się naturalne, że urodzi dziewczynkę. Ale Ruth, silna i niezależna... był przekonany, że będzie miała syna. Znowu córka. No to nie będzie musiał się niczego uczyć.

- Harry?
- Tak, tak. Oczywiście. Zrobi się.

Whitcliffe patrzy na niego z zaciekawieniem, a Nelson zastanawia się, na co się zgadza. Taka odpowiedź wydaje się jednak satysfakcjonować szefa, który opuszcza gabinet w świetnym humorze.

Jak tylko zamykają się za nim drzwi, Nelson dzwoni do Ruth.

- Ruth! Czy to prawda?
- Na to wygląda – śmieje się. – Będziemy mieli dziewczynkę.
- A mówiłaś, że to chłopak.

W tym momencie zauważa z irytacją, że wchodzi sir Roderick Spens, a zaraz za nim Tania. Nelson daje im znak ręką, by opuścili gabinet.

- Wiem, ale ten technik był prawie pewny.
- Znowu dziewczynka. O Boże...
- Cieszysz się?

Oczywiście, że się cieszy. Jej ciąża mogłaby rozwalić jego małżeństwo, ale na zupełnie innej płaszczyźnie jest oczywiście zadowolony. Wręcz zachwycony.

- Gdzie jesteś? – pyta.
- W drodze na Woolmarket Street.
- Spotkajmy się tam. – Patrzy na zegarek. – Jest dwadzieścia po jedenastej. Przyjadę za kwadrans.

Rozłącza się, zanim Ruth zdążyła mu powiedzieć, że jest umówiona z Maksem.

Na placu budowy znowu ruch i hałas. Koparki jeżdżą w tę i z powrotem, olbrzymi kontener na gruz zagradza wjazd. Max stoi w kasku obok baraku kierownika budowy. Wygląda na przybitego.

– Nie przypuszczałem, że prace są już tak zaawansowane.

– Chyba chcą nadrobić stracony czas – mówi Ruth. – Nelson twierdzi, że Spensowi bardzo zależy na szybkim skończeniu budowy.

– Cały on.

Ruth patrzy na Maksa zdumiona.

– To ty go znasz?

– Byliśmy razem na studiach.

– Coś ty?!

– Tak. Obaj studiowaliśmy historię w Sussex.

Ruth przypomina sobie tego układnego mężczyznę, którego poznała na wykopaliskach. Trudno go skojarzyć z Maksem, ale gdyby się lepiej zastanowić, to pewnie są w tym samym wieku.

– Jak do tego doszło, że został przedsiębiorcą budowlanym? – pyta.

– To firma rodzinna. Zawsze mówił, że jego ojciec będzie tego chciał.

– Utrzymujecie ze sobą kontakty?

Max jakby trochę się speszył.

– Tylko na portalu społecznościowym, takie pobieżne informacje.

Ruth nie znosi takich form kontaktu. Podtrzymuje znajomość z kilkoma osobami, które lubiła w szkole i na studiach. A pozostali im mniej o niej wiedzą, tym lepiej.

– Chodź, oprowadzę cię – proponuje.

Kierownik budowy jest wyraźnie niezadowolony, widząc znowu archeologów, ale zgadza się, żeby Ruth pokazała Maksowi teren, „o ile nie będą przeszkadzać”. Dochodzą do miejsca jamy grobowej pod drzwiami i okazuje się, że ta zniknęła. Czarno-białe płytki poniewierają się roztrzaskane, a grunt pod nogami zamienił się w zwały błota. Nie ma żadnych ścian, tylko równy płat przeoranej ziemi.

Studnia jest wciąż nietknięta. Koparki jeszcze tu nie dotarły, choć już są w pobliżu. Ruth widzi, jak ich mechaniczne szpony chwytają wszystko, co napotkają na drodze: rośliny, grządkę warzywną, drzewo z huštawką, inspekt. Gruz i ziemia wysypują się do kontenera. Kto wie, ile w tym jest artefaktów – średniowiecznych, rzymskich, wiktoriańskich... Wszystko to ulega zniszczeniu, żeby zrobić miejsce na siedemdziesiąt pięć luksusowych apartamentów z łazienkami w sypialniach.

Max klęka i zagląda do studni.

– Projekt wygląda na rzymski.

– Tak myślałam – mówi Ruth. – W rzymskich studniach chyba znajdowano głowy, prawda? – pyta jeszcze.

– Czasami – odpowiada Max ostrożnie. – W Odell, w hrabstwie Bedfordshire, znaleziono rzymską czaszkę starannie wetkniętą w cembrowinę. Ale kult głów jest raczej celtycki. I w średniowieczu popularne były święte źródła. Źródło świętego Tomasza w Windleshaw podobno wytrysnęło, kiedy kapłanowi ścięto głowę.

Hałas koparek bardzo utrudnia rozmowę. Ruth chce zaproponować, żeby stąd odeszli, kiedy zauważa Nelsona, który z pochmurnym obliczem przedziera się przez zwały gruzu. Całkiem o nim zapomniała.

– Czy on wszędzie za tobą chodzi? – pyta Max.

Nelson też nie wydaje się zachwycony tym, że Ruth ma towarzystwo.

– Dawnośmy się nie widzieli – mówi oschle do Maksa.

Dla Ruth cała ta sytuacja staje się nie do zniesienia.

– Chodźcie – mówi. – Odejdźmy stąd.

Zatrzymują się, jakby się umówili, przy kamiennym łuku, który wciąż stoi, mimo że reszta ściany frontowej zniknęła. Wieżyczki, krenelaż – to wszystko rozpadło się w pył.

– Zostawiają ten łuk? – pyta Max.

– Tak – odpowiada Ruth. – Uważają go za oznakę dobrego gustu.

Stoją przez chwilę, spoglądając na wyrazy wyryte w kamieniu. Wtem Ruth dostrzega idącą w ich stronę postać. Mężczyzna w czerni stąpa powoli po deskach rozłożonych na skopanej ziemi. Ksiądz Hennessey. Kierownik budowy się wścieknie, myśli Ruth.

Hennessey podchodzi bliżej i nagle jego twarz tak się rozjaśnia, że Ruth nie wie, co powiedzieć. Czemu, u licha, tak się cieszy na jej widok? A może patrzy na Nelsona?

Duchowny patrzy jednak w bok. Jego niebieskie oczy napęniają się łzami. .

– Martin – mówi. – Jak dobrze cię znów zobaczyć.

25 czerwca

*Początek Ludi Taurii*

*Dzisiaj nadarzyła się sposobność. Matka wyszła, pozostawiając dziecko śpiące. Ono nie śpi już w kołysce, lecz w łóżku z prętami po bokach, żeby nie wypadło. Matka nie bardzo chciała zostawić je ze mną w domu, ale bolał ją ząb i musiała pilnie udać się do dentysty. Zapewniłem ją, że ze mną nic mu nie grozi, i w istocie tak będzie. Jak tylko wyszła, wziąłem nóż i poszedłem prosto do jej sypialni.*

*Spało z lekko rozchyłonymi ustami. Nie jest ładnym dzieckiem, chociaż matka uważa inaczej. Obróciłem je tak, żeby odstłonić szyję. Zobaczyłem pulsującą żyłkę. Idealne miejsce.*

*Szczerze mówiąc, drogi pamiętniku, obawiałem się tej chwili. Czy ogarnie mnie to żalosne, siejące zniewieściałość uczucie, jakim jest Litość? Czy nie zabraknie mi niezbędnego męstwa, by dokonać dzieła? Z przyjemnością jednakże donoszę, że gdy stałem nad tym dzieckiem niczym anioł zemsty, wcale nie czułem litości. Ogarnęła mnie raczej wielka radość, poczucie mocy i świadomość, że to, co robię, jest słuszne. Tak, to było to. Wiedziałem ponad wszelką wątpliwość, że postępuję słusznie. Moje ramię było jak stal, silne, lecz giętkie. Oczy mi płonęły. Uniosłem nóż.*

*Wtedy – o banalności! – zadzwonił telefon. Piekielna współczesności, która przeszkadzasz starożytnym rytuałom! Oczywiście magia chwili prysła i poszedłem odebrać tę diabelską maszynę. To byli Oni. Rozmawialiśmy dość uprzejmie, ale wrócą w przyszłym tygodniu. Pozostało niewiele czasu.*

*Wciąż jest bardzo gorąco. Dom czeka.*

## ROZDZIAŁ 24

Z początku Ruth nie rozumie, co się dzieje. Przerzuca wzrok z Hennesseya na Maksa i z powrotem, zastanawiając się, dlaczego Nelson też wygląda na zaskoczonego. To właśnie Nelson odzywa się pierwszy:

– To pan jest Martinem Blackiem?

Max odpowiada śmiechem, którego Ruth wcześniej u niego nie słyszała – jakby dzikim.

– Black czy Grey, co za różnica? – mówi.

Wtedy Ruth sobie przypomina. Martin i Elizabeth Black. Dwoje dzieci, które mieszkały w domu dziecka i zagięły w tajemniczych okolicznościach. Czyżby to była prawda? Być może Max, który twierdził, że nic nie wie o tym miejscu na Woolmarket Street, kiedyś tutaj mieszkał. Czy dlatego wrócił do Norfolku? I skoro nie ujawnił się z tym, mówi jej inny, głębiej skryty głos, to co jeszcze ukrywa?

Ksiądz Hennessey podchodzi do Maksa, który w jednej chwili zrobił się na twarzy biały jak kreda.

– Martin – mówi głosem dławionym przez emocje. – Nie... nie myślałem, że jeszcze cię zobaczę. Mój chłopcze...

Max kładzie dłoń na ramieniu księdza. Jego oczy też są pełne łez.



- Proszę księdza... Nigdy księdza nie zapomniałem.
- A Elizabeth? – pyta Hennessey prawie szeptem.
- Nie żyje – Max odwraca twarz.

Głos Nelsona brzmi niczym podmuch zimnego wiatru.

– Myślę, że musi pan odpowiedzieć na kilka pytań, panie Grey. Czy może panie Black?

- Nie zrobiłem nic złego – oświadcza Max hardo.
- Ja to osądzę – stwierdza Nelson. – A teraz proszę ze mną

na komisariat.

Max wygląda, jakby chciał odmówić, ale po chwili wzrusza ramionami i idzie za inspektorem do wyjścia. Nic dziwnego, że wiedział, co znaczy ten napis, myśli Ruth.

Ksiądz Hennessey jeszcze chwilę się waha, po czym spogląda na Ruth przepaszająco i rusza za mężczyznami. Ruth zostaje sama wśród maszyn budowlanych.

Późnym popołudniem jest w domu. Przez kilka godzin po rewelacyjnych wydarzeniach na placu budowy była pewna, że albo Max, albo Nelson lada moment zadzwoni. Chyba ktoś powinien jej wyjaśnić, o co tu chodzi? Czas jednak mijał – zdążyła nakarmić Krzemyka, zrobić sobie lekki obiad, włączyć pralkę, odpowiedzieć na e-maile, i w końcu zaczęła czytać pracę doktorską zatytułowaną *Archeologia chorób* – a żaden z nich nie dawał znaku życia. Musiała pogodzić się z faktem, że nikt nie uznał za stosowne zapoznać jej z sytuacją – jest kimś z zewnątrz, ekspertem od kości, ekscentrycznym naukowcem. Max ją okłamał; prawdopodobnie wykorzystywał ją do zdobywania informacji o stanowisku na Woolmarket Street. Nelson zawsze zapomina o niej, jak tylko wyczuje przełom w śledztwie. Jediną osobą, która uważa, że Ruth odgrywa w tej

sprawie istotną rolę, jest ten świr, który podrzuca jej muzealne eksponaty, myśli z goryczą.

A jednak kiedy ptaki zaczynają wieczorem zlatywać się nad moczary – tysiące drobnych czarnych punkcików skupiających się i rozpierchających niczym opiłki żelaza na niebie – przed jej dom zajezdza czarny range rover. To Max.

Podchodzi do drzwi, niepewna swoich uczuć. Z jednej strony chce się dowiedzieć, co się dzieje, a z drugiej – nie wie, co myśleć o Maksie Greyu. Martina Blacka, oczywiście, w ogóle nie zna.

Mężczyzna wygląda na śmiertelnie wyczerpanego; jest trupio blady, ma podkrążone oczy. Pięć godzin przesłuchań w obecności Nelsona na pewno dla nikogo nie byłoby przyjemnością, ale Ruth uświadamia sobie, że Max już od pewnego czasu wyglądał na niespokojnego – prawdopodobnie od chwili, gdy się dowiedział o szkielecie pod wejściem. Nie, jeszcze wcześniej, odkąd zdał sobie sprawę, że jej stanowisko znajduje się tam, gdzie kiedyś był dom dziecka, gdy zapytała go o inskrypcję nad łukiem wejściowym. Mimo wszystko współczuje mu.

- Jak się czujesz? – pyta.
- Bywało lepiej.
- Napijesz się herbaty?
- Może być coś mocniejszego.

Podaje mu kieliszek wina, a dla siebie robi herbatę ziołową (jest tak niesmaczna, że na pewno zdrowa). Siedzą chwilę w milczeniu, wreszcie Max mówi:

- Przepraszam.
- Za co?

- Że cię okłamywałem.
  - Właściwie nie kłamałeś, tylko przemilczałeś to i owo.
  - Ksiądz Hennessey powiedziałby, że na jedno wychodzi
- uśmiecha się.
- To niesamowite, że cię rozpoznał po tylu latach.
  - Stwierdził, że częściowo stało się to dzięki otoczeniu.
- Zobaczył mnie stojącego przy tym łuku. Jezu, wtedy, gdy mnie zapytałeś, co znaczą te słowa! Mam je wyryte w sercu.
- Popija łyk wina. Trzęsą mu się ręce.
- A jak było na komisariacie? – pyta Ruth.
  - Och... Nelson spisał zeznanie. To trwało wieki. Pobrali mi odciski i tak dalej. Rozmawiałem też z księdzem, ale nie pozwolili mu zostać podczas przesłuchania.
  - O co cię pytali?
  - O moje zniknięcie. Ostatecznie jestem osobą zaginioną ponad trzydzieści lat temu. I o Elizabeth...
- Głos mu się załamuje, gdy wypowiada jej imię. Przeciera oczy.
- Powiedziałeś, że nie żyje? – mówi łagodnie Ruth.
- Max podnosi głowę i patrzy na nią twardym, lecz nie wzdającym wzrokiem.
- Zmarła – potwierdza. Kieruje te słowa nie do Ruth, lecz do kogoś innego, może do samego siebie, a ona skądś wie, że to mówi dwunastoletni Martin Black.
  - Chcieliśmy pojechać do taty. Wszystko zaplanowałem. Znalazłem jego adres w papierach księdza Hennesseya. Zawsze pozwalał mi wchodzić do swojego gabinetu. Ukradłem dość jedzenia, żeby nam wystarczyło na drogę. Zabrałem nawet namiot z magazynu. Ksiądz Hennessey czasem organizował

nam biwaki. Wszystko było przygotowane, ale Elizabeth... Ona nie chciała uciekać. Podobało jej się tutaj. Kochała siostrę James, która uczyła młodsze dzieci. Czuła się tu bezpiecznie. Ale mnie kochała bardziej. – Przez sekundę w jego głosie słychać było ton triumfu. – Kochała mnie tak, że poszła ze mną. Chciała tylko zabrać tego wypchanego psa.

Ruth przypomina sobie łóżko Maksa na łodzi: otwarta książka na nocnej szafce i zabawka na poduszce. Pies Elizabeth.

– Na początku wszystko szło dobrze. Pierwszą noc spędziliśmy w opuszczonym magazynie, a potem ruszyliśmy w kierunku Londynu. Miałem nasze stare mundurki szkolne. Wiedziałem, że nie będą szukać dzieci w mundurkach, no i miałem szczęście. Tego dnia była jakaś szkolna wycieczka do Londynu i doczepiliśmy się do nich. Nikt nas nie zauważył. Ale po przyjeździe do Londynu... tam się zaczęło.

– Co się zaczęło?

– Często się przeziębiała i bolało ją gardło, toteż w pierwszej chwili myślałem, że to znowu to. Ukradłem dla niej jakieś leki i na chwilę pomogło. Ukrywaliśmy się w pustej szkole pod Swindon. Musieliśmy się kierować na zachód, do Holyhead. O Jezu... ta szkoła. Na asfaltowym boisku były namalowane olbrzymie węże i drabiny. Elizabeth się ich bała. W nocy myślała, że te gady do niej pełzną. Spaliśmy w pokoju nauczycielskim, na sofach. Ale ona miała gorączkę, krzyczała. Jakby mnie nie znała. Wołała mamę.

Jego głos powoli cichł, aż zamilkł. Max siedzi pochylony, z głową ukrytą w dłoniach. Krzemyk już go opuścił. Ruth nie chce słyszeć nic więcej. Myśl o tym, że pięcioletnia Elizabeth

mogła umrzeć w pustej szkole, mając przy sobie jedynie dwunastoletniego brata, który się nią opiekował, jest zbyt straszna. A skoro ona nie chce o tym myśleć, to co dopiero Max, który przez tyle lat utrzymywał to w sekrecie... Ruth jednocześnie czuje, że jeśli zaczął już opowiadać, to dla własnego dobra powinien doprowadzić to do końca. Zachęca go więc spokojnie:

– I co się stało?

Max patrzy na nią wzrokiem pełnym bólu.

– Zmarła. Tak po prostu. Obudziłem się rano, a ona nie żyła. Leżała na sofie okryta kocem, martwa. Jej buzia była zimna... – Odwraca głowę i po paru sekundach podejmuje silniejszym głosem: – Pochowałem ją na szkolnym terenie. Znajdowała się tam mała grządka warzywna, gdzie ziemia była spulchniona; tam ją zakopałem. Chciałem też zakopać z nią Wilczka, jej psa, ale kiedy przyszło co do czego, nie mogłem... Pachniał nią. Pogrzebałem ją i ruszyłem dalej. Podejrzewam, że teraz Nelson znajdzie jej szczątki. To nie będzie miła niespodzianka dla pracowników tej podstawówki... – próbuje się roześmiać.

– Co się działo z tobą?

– A... dotarłem do Irlandii, ale jak zobaczyłem ojca, był pijany w sztok i nawet mnie nie rozpoznał, nie zostałem tam. Jakiś czas włóczyłem się po kraju z Cyganami. Byli dla mnie dobrzy. Pomagałem przy koniach; jeździli na targi końskie i mieli kucyki, których nie przywiązywali, nawet w miastach. Dzieci czasami uczęszczały do lokalnej szkoły. Chodziłem z nimi i znowu zainteresowałem się historią. Jeden nauczyciel

mnie polubił i namówił, żebym został i przystąpił do egzaminów. Zamieszkałem z nim i jego rodziną. Oni też byli porządni. Już wtedy przedstawiałem się jako Max Grey. Zdałem maturę i poszedłem na studia do Sussex. Koniec opowieści.

– Dlaczego tu wróciłeś? – pyta Ruth.

– Głównie przez rzymskie wykopaliska. W końcu jestem archeologiem. Poza tym chyba chciałem znowu zobaczyć ten dom... ale się bałem. Inspektor Nelson mówił, że uciekinierzy zawsze wracają tam, skąd uciekli. Chyba nie jestem wyjątkiem. Potem, kiedy już zaczęłaś przekopywać to miejsce, nie mogłem w to wszystko uwierzyć. Miałem ci powiedzieć, naprawdę.

Patrzy na nią z powagą. Martin Black zniknął i znowu siedzi przed nią Max Grey, elokwentny i spokojny.

– Nie szkodzi – odpowiada Ruth. – To musiało być... trudne. – Wie, jak niezręcznie to brzmi.

– Na początku nie miałem odwagi tam pójść, ale potem nie mogłem się oprzeć. Chciałem go zobaczyć ostatni raz. I wtedy, widok księdza Hennesseya...

– On chyba bardzo cię lubił.

– Był dla mnie naprawdę dobry. W tamtym czasie nie należałem do łatwych dzieci: wdawałem się w bójki, przeklinałem, kradłem, ale on nigdy nie stracił wiary we mnie. Zawsze był przekonany, że jeszcze będą ze mnie ludzie...

– I miał rację – stwierdza Ruth.

– Tak myślisz?

Patrzą na siebie i nagle ta chwila nabiera głębi, przez smutek, zrozumienie i niespodziewanie coś jeszcze, coś, co sprawia, że Ruth się rumieni i odwraca wzrok.

– Ruth?

Czar pryska, gdy rozlega się dzwonek do drzwi. Na progu stoi Judy Johnson z torbą podróżną w ręku.

– Dobry wieczór. Spędzę z panią kilka nocy.

## ROZDZIAŁ 25

Gdy Nelson przychodzi rano do pracy, zastaje na swoim biurku wyniki badań DNA. Czyta je uważnie, popijając kawę. Potwierdzają bez cienia wątpliwości, że Roderick Spens jest spokrewniony z osobą, której zwłoki znaleziono pod drzwiami. Ponadto wykazują, że Roderick i martwe dziecko mieli wspólnego męskiego przodka. Nelson marszczy czoło w zamyśleniu.

Odnaalezienie Martina Blacka było zupełnym zaskoczeniem. Wbrew teorii o przestępcach wracających na miejsce zbrodni Nelson nigdy by nie przypuszczał, że zastanie Martina Blacka przechadzającego się po terenie byłego domu dziecka. A już w żadnym razie nie skojarzyłby bystrego archeologa, który wydaje się łączyć krok w krok za Ruth, z zaginionym dwunastolatkiem. „Ludzie się zmieniają”, zawsze przypomina swojemu zespołowi. „Nie szukacie małego chłopca, tylko mężczyzny po czterdzieście”. Mimo to między doktorem Greyem a zdesperowanym uciekinierem Martinem Blackiem istniała tak wielka przepaść, że wydawała się nie do przebycia.

W dodatku cała ta historia... jego dzieje były naprawdę wzruszające. Mała dziewczynka umierająca w pustej szkole



(Nelson podejrzewa, że prawdopodobnie na zapalenie opon mózgowych) i zrozpaczony brat zakopujący ciało. To brzmi tak nieprawdopodobnie, że pewnie jest prawdziwe. Przekonają się, kiedy odnajdą tę szkołę i przekopią grządkę. Dziennikarze będą zachwyceni.

O dziewiątej jest odprawa. Tania ma przed sobą otwarty notes, Clough wchodzi do sali, żując gumę, a Judy pije herbatę.

- Czy u Ruth wszystko w porządku? – pyta Nelson.
- Całą noc cisza.
- A ona sama, jak tam?

Judy patrzy na niego z zaciekawieniem.

- Chyba dobrze. Był u niej przyjaciel, gdy przyszedłam.
- Kto?
- Ten archeolog, który był tu wczoraj.
- Musimy o nim pogadać – oświadcza Nelson. Opowiada zespołowi o niespodziewanym pojawieniu się Martina Blacka.
- O kurde – mówi Clough, wciąż poszukując resztek śniadania w ustach – to naprawdę on?

– Książdz Hennessey to potwierdza. Black twierdzi, że razem z siostrą uciekli, żeby wyruszyć do Irlandii. Elizabeth zachorowała i zmarła w opuszczonym budynku szkolnym pod Swindon.

- Wierzy mu pan? – pyta Clough.
- Nigdy nikomu nie wierzę, zanim nie sprawdzę. Ale niezależnie od tego wszystkiego ustaliliśmy, że zwłoki na Woolmarket Street to na pewno nie Elizabeth Black. Mamy wyniki testu DNA... – robi pauzę, aby uzyskać lepszy efekt – ...które pokazują, że sir Roderick Spens i martwe dziecko mają wspólnego męskiego przodka.

– Czyli że to może być Annabelle Spens? – mówi Judy, zdziwiona tym odkryciem.

– Możliwe. Tania, jak ci idą poszukiwania karty denty-  
stycznej Annabelle?

– Nie najlepiej – odpowiada kobieta tonem, który Nelson odbiera jako defensywny. – Odwiedziłam wszystkich stomato-  
logów, którzy pracowali w Norwich w latach czterdziestych i  
pięćdziesiątych. Żaden z nich nie prowadzi już praktyki, a ich  
dokumentację się nie zachowały.

– Próbuje dalej – nalega Nelson. – Nasz ekspert twierdzi, że  
tej dziewczynce robiono jakieś ciekawe zabiegi denty-  
styczne.

– Jeśli tym dzieckiem jest Annabelle Spens – zastanawia  
się Judy na głos – kto mógł ją zabić? To dość brutalne zabój-  
stwo – zadźgać nożem, a potem pozbawić głowy.

– Nie mam pojęcia – odpowiada Nelson – ale wiem, że w  
sprawach o zabójstwo dziecka sprawcą najczęściej jest ktoś z  
rodziny.

– Christopher Spens?

– Możliwe. Wygląda mi na świra. Te wszystkie jego gadki  
o łacinie. Roderick Spens twierdzi, że jego ojciec miał w  
ogrodzie świątynię zbudowaną na cześć rzymskich bogów. No i  
ta studnia... najwyraźniej powstała według autentycznego  
rzymskiego projektu.

– A matka? – pyta Tania. – Jaka była?

– Sir Roderick mówi, że jak anioł, ale ja mam wrażenie, że  
nie znał jej zbyt dobrze. Prawdopodobnie wychowywała go  
niania. Matka zmarła młodo, w pięćdziesiątym siódmym.

– Zaledwie kilka lat po córce – zauważa Judy. – Może z  
rozpaczy.

– To nie historia z kolorowego pisma dla kobiet – stwierdza Nelson. – Zmarła na zapalenie płuc. Dość częste w tamtych czasach.

– W każdym razie – mówi Clough – ta rodzina nie miała szczęścia.

Ruth nie może się skupić na pracy. Z powodu Judy czuła się zobowiązana wstać wcześniej i zaproponować jej przynajmniej herbatę. Policjantka powiedziała jednak, że zje coś na komisarzacie. Wyszła o ósmej, a wyglądała na dużo bardziej pozbieraną niż Ruth kiedykolwiek, a już zwłaszcza przed dziesiątą.

Wczorajsze wizyty sprawiły jej niespodziewaną przyjemność. Max wyszedł niemal natychmiast po przybyciu Judy i to także miało swoją dobrą stronę. Ruth potrzebuje czasu na przetrwanie jego losu, oswojenie się z tym, że Max Grey to w rzeczywistości Martin Black. Jak to możliwe: przeżyć to wszystko i pozostać normalnym, dobrze przystosowanym do życia? Gdyby miała sobie wyobrazić dzieciństwo Makska, myślałaby o rodzinie z klasy średniej, prywatnej elitarniej szkole, bezproblemowym dostaniu się na studia, relacjach i przyjaźniach typowych dla kolejnych etapów życia. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że ma za sobą dom dziecka, śmierć siostry, włączę po kraju. O Jezu, toż to co najmniej jak *Wichrowe wzgórza*. Musi przyznać, że Max jest nawet trochę podobny do Heathcliffa.

Ruth siedzi przy stole blisko okna. Jest pochmurny poranek, szare mokradła zlewają się w jedno z szarym niebem. Włącza komputer, lecz po minucie wpatrywania się w notatki z wykładów wyłącza go. Otwiera szufladę i wyjmuje czysty arkusz

papieru. Jedną z niewielu rzeczy, które dzieli z Nelsonem, jest zamiłowanie do sporządzania list. U góry kartki Ruth pisze: „Woolmarket Street”. Dalej wymienia wszystkich, którzy mają jakiś związek z tym miejscem.

„Dom dziecka

Książd Hennessey

Max Grey (wpatruje się w to nazwisko przez chwilę, po czym przekreśla je i pisze: Martin Black)

Kevin Davies, przedsiębiorca pogrzebowy

Inni wychowankowie

Personel (Max wspominał siostrę James, a Ruth wie, że Judy była w Southport, gdzie rozmawiała z inną zakonnica)

Plac budowy

Edward Spens

Kierownik budowy i inni budowląnczy

Ted

Trace”.

Przygląda się tej liście tak długo, że znudzony Krzemyk próbuje na niej usiąść. Ruth odgania go. Każdy z tej listy mógł podrzucić dwugłowe cielę na jej próg, wrzucić plastikowe dziecko do wykopu i wypisać jej nazwisko na rzymskim murze. Musi przyznać, że z wszystkich tych osób najbardziej podejrzany jest Max. Zna rzymskie obyczaje, to on wyjaśniał jej wszystko, a zwłaszcza ten wątek z *Ja, Klaudiusz*; miał możliwości, a okazji mu nie brakowało. Był tam, gdy natknęła się na napis na ścianie. To on znalazł ją w wykopie, kiedy zemdląca. A może przebywał tam cały czas i podrzucił sztuczne niemowlę

(w końcu zaledwie dzień wcześniej powiedziała mu, że jest w ciąży)? Jako archeolog miał dostęp do eksponatów w muzeum, mógł z łatwością zdobyć dwugłowe ciele i model dziecka.

Ale po co? Po co Max miałby ją „śmiertelnie przerazić” – jak sam to określił? Chciał przegonić Ruth z Woolmarket Street? Żeby nie odkryła jego prawdziwej tożsamości? A może z dawnym domem dziecka łączy się jeszcze jakaś tajemnica?

Ponownie spogląda na listę. Jeżeli zwłoki pod wejściem pochodzą sprzed pięćdziesięciu lat, to należy szukać kogoś, kto wówczas żył. Z tego spisu pozostaje tylko ksiądz Hennessey. No, jeszcze kilka zakonnic i innych osób z personelu, ale Ruth i tak zna tylko Hennesseya. Skoro istotnie jest jakaś tajemnica, on powinien ją znać. Czyż księża nie są dopuszczani do najgłębszych sekretów? Nie na tym polega spowiedź?

Kiedy spotkali się na placu budowy, Hennessey zostawił jej swoją wizytówkę. W tamtej chwili wydało jej się zabawne, że osoba duchowna posiada coś tak świeckiego. Na wizytówce widnieje nazwisko: „Ksiądz Patrick Hennessey SJ”, napisane drobnymi wersalikami. Ruth nie ma pojęcia, co oznacza skrót SJ, i nawet nie chce wiedzieć. Z drugiej strony dobrze by było znów się z nim spotkać i zadać mu parę pytań.

Sięga po telefon.

Judy siedzi za biurkiem, pałając gniewem. Drań! Jak śmie sobie z niej żartować. „To nie historia z kolorowego pisma dla kobiet”. I to w obecności Tani Fuller. Judy lubi Tanię. Miło spędza się z nią wolny czas i oczywiście stanowi przyjemne antidotum na obecność Clougha i pozostałych mężczyzn. Ale Judy wie, że Tania jest jej rywalką.

Judy pracuje w policji od trzech lat. Skończyła studia (o czym rzadko wspomina Nelsonowi) i dlatego ma szansę na szybki awans. Kiedy po półtora roku przeniesiono ją do zespołu inspektora, poczuła, że naprawdę się pnie. Lubi prace dochodzeniowe i jest w dobrych układach z Nelsonem, który zdecydowanie więcej szczeka, niż gryzie. Może sprawiać wrażenie męskiego szowinisty, ale w praktyce traktuje kobiety sprawiedliwie (w przeciwieństwie do innych inspektorów), nie przydziela im wyłącznie spraw o gwałt i przemoc domową. Judy ma jednak poczucie, że jej kariera utknęła w martwym punkcie. Jest starszą posterunkową, teraz już powinna być sierżantem, jak Clough. Wie, że Nelson ma etat dla jeszcze jednego sierżanta, dlaczego więc jej nie awansuje? Zanim dołączyła do nich Tania Fuller, Judy mogła przynajmniej mieć pewność, że jest najlepszą kandydatką. A tu nagle zjawia się Tania ze swoimi inteligentnymi pytaniami i oczkami wbitymi uważnie w Nelsona. Czy to możliwe, że Nelson awansuje Tanię, a nie ją? Tego by nie zniosła. Wtedy rzuciłaby wszystko i została bukmacherem jak jej ojciec.

Judy ma pomóc Tani w poszukiwaniach dokumentacji stomatologicznej, a zamiast tego przegląda notatki dotyczące sprawy. Jest przekonana, że coś przeoczyli. Gdyby udało jej się to zauważyć, to dopiero im pokaże! Nelsonowi, Tani, wszystkim!

Bezwiednie szkicuje drzewo genealogiczne Spensów. Widział Edwarda Spensa raz na komisariacie i wydał jej się całkiem sympatyczny. To nie zmienia jednak jej głębokiego przekonania, że ta rodzina na pewno coś ukrywa.

**Christopher Spens (zm. 1981) = Rosemary Spens (zm. 1957)**

**Roderick (ur. 1938) + Annabelle (ur. 1946, zm. 1952)**

**Charlotte + Edward**

**Tracy + Luke**

**Sebastian + Flora**

Dość długo przygląda się imieniu Rosemary Spens. Słyszy głos Nelsona, spokojny jak zawsze na odprawach: „Sir Roderick mówi, że była jak anioł, ale ja mam wrażenie, że nie znał jej zbyt dobrze. Prawdopodobnie wychowywała go niania”. To jest to! Judy wraca do akt i grzebie w nich, aż trafia na spis mieszkańców z 1951 roku. Przypomina sobie, że Clough czytał im to na głos: „Christopher Spens, Rosemary Spens, dzieci Roderick i Annabelle”. Oczywiście, Clough jak zawsze coś pominął i dopiero słowa Nelsona sprawiły, że o tym pomyślała. W domu musiały być też inne osoby – służące, kucharz i niemal na pewno niania. I jakżeby inaczej, na liście są jeszcze cztery nazwiska:

„Lily Wright – kucharka

Susan Baker – służąca

Edna Dawes – służąca

Orla McKinley – niania”.

Judy wbija wzrok w ostatnie nazwisko.

Clough, przełknąwszy ostatniego pączka, rusza w stronę pracowni kamieniarskiej. W powietrzu unosi się gęsty pył, z mgły wyłaniają się dziwaczne kształty: kolumny, kominki, tu i ówdzie jakiś nie dokończony posąg, konie, anioły, boginie

greckie. Clough przechadza się ostrożnie między kamiennymi figurami z takim poczuciem, jakby znalazł się w krainie, o której czytał w dzieciństwie. Była to opowieść o czarownicy, która zamieniła wrogów w kamienie i ozdobiła nimi swój pałac. Ewentualnie mógł to być cmentarz.

Z tym kamieniarzem mieli sporo szczęścia. Firma, która w 1956 roku wykonała łuk dla Christophera Spensa, wciąż istnieje. Tamten kamieniarz przeszedł już na emeryturę, lecz biznes przejął jego syn, który zgodził się przyprowadzić ojca do pracowni na rozmowę z policją. Clough kieruje się powoli na tyły obszernego pomieszczenia, gdzie dźwięki Radia 1 mieszają się z zapachem odgrzewanej kawy. Wdycha tę woń z lubością.

Starszy mężczyzna siedzi w fotelu przed kuchenką gazową. Młodszy, zapewne jego syn, obłupuje niewielki marmurowy blok. W tle Duffy śpiewa *Mercy*.

– Pan Wilson? – wyciąga dłoń na powitanie. – Sierżant Clough.

Starzec podaje mu drobną dłoń w rękawiczce bez palców.

– Wilson senior. Reginald Wilson. Rozumiem, że to ze mną chciał pan rozmawiać?

– Tak. Jak już mówiłem pańskiemu synowi przez telefon, interesuje nas łuk, który wykonał pan w pięćdziesiątym szóstym roku na Woolmarket Street. Dla Christophera Spensa.

Reginald Wilson wskazuje gestem oprawiony w płótno opasły tom na swoich kolanach, podpisany czarnym atramentem: „1954-1958”.



– Wszystko jest tutaj. Zawsze powtarzam mojemu synowi: wprowadź to do księgi. Nigdy nie wiadomo, kiedy zechcesz do tego wrócić. Ale dzisiaj wszystko zapisują w komputerach. To nie takie bezpieczne jak książka.

Młodszy mężczyzna z politowaniem przewraca oczami.

Clough śledzi wzrokiem drżący palec, przesuwający się do wpisu dokonanego ołówkiem: „Kamienny łuk wejściowy i portyk. Portyk z kolumnami w rzymskim stylu. Łuk wolno stojący, granitowy. Osiem stóp na cztery. Inskrypcja: «*Omnia mutantur, nihil interit*»”.

– Łacina – mówi Clough. – Jak chiński, nie?

– Miałem łacinę w szkole – oznajmia Reginald Wilson spokojnie. – To dość znane powiedzenie. Było ważne dla pana Spensa, jak sądzę, z powodu śmierci córki. Mówił, że ten łuk to pomnik jej poświęcony, znak, że nic nie ginie.

Clough, nieco urażony, pyta:

– Jakim człowiekiem był Christopher Spens?

Wilson przez chwilę milczy, wyciąga dłonie w kierunku ognia. Wreszcie mówi:

– Zawsze był bardzo uprzejmy. Traktował mnie jak rzemieślnika. To się liczy w naszej pracy. Ale zachowywał dystans, jeśli wie pan, o co mi chodzi. Oczywiście, stracił dziecko, a to zmienia ludzi. Ale ogólnie trudno było się do niego zbliżyć, takie odnosiłem wrażenie.

– A jego żona, Rosemary?

– Prawie jej nie widywałem. Chyba nie była całkiem zdrowa. Spotykaliśmy za to syna. Miły chłopak, pomagał nam kopać.

- Roderick?
- Tak. Teraz to on prowadzi firmę?
- Jego syn Edward.
- Ach, rodzice i dzieci. – Reginald Wilson patrzy na syna, który pracuje przy marmurze, oświetlony blaskiem płomieni z kominka. – W końcu o to w tym wszystkim chodzi, prawda? Żeby przekazać firmę potomkowi. To jedyny powód, dla którego wszyscy to robimy.

Idąc do wyjścia, przeciskając się między kamienną menażerią, Clough przypomina sobie tytuł książki z dzieciństwa. *Lew, czarownica i stara szafa*. Musi powiedzieć o tym Judy. Ona zawsze zarzuca mu, że nic nie czyta.

27 czerwca

*Święto Jowisza Statora*

*Dziś rano na trawniku przed domem zjawił się czarny pies. Widocznie posłaniec od bogini. Zatrzymał się, obrócił i spojrzał na mnie (czytałem Swetoniusza w salonie). Odpowiedziałem mu wzrokiem: „Czy zbliża się czas, o pani?”. On przytaknął: „Zbliża się”.*

## ROZDZIAŁ 26

– Jak tu miło – mówi uprzejmie ksiądz Hennessey, chociaż kawiarnia wybrana przez Ruth do miłych zdecydowanie nie należy. Pragnąc uniknąć wizyty w Starbucks, wpisała w wyszukiwarce „kawiarnie Norwich” i znalazła Bobby's Bagels, staroświecki bar ze stolikami krytymi laminatem i brudnymi firankami. Właściciel (sam Bobby?) ma na fartuchu ślady po posiłkach z co najmniej trzech dni i albo rozmawia przez telefon, korzystając ze specjalnej słuchawki, albo ma schizofrenię.

Ten lokal jest przynajmniej niedaleko Woolmarket Street, dlatego Ruth udało się po drodze zajrzeć na plac budowy. Oprócz łuku wszystko już zniknęło: pokoje, kuchnie, sypialnie, studnia, zabudowania gospodarcze utonęły w gładkim morzu błota. Z tyłu parceli wytrwale pną się w górę nowe apartamentowce; na razie sięgają pierwszego piętra i na tym poziomie są już rachityczne balkony. Edward Spens wyraźnie robi, co może, by zdążyć przed krachem na rynku nieruchomości.

Ruth zamawia herbatę, bo nie ma zaufania do podawanej tu kawy, a ksiądz kawę i nierozważnie obwarzanka. Zjada go z apetytem, choć na talerzyku są wyraźne ślady jajka. Hennessey wydaje się spokojny i rozluźniony. To Ruth nerwowo bawi się

cukiernicą i dwa razy rozlewa swoją (obrzydliwą) herbatę.

– Na pewno się ksiądz ucieszył, widząc znowu Martina.

– Istotnie. – Uśmiecha się. – To był wspaniały dar od Boga. Bałem się, że umrę, nie wiedząc, co się z nimi stało.

Prawdopodobnie to coś więcej niż maniera wysławiania się. Ksiądz Hennessey, o czym Ruth wie od Maksa, ma ponad osiemdziesiąt lat; śmierć nie jest dla niego tylko czczą metaforą. Jak to jest, myśli Ruth, być pewnym, że po śmierci czeka nas życie wieczne?

– Max... Martin... mówił, że był ksiądz dla niego bardzo dobry.

Mężczyzna w zadumie wpatruje się w swoją kawę.

– Staralem się, ale nigdy nie wiemy, co można było zrobić lepiej. Gdybym go lepiej rozumiał, może by nie uciekł, a Elizabeth by nie umarła.

– A może nie – mówi Ruth łagodnie. – Max twierdzi, że jako dziecko często chorowała.

Hennessey uśmiecha się, lecz nie odpowiada. Zapada cisza, którą zakłóca jedynie prowadzona na zapleczu kłótnia Bobby'ego z kimś o imieniu Maggie. Wreszcie Ruth się odzywa:

– Pewnie się ksiądz zastanawia, dlaczego poprosiłam o to spotkanie.

– Rozumiem, że zaraz się dowiem.

Ruth opowiada mu o dziecku i dwugłowym cielęciu, o napisie wykonanym krwią i obecności kogoś przed jej domem. Prawdopodobnie mówi więcej, niżby chciała, i kładzie to na karb jakiejś niewytłumaczalnej duchowej władzy tego człowieka. Jasnoniebieskie oczy Hennesseya nie odrywają się od jej twarzy.

– No więc – podsumowuje – ktoś związany z tym domem próbuje mnie nastraszyć. I pomyślałam, że może ksiądz się domyśla, kto to może być.

Zmusza się do spojrzenia w te niebieskie oczy. Hennessey patrzy na nią spokojnie.

- A czy pani ma jakieś podejrzenia?
- Nie – mówi Ruth, chociaż w zasadzie coś podejrzewa.
- Czy zna pani kogoś z tego domu dziecka?
- Tylko Kevina Daviesa.
- Żadnej z zakonnice?
- Nie.

Czy naprawdę, jak powiedziałby Ted, chce wszystko zwalić na zakonnice? Tyle że jedyną znaną jej osobą z Domu Dziecka Najświętszego Serca Jezusowego jest ksiądz Hennessey.

- A dlaczego ksiądz pyta?

Po raz pierwszy Hennessey unika jej wzroku. Patrzy w dół na mętny brunatny napój w swojej filiżance.

– Są jeszcze inne sekrety – mówi w końcu. – Zło w tym domu pojawiło się na długo przed tym, jak je ujrzałem.

Nelson siedzi właśnie za biurkiem Judy, gdy ona dzwoni. Szukał zapisu jej rozmowy z siostrą Immaculatą, dlatego jest zaskoczony, a nawet nieco przerażony, słysząc, że Judy jest w drodze do Southport, by ponownie porozmawiać z zakonnice.

- W co ty grasz, Johnson?
- Chyba odkryłam coś o tej siostrze. I myślę, że to ważne.

Nelson zaczyna liczyć do dziesięciu, ale po pięciu się podaje.

- Kiedy wrócisz?

– Dziś wieczorem.

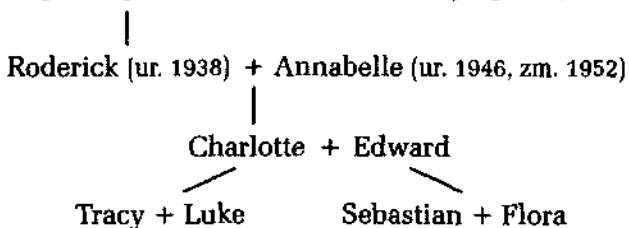
Inspektor wzdycha. Judy jest dobrą policjantką. Ma intuicję i kto wie, może wreszcie nastąpi przełom w sprawie.

– Nie. Przenocuj tam, jeśli będzie trzeba. Poślę dzisiaj Tanię, żeby towarzyszyła Ruth.

Rutynowa obserwacja dobrze Tanię robi, myśli. Ostatnio jest za bardzo pewna siebie. Nelson ma nadzieję, że ona nie liczy na stanowisko Judy. Tania jest inteligentna, ale jeszcze musi się wiele nauczyć. Zresztą nigdy nie awansowałby nowego pracownika kosztem kogoś o dłuższym stażu. Nelson wyznaje zasadę zachowania kolejności. Po części dlatego, że był najmłodszy z trojga rodzeństwa.

Przegląda papiery Judy (starannie uporządkowane) i natyka się na kartkę, na której naszkicowała drzewo genealogiczne Spensów.

**Christopher Spens (zm. 1981) = Rosemary Spens (zm. 1957)**



Wpatruje się we wszystkie imiona, pewien, że coś mu umyka. Tak się zamyśla, że nie słyszy, gdy ktoś wymawia jego nazwisko. Dopiero kiedy Cathbad jest już właściwie tuż obok, Nelson go dostrzega – fioletową pelerynę i całą resztę. Tom, policjant dyżurny, z zażenowaniem trzyma się z tyłu.

Od sprawy Słonych Błot Nelson i Cathbad są niemal przyjaciółmi. Dobrze się rozumieją, mimo że inspektor z przy-mrużeniem oka traktuje filozofię New Age, a Cathbad nie żywi szacunku wobec władzy. Cathbad odwiedził nawet Nelsona w domu – przyniósł łapacze snów dla dziewczynek – a Nelson raz czy dwa razy zgodził się pójść z nim na drinka do dziwaczkich pubów, gdzie wszystkie piwa mają swoje nazwy i wystarczy, że człowiek straci czujność, a już mu grają przy stoliku muzykę folk.

– Przepraszam, szefie – mówi Tom. – Ten pan twierdzi, że to ważne.

Nelson widzi, że pomijając pelerynę, Cathbad jest poważny, a nawet zaniepokojony.

– O co chodzi?

– O Maksa Greya – odpowiada Cathbad.

Judy przyjeżdża do Southport krótko po czwartej i słyszy, że siostra Immaculata „nie czuje się dobrze” i nie może przyjmować wizyt.

– To bardzo ważne... – prosi Judy, stojąc w nieskazitelnie czystej sali recepcyjnej w otoczeniu tropikalnych roślin i świętych obrazów.

– Na pewno, ale siostra Immaculata ma dzisiaj zły dzień. Może jutro będzie w lepszym stanie.

Tak więc, zapewniwszy recepcjonistkę, że wróci jutro, Judy udaje się na nabrzeże, zmęczona, głodna, zniechęcona i lekko przerażona. Może Nelson się wścieka, że tak nagle zniknęła? A jeżeli Ruth dziś w nocy zostanie zamordowana i to wszystko



będzie jej wina, a Tania znajdzie dokumentację stomatologiczną, rozwiąże sprawę i dostanie awans? Wzdycha i rusza w kierunku najbliższego domu oferującego noclegi ze śniadaniem.

Ruth nie była zachwycona, gdy po otwarciu drzwi, spodziewając się zobaczyć Judy, zastała na progu Tanię Fuller w markowych okularach przeciwsłonecznych. Lubi Judy i chętnie znowu spędziłaby z nią wieczór. Poranna rozmowa z księdzem Hennesseyem tylko zwiększyła jej niepokój. Co miał na myśli, mówiąc: „Zło w tym domu pojawiło się na długo przed tym, jak je ujrzałem?”.

Odpowiedziała mu wtedy żartobliwie:

„– Chyba nie chce ksiądz powiedzieć, że to miejsce jest nawiedzone?

- Może chcę – stwierdził.
- Przecież księża nie wierzą w duchy.
- Oczywiście, że wierzymy – uśmiechnął się Hennessey.
- A Duch Święty? Najważniejszy z Trójcy Świętej, jeśli o mnie chodzi”.

Dla Ruth wszystko to bzdury, ale jadąc z powrotem zamgloną drogą pośród mokradeł, nie umiała powstrzymać dziwnego odruchu sprawdzania w lusterku, czy nikt nie siedzi na tylnym siedzeniu. Nawet teraz, gdy gotuje kolację dla siebie i Tani, włącza radio, byle tylko przestać się zastanawiać, czy słyszy na zewnątrz czyjś oddech.

Ruth rzadko gotuje (choć uwielbia czytać książki kucharskie, zwłaszcza z ilustracjami tokańskich gajów oliwnych), a i teraz niezbyt chętnie się tym zajmuje. Nie przeszkadzało jej to w przypadku Judy, ale przygotowywanie posiłku dla kogoś całkiem obcego, kto siedzi na sofie i obiera czarne spodnie z kociej sierści... Trochę ją to irytuje. Mimo wszystko przyrządza spaghetti z sosem i sałatkę. Podczas posiłku rozmawiają zdawkowo. Ruth dowiaduje się, że Tania ma dwadzieścia pięć lat i jest już w policji od czterech; studiowała wychowanie fizyczne i uważa dbanie o dobrą kondycję za moralny obowiązek. Ruth słucha tego w milczeniu i sięga po kolejny kawałek pieczywa czosnkowego. Według Tani w Norfolku jest „bardzo miło”, koledzy „są bardzo mili” i Nelson jest „bardzo miły”.

- Nie sądzisz, że jest trochę zbyt apodyktyczny?
- Skądże. Dla mnie zawsze był miły!

Dla mnie też, myśli Ruth, i popatrz, dokąd mnie to zaprowadziło. Spogląda przez okno; przypomina sobie tamtą noc cztery miesiące temu, kiedy Nelson stanął niespodziewanie w jej drzwiach. Nad mokradłami wisi słońce i krążą ptaki niczym czarne chmury przesuwające się na tle błękitnego nieba.

- Piękny widok – zauważa uprzejmie Tania.
- Prawda? – Ruth myśli o Słonych Błotach i ich sekretach: ukrytej drodze na grobli, żywopłocie, ciałach pogrzebanych w miejscu, gdzie ląd styka się z morzem. W ubiegłym roku omal nie straciła tam życia. Wydawało jej się, że zagrożenie już minęło i że wreszcie zacznie spokojnie żyć. Tymczasem wygląda na to, że znowu grozi jej niebezpieczeństwo.

Tania zjada odrobinę spaghetti, powoli przetykając każdy kęs. W tym czasie Ruth pochłania dokładkę. Piją wodę („Jestem na służbie”), a na propozycję puddingu Tania reaguje, jakby ją częstowano narkotykami. Ruth ryczy się kawałkiem ciasta czekoladowego i zastanawia, o czym będą rozmawiać cały wieczór. Może po prostu włączy telewizor.

Już ma to zasugerować, gdy nagle, bez żadnego ostrzeżenia, gasną wszystkie światła. Tania podskakuje, zaniepokojona.

– To nic – mówi Ruth. – To tylko korki. Czasem się zdarza.

Skrzynka z bezpiecznikami znajduje się w małej szopie w ogrodzie. Sąsiedzi Ruth – ci, którzy przyjeżdżają na weekendy – zamienili tę przybudówkę w drugą łazienkę, ale ona trzyma tam porządnie narzędzia, rower treningowy, resztki obrotowej suszarki ogrodowej.

– Ja tam pójde – oświadcza Tania.

– Nie wygłupiaj się. To zaraz przy tylnych drzwiach. I tak nie znalazłabyś tej skrzynki. W szopie nie ma światła.

Ruth wkłada buty i wychodzi. Na zewnątrz jest ciemno, wieje rześki, stony wiatr. Wchodzi do ogrodu i ręką stara się wymacać ścianę szopy. Wyczuwa kamienny mur, spleśniałe drewno drzwi.

Już ma złapać za klamkę... i dotyka żywego ciała.

## ROZDZIAŁ 27

Krzyczy. Czuje zapach cytryny, drzewa sandałowego i nagle wszystko zasnuwa ciemność. Z trudem łapie oddech, nic nie czuje. Pada na ziemię, kalecząc sobie kolano o kamień.

– Ruth! – głos Tani, stłumiony, lecz dobiegający z bliska.

Coś zsuwa się z jej głowy i Ruth znowu widzi. Po tej chwili spędzonej w całkowitym mroku nocne niebo wydaje jej się bardzo jasne. Klęczy na ziemi przy szopie, Tania stoi obok niej, trzymając w ręku jakąś płachtę.

– Co się stało? – Tania wydaje się bardzo przejęta. Trudno powiedzieć, czy to troska o Ruth, czy obawa o to, co powiedziałby Nelson, gdyby coś jej się stało.

– Wyszłam. Macałam ścianę przed sobą i poczułam... Ktoś tam stał... Dotknęłam go. Chyba twarzy. Słyszałam, jak oddycha. Potem już było czarno...

– Miała pani to na głowie. – Tania pokazuje grube czarne płótno. – Jest obciążone przy krawędziach.

– Dlatego nie mogłam tego ściągnąć. – Ruth próbuje się podnieść. Teraz, gdy strach już minął, czuje się głupio. To naprawdę żałosne – być owiniętym w szmatę jak papużka w klatce.

Tania otwiera drzwi szopy.

– Jest tu kto?! – woła. Jej głos brzmi zadziwiająco spokojnie. Nikt nie odpowiada, ale obie prawie dostają zawału serca, gdy Krzemyk zeskakuje z dachu i ciężko opada na trawę.

– Zaprowadzę panią do domu – mówi Tania – a potem wezmę latarkę i przyjrzę się temu pomieszczeniu.

Ruth nie chce jednak zostać sama, dlatego wraca z Tanią do ogrodu. Policjantka oświetla latarką wnętrze szopy. Snop światła ujawnia porzuczone narzędzia i plastikowe przedmioty, skrzynkę z bezpiecznikami na ścianie, pajęczyny – i nic więcej. Tania wskazuje na skrzynkę: wszystkie korki są wykręcone.

– Ktoś to zrobił specjalnie – mówi. – O, w przeszłości nawet nie ma pajęczyn.

Oświetla latarką ziemię. Między szpadlem a plastikowymi drążkami suszarki widać wyraźny odcisk stopy.

– Bingo – mówi Tania.

Uważając, by nie zadeptać znaleziska, włącza prąd i natychmiast z domu na ogród pada strumień światła. Jeszcze przez kilka minut spogląda na ślad i wreszcie mówi:

– Dobrze. Wracamy. Muszę zadzwonić do szefa.

Kiedy Tania dzwoni do Nelsona, Ruth wsypuje karmę do miski Krzemyka, który już od kilku minut głośno się o to upomina. Słyszy jedynie strzępy rozmowy. „Nie... przed chwilą... żadnych śladów... sprawca zbiegł... dokładne przeszukanie... odcisk... wstrząśnięta... nie... tak jest, szefie”.

– Już tu jedzie – oznajmia Tania. Ruth widzi, że dziewczyna jest zdenerwowana. Przemyka jej przez myśl, że praca dla Nelsona musi być bardzo stresująca. Ona w każdym razie nie wyobraża sobie, że mogłaby zwracać się do kogoś: „Tak jest, szefie”.

Nelson przybywa po dziesięciu minutach wraz z kolegą z medycyny sądowej. Tania i Ruth już wtedy bezmyślnie oglądają w telewizji program „Twoje 50 ikon reklamy z lat siedemdziesiątych!”. Ruth czuje ból w kolanie i marzy o tym, żeby się położyć. Tania siedzi na krawędzi sofy i bawi się komórką.

– Miło widzieć, że ktoś jeszcze ma czas na rozrywkę – mówi Nelson na powitanie.

– Tak, spokojnie spędzamy sobie wieczór – odpowiada Ruth. Nie ma ochoty wysłuchiwać ironicznych uwag Nelsona.

Tania natomiast oblewa się rumieńcem.

– Myślałam, że Ruth się odpręży – tłumaczy. – Jest trochę roztrzęsiona.

– Wcale nie jestem roztrzęsiona – protestuje Ruth.

Nelson wychodzi do ogrodu, a za nim Tania i towarzyszący im policjant. Ruth zostaje sama. Wie, że powinna się zająć robieniem herbaty, by okazać wdzięczność za policyjną ochronę, ale czuje tylko złość i zmęczenie i wbrew temu, co powiedziała Tani, ogromny strach. Czymś innym jest bać się nieokreślonej istoty w ciemnościach, a czym innym dotknąć konkretnej twarzy i poczuć czyjś oddech. Niebezpieczeństwo zbliżyło się do niej na wyciągnięcie ręki, podeszło pod same drzwi. Tak, rzeczywiście jest roztrzęsiona.

Siedzi na sofie z Krzemykiem na kolanach i wpatruje się w reklamę z robotami z Marsa. Wyłączyła dźwięk, lecz w głowie słyszy ich cienkie głosiki, przypominające jej spokojne wieczory, kiedy oglądała z rodzicami telewizję: popularnonaukowy program „Tomorrow's World”, seriale *Man about the House*, *Upstairs Downstairs*. Nic dziwnego, że nadają te wszystkie stare programy – to coś akurat dla takich smutasów

jak ona. W tamtym okresie nie zdawała sobie sprawy, że jest świadkiem złotego wieku telewizji. Po prostu oglądali to, co akurat nadawano. Przez większą część jej dzieciństwa mieli tylko trzy kanały i nie było pilotów. Nie mówiło się wtedy „skakać po kanałach”, ale „zmienić program”. „Zmienimy program, tatusiu?”, pytała matka, kiedy zaczynało się „Top of the Pops” z tymi grzesznymi transwestytami podrygującymi w takt piekielnej muzyki. Zmiana programu oznaczała dwie możliwości: BBC1 lub BBC2. Rodzice Ruth uważali, że komercyjna ITV jest pospolita – może dlatego oglądali *Ja, Klaudiusz*. Było w tym obrzydliwym serialu dużo seksu i przemocy, ale nadawali go na BBC2, więc rodzice uważali, że jest bezpieczny.

Na stole leży tkanina, którą zaledwie godzinę wcześniej narzucono jej na głowę. Ruth nachyla się nad nią, ale jej nie dotyka. Jest czarna jak węgiel, obciążona wzdłuż krawędzi, jakby ją wykonano specjalnie po to, by coś zakrywała.

– Wygląda jak pokrowiec na jakiś posąg – słyszy głos za plecami. To Nelson, który wchodząc do pokoju, wpuścił rześkie powietrze i niemal namacalne poczucie spokoju, opanowania sytuacji. Gdy jest w pobliżu, Ruth czuje się bezpieczniej.

– Jak to na posąg? – pyta.

– No wiesz – mówi inspektor niepewnie – jak te, którymi się osłania figury w kościele w Wielki Piątek.

Ruth myśli o księdzu. „A Duch Święty? Najważniejszy z Trójcy Świętej, jeśli o mnie chodzi”.

– Z radością stwierdzam, że nigdy nie byłam w kościele w Wielki Piątek – oświadcza. W każdym razie nie w takim z

figurami. Jej rodzice uważają, że rzeźby są grzeszne, dowodzą piekielnego katolickiego bałwochwalstwa. Ruth nie jest fanką katolicyzmu, ale pamięta świątynie we Włoszech i w Hiszpanii, wypełnione wonią kadzidła i tajemnicą, rzeźbami i obrazami oświetlonymi setkami płonących świec. Może to jest bałwochwalstwo, ale na pewno dużo ciekawsze niż pozbawiony wszelkich ozdób klocek z cegły, przypominający zwykły budynek użyteczności publicznej, gdzie jej rodzice padają w objęcia innym nowo narodzonym.

– Albo postument – zauważa Tania, stając obok nich z notesem w ręku.

– Postument? – w głosie Nelsona słychać ciekawość.

– To przypomina narzuty, których używa się do okrywania postumentów w muzeach – tłumaczy Tania.



*30 czerwca*

*Dzień Aestas*

*Dwa czarne kruki w ogrodzie. Wdacie mój szczęśliwy numer. Parzysta liczba pestek w moim grejpprucie na śniadanie. Kiedy składałem ofiarę (czarny ptak), głowa odpadła lekko, łatwo i krew swobodnie wsiąkła w grunt, układając się w kształt litery S. S jak sacrum. Bardzo dobry znak.*

## ROZDZIAŁ 28

Rano o dziewiątej po sutym angielskim śniadaniu Judy Johnson zgłasza się w klasztorze. Słyszy, że siostra Immaculata czuje się trochę lepiej i można się z nią zobaczyć, „Tylko ją nieco doprowadzimy do porządku”. Judy woli nie myśleć, co to dokładnie znaczy. Siada w części recepcyjnej obok gipsowej figury Matki Boskiej, która wbija uduchowione spojrzenie w niebo.

– Dzień dobry, panno Johnson – w głosie dobiegającym spod wykrochmalonego welonu słyszeć profesjonalną uprzejmość.

– Starsza posterunkowa Johnson – poprawia ją.

– Przepraszam.

Tytuły mają znaczenie, myśli Judy. Siostra straciłaby całe dostojeństwo, gdyby zwracano się do niej panno Jakaśtam; stałaby się tylko jedną z wielu kobiet w średnim wieku w dziwacznym stroju. Tymczasem jako siostra Maria ze Zgromadzenia Sióstr Najświętszego Serca Jezusowego ma autorytet, chociaż swoistego rodzaju.

– Siostro?

– Słucham.  
– Czy może... mogę się dowiedzieć... co dolega siostrze Immaculacie?

– Dolega? – Zakonnica unosi brwi. – Ma raka. Nieoperacyjny. Zostało jej kilka miesięcy, może tygodni życia.

Tym razem Judy rozmawia z siostrą Immaculatą w oranżerii z widokiem na omiatany wiatrem skalny ogródek. Zakonnica jest zdecydowanie słabsza niż poprzednio – oddycha z głośnym rżeniem, dłonie jej się trzęsą. Tylko oczy pozostają czujne – patrzą na Judy z podejrzliwością, a nawet jakby ze strachem.

– Starsza posterunkowa Judy Johnson. Czy siostra mnie pamięta?

– Oczywiście. Nie jestem głupia. – Judy przyjmuje agresję słyszalną w głosie staruszki z pewną ulgą. To jej ułatwi zadanie.

– Siostrzko Immaculata. Prawdziwe imię siostry to Orla McKinley. Czy tak?

Milczenie.

– To zależy, co się rozumie przez „prawdziwe”.

– Imię otrzymane na chrzcie.

– Tak. I co z tego?

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku mieszkała siostra z rodziną Spensów na Woolmarket Street.

Kolejny, dłuższy moment ciszy. Siostra Immaculata owija różaniec ciasno wokół dłoni. W skalnym ogródku dwie mewy walczą o okruchy chleba.

– Pracowałam tam jako niania – mówi w końcu.

– Do opieki nad Annabelle Spens?

– Tak.

– Annabelle zmarła w pięćdziesiątym drugim, tak?  
Siostra Immaculata patrzy na nią spokojnie. Koralki różańca nieruchomieją.

- Czy mieszkała tam siostra po śmierci Annabelle?
- Tak. Byli dla mnie dobrzy. Pozwolili mi zostać.
- Opiekowała się siostra Roderickiem?
- Roderick miał czternaście lat. Nie był już dzieckiem.
- Siostró Immaculato... – Judy pochyla się nad zakonnica.

Wie, że wszystko zależy od tego, czy nakłoni tę starą, umierającą kobietę do rozmowy. W słowa, które wypowiada, wkłada całą umiejętność perswazji, na wszelki wypadek dodając w myślach jeszcze modlitwę: Boże, niech powie mi prawdę... – Siostró Immaculata, znaleźliśmy ciało małej dziewczynki pogrzebane pod wejściem. Niech siostra powie, czy to możliwe, że to ciało Annabelle? Proszę. To bardzo ważne.

W pierwszej chwili myśli, że się nie udało. Staruszka milczy, a różaniec między jej palcami zaczyna się przesuwać. I oto nagle z ust siostry wydobywa się dźwięk brzmiący jak połączenie jęku ze szlochem, po którym następuje potok słów.

– To było złe. Szatańskie. Wiedziałam o tym, ale kochałam go. Dziwne... jakie to marne usprawiedliwienie... ale wtedy go kochałam. Zdawałam sobie sprawę, że to grzech. Straszny. Próbowałam odpokutować, ale odpowiedzialność za podły czyn zawsze w końcu nas dopadnie.

– Siostró... – Judy ściska jej dłoń. – Co to za grzech?  
Siostra Immaculata patrzy na nią oczyma pełnymi łez.

- Zabił ją – wyznaje – a ja to ukrywałam.

To nie jest dla Nelsona dobry dzień. Komputer znowu się zbuntował, Clough poszedł na drugie śniadanie czy wczesny

obiad i przepadł, a Tania w ogóle się nie pojawiła. Szkoda, że nie ma Judy. Ona ma jedną cechę nieocenioną w pracy policjanta – jest zawsze tam, gdzie powinna. Z wyjątkiem tej chwili: teraz włóczy się gdzieś po Southport. Jako dziecko Nelson jeździł tam na wakacje. Długie spacery nad morzem, prywatne kwatery, gdzie dostawało się jeden tost na śniadanie i nie wolno było dotykać żadnego z tysięcy bibelotów zagranych półki. Nigdy więcej.

Jest zmęczony. Wyjechał od Ruth dopiero po północy. Wydawało się, że wszystko z nią w porządku. Oczywiście była roztrzęsiona, ale trzymała się, a nawet próbowała się buntować. To między innymi podoba mu się w Ruth. Jest twarda. Inni wpadliby w histerię, gdyby ktoś przyszedł do ich domu z zamiarem porwania, napadnięcia, albo nawet czegoś gorszego. Ona zachowała jednak typową dla siebie hardość. Odpowiedziała dość cierpko, kiedy Tania (nietaktownie) zasugerowała, że jest zdenerwowana. Tania nigdy nie zrozumie kogoś takiego jak Ruth Galloway. Nelson też nie jest pewien, czy ją rozumie, ale na pewno podziwia. Podziwia?, dopytuje perfidnie głos w jego głowie. Tylko tyle? Niszczy w zarodku wszelkie myśli o swoich uczuciach wobec niej. Musiał już znieść widok Michelle przeglądającej ubranka po Rebecce, które zamierza dać Ruth. Nie chce więcej problemów, o nie.

– Szefie?

Tania zagląda do jego gabinetu.

– O co chodzi? – pyta Nelson surowo.

– Znalazłam kartę dentystyczną Annabelle Spens.

Aaa, to co innego. Zmęczenie znika i twarz Nelsona przybiera życzliwy wyraz.

– Dobrze się spisałaś. Pokaż.

Pochwała dodaje Tani energii.

– Mówił pan, że robiono jej jakieś szczególne zabiegi. Pomyślałam więc, że może w stolicy... Zadzwoiłam do Londyńskiej Szkoły Stomatologii. Istnieje od tysiąc dziewięćset jedenastego roku, kiedyś była częścią Szpitala Miejskiego, ale teraz funkcjonuje w ramach Szpitala Świętego Bartłomieja. W każdym razie mieli jej dokumentację. Przesłali mi faksem kilka minut temu.

Dziewczyna czeka na wyrazy uznania, ale Nelson tylko wyciąga rękę. Przegląda kartki i po chwili podnosi głowę.

– To nie ona.

– Co?

– Czytałaś te karty?

– Nie... od razu je tu przyniosłam.

– No... nasza szczeka miała plombę. To niezwykle u tak małego dziecka. Według tych dokumentów Annabelle Spens nie miała żadnego wypełnienia w zębach.

Ruth jedzie zobaczyć się z Cathbadem. Zadzwoił do niej wczoraj i zaproponował spotkanie na rzymskim stanowisku archeologicznym i obiad w Phoenix. Wydaje jej się, że Cathbad będzie idealną odtrutką na ponury nastrój ostatnich kilku dni. Choć dużo mówi o swojej otwartości na „ciemną stronę”, to sam ma w sobie coś niezwykle jasnego i krzepiącego. Do tego Max poinformował ją, że odkopali głaz, który może być Janusowym kamieniem – przedstawieniem dawnego boga o dwóch obliczach. Ruth nie może się doczekać, kiedy Cathbad pozna Janusa.

Jedzie szybko, słuchając jednej z pogodniejszych kaset Bruce'a Springsteena. Nie ma na niej utworów w typie *Badlands* o podróżowaniu donikąd i miasteczkach, w których nie ma pracy „z powodów ekonomicznych”. Te nagrania pochodzą z okresu, gdy powstawała *Dancing in the Dark* – są tu wyraźne riffy gitarowe i przeszywające dreszczem solówki na saksofonie. Ruth czuje się zmęczona (położyła się dopiero o pierwszej i źle spała), ale myśl o prawdziwym rzymskim znalezisku podnosi ją na duchu i pomaga zapomnieć, że ktoś usiłuje ją zabić.

No, może niezupełnie zapomnieć. Rozgląda się, wysiadając z samochodu, i wzdryga nerwowo, gdy z ziemi z głośnym trelem podrywa się skowronek. Nie wypuszcza komórki z dłoni. Numer do Nelsona ma zakodowany na szybkim wybieraniu – jeśli dostrzeże, że coś czai się w krzakach, może natychmiast się z nim połączyć. W świetle dnia trudno jednak uwierzyć w mordowanie dzieci, składanie ofiar bogom i kult bogiń czarownic.

Gdy Ruth wspina się po trawiastym nasypie, zaczyna padać. Deszczyk jest ciepły i drobny, tak że bardziej orzeźwia, niż przeszkadza. Na stanowisku archeologicznym nikogo nie widać, wszystko jest starannie zakryte brezentem. Ani śladu Cathbada. Max powiedział, że Janusowy kamień znajduje się w odległym wykopie. Kiedy Ruth idzie po nierównym terenie, deszcz się wzmacza, a ona zaczyna żałować, że nie zabrała płaszczka. Podnosi wilgotny brezent i natychmiast go dostrzega: okrągły głaz, prawdopodobnie granit, mniej więcej wielkości dwóch ludzkich głów. Wygląda złowieszczo, jakby nie na miejscu na tej dokładnie zgrabionej ziemi. Był częścią posągu

czy pełnił inną funkcję? Nawet z miejsca, w którym stoi, Ruth widzi, że kamień ma dwie wyrzeźbione twarze, spoglądające w przeciwne strony i żadna z nich nie jest szczególnie przyjazna.

– Janus... – rozlega się głos za jej plecami. – Janus. Strażnik drzwi.



## ROZDZIAŁ 29

Judy nie ma odwagi oddychać. Wie, że najważniejsze jest teraz to, żeby siostra Immaculata nie przestała mówić, dlatego modli się, aby nikt nie wszedł do oranżerii, nie zaproponował im herbaty czy kawy i aby zakonnica nie zasłała.

– Kto ją zabił? – pyta spokojnie.

Siostra Immaculata obraca głowę w jej stronę i Judy zauważa, że staruszka zniknęła – teraz te oczy, pełne bólu i łez, są oczami Orli McKinley.

– Miałam tylko dwadzieścia trzy lata – mówi – a gdy urodziło się dziecko, dwadzieścia. Nazywał mnie swoją Joka-stą. Byłam taka młoda, zbyt młoda. Głupia dziewczyna z hrabstwa Clare... On był taki mądry. Wiedział wszystko o historii, starożytnym Rzymie, bogach. O tych strasznych rzeczach, które trzeba było robić, żeby ich prześlagać.

– Dziecko? – pyta Judy, czując lodowaty powiew wokół serca.

– Moja córeczka – wyznaje siostra i jej twarz rozjaśnia się do wspomnień. – Moja Bernadette.

– Urodziła siostra?...

– Dziewczynkę. Miałam ją przez trzy lata. Potem ją zabił.

Mówił, że żądają tego bogowie.

Teraz chłód rozlał się po całym ciele Judy.

– Christopher Spens zabił dziecko siostry? – szepcze.

Immaculata jakby tego nie słyszała.

– Mówił, że bogowie wymagają ofiar i trzeba tym murom przywrócić bezpieczeństwo. Annabelle zmarła, mówił, ponieważ ten dom nie był bezpieczny. Musieliśmy ofiarować bogom coś cennego. Dlatego ją zabił, tak mówił.

– Czy to znaczy, że złożył dziecko siostry w o f i e r z e ?

– To było też jego dziecko – dodaje smutno – ale to i tak nie miało znaczenia.

– Jego dziecko – jak echo powtarza Judy.

– Wiedziałaś – zakonnica łapie Judy za rękę. – Wiedziałaś, że to było złe. Grzech. A grzech zawsze obróci się przeciwko nam, prawda? Tak mawiały siostry, jeszcze w Irlandii. Zgrzeszyłam. Z nim. Zaszłam w ciążę i urodziłam w bólach bękarta. I zapłaciła za ten grzech, prawda? Moja Bernadette.

– Jak ją zabił? – Judy wie, że musi poznać całą historię. Będzie musiała tu wrócić i spisać oficjalne zeznanie, ale coś jej mówi, że taka okazja może się nie powtórzyć. Siostra Immaculata utrzymywała to w tajemnicy przez pięćdziesiąt lat i dopiero teraz przemówiła. Nie można jej pozwolić przestać.

– Robiłam pranie – kontynuuje zakonnica spokojnie. – Służące miały wychodne. Kiedy poszłam do niej zajrzeć, nie żyła. Zadżgana w łóżeczku. Krew była wszędzie... na ścianach, pościeli, podłodze... Kazał mi umazać ręce w jej krwi. Twierdził, że to część rytuału.

– Co siostra zrobiła? – pyta Judy przerażona.

– Kryłam go – odpowiada siostra Immaculata ostro. – Nie mówiłam już?

– Jak?

– Zniknęłam. On pogrzebał ciało w ogrodzie. Powiedział, że później ją wykopie i umieści pod drzwiami. W ofierze Janusowi. Głowa pójdzie do studni, oznajmił. Tego dnia odeszłam. Wróciłam do Irlandii. Wszyscy myśleli, że zabrałam Bernadette ze sobą. „Ta zwariowana Irlandka”, mawiali. Zrobiłam to, żeby go chronić.

– Ale dlaczego? – głos Judy brzmi niemal jak jęk.

Zakonnica spogląda na nią z dziwnym, niemal litościwym wyrazem twarzy.

– Wciąż go kochałam. To było najgorsze. Zabił moje dziecko, a ja wciąż go kochałam. Teraz myślę, że to był największy grzech.

– Czyli pojechała siostra do Irlandii?

– Wróciłam do Irlandii i zostałam zakonnica. Co innego można zrobić, gdy popełniło się grzech śmiertelny? Później, po latach, do klasztoru przybył ksiądz Hennessey. Szukał sióstr do pracy w domu dziecka. Kiedy powiedział, gdzie to jest, od razu wiedziałam. Bóg go zesłał. To była moja szansa, żeby znowu być blisko Bernadette. Wychodziłam do ogrodu i rozmawiałam z nią w nocy. To były najszcześniejsze lata mojego życia.

– Czy ksiądz Hennessey wiedział?

– O nie. Podejrzewał. Nie o Bernadette, ale czuł, że coś ukrywam. Próbował mnie namówić, bym mu to wyjawiała. „Prawda cię wyzwoli”, mawiał. Wyzwoli! Ja nigdy nie będę wolna.

Po tych słowach jej głowa opadła na piersi.

– Siostrzynie Immaculata? – Judy pochyla się nad skuloną postacią. Zakonnica oddycha nierówno, chrapliwie, lecz oczy ma zamknięte.

Natychmiast zjawia się siostra opiekunka.

– Proszę już iść – mówi do Judy.

Po wyjściu z klasztoru Judy gwałtownie wdycha słone morskie powietrze. Płuca rozsadza jej ból, który widocznie udzielił jej się od zakonnicy. Potrząsa z niedowierzaniem głową, pragnąc pozbyć się obrazu zabitego dziecka, zakrwawionej kołyski, przerażonej matki, oszalałego ojca, noża lśniącego w jego dłoni...

Zmusza się do logicznego myślenia, pragnie „wylączyć” ten film grozy, który w kółko przewija jej się przed oczami (czuje nawet zapachy domu – lawendowa pasta do podłogi, lilie, kwaśny odór krwi). Jest policjantką i ma zadanie do wykonania. Wchodzi na werandę jednego z gotyckich hoteli, by zadzwonić do Nelsona. Pada deszcz, po bezludnej promenadzie hula silny wiatr. Typowe angielskie lato.

Nelson odbiera po pierwszym sygnale. Judy przedstawia mu usłyszaną historię w najbardziej powściągliwy sposób, na jaki ją stać.

– Jezu... – Słyszy, jak Nelson szybko oddycha, i wie, że nim także to wstrząsnęło. Co nie znaczy, że to po sobie pokaże.

– Christopher Spens miał dziecko z nianią, a potem je zabił, by złożyć ofiarę bogom?

– Tak powiedziała.

– Wierzysz jej?

– Tak.

Chwila milczenia, w końcu Nelson mówi powoli:

– To by wyjaśniało, dlaczego ciało pod drzwiami miało to samo DNA, co Roderick Spens. Istotnie mieli wspólnego przodka... tego samego ojca, Christophera Spensa.

– Czy mam już wracać?

– Nie, zostań na miejscu. Jutro przyjadę i spiszę oficjalne zeznanie. Mówisz, że jest w kiepskim stanie?

– Ona umiera.

– No to musimy się pospieszyć – stwierdza Nelson bezdusznie. – Ty zostań jeszcze jeden dzień w Southport i się rozerwij.

To ostatnie, myśli Judy, idąc promenadą w deszczu, może się okazać trudne do wykonania.

Nelson odkłada słuchawkę. Historia, którą opowiedziała mu Judy, brzmi niewiarygodnie, ale on w nią wierzy. Kiedy pierwszy raz zobaczył to maleńkie ciało, ułożone starannie pośród kamieni i gruzu, od razu wiedział, że ma do czynienia ze straszliwym złem. Czy była to Annabelle Spens, czy Bernadette McKinley, dziewczynce wyrządzono potworną krzywdę i pamięć o tym wciąż wypełniała te mury, wisiała w powietrzu przy huśtawce i studni, tkwiła w tapetach i w czarno-białej terakocie. To nic, że wszystkie ślady już się zatarły, Nelson wie jedno: nawet za milion funtów nie zamieszkałby w żadnym z luksusowych apartamentów Edwarda Spensa.

Podskakuje na dźwięk telefonu. Rozdrażniony głos. Kobieta, wykształcona, prawdopodobnie Azjatka.

– Tu doktor Sita Patel.

– Kto? – Nelson jest całkiem skołowany.

- Dzwonił pan do mnie. W sprawie Rodericka Spensa.
- Ach tak – przypomniał sobie, że zrobił to na prośbę Whitcliffe'a. Obiecał, że skontaktuje się z lekarzem sir Rodericka i zapyta, czy wciąganie starszka w policyjne dochodzenie, co prawda mało absorbujące, „nie naruszy jego kruchej równowagi psychicznej” (słowa Whitcliffe'a).

Nelson wyjaśnia, o co mu chodzi. Po drugiej stronie zapada cisza.

– Nie rozumiem – oświadcza doktor Patel. – Sir Roderick Spens nie ma choroby Alzheimera.

– Nie?

– Jego umysł działa nadzwyczaj sprawnie. Lepiej od pańskiego czy mojego, inspektorze.

Po skończonej rozmowie Nelson pogrąża się w myślach.

– Ciekawy bóg, Janus.

– Tak mi się wydaje. – Ruth odrywa wzrok od mozaiki.

– Oczywiście to pomniejsze bóstwo. Jak Nemezis, Morfeusz i Hekate.

– Wszystkie te pomniejsze bóstwa wydają się złe – zauważa Ruth beztrąsko.

– Można by tak rzec.

Judy zastanawia się, jak spędzić popołudnie. Ma do wyboru: centrum rozrywki, galerię handlową, kawę w jednym z wielu hoteli lub powrót do wynajętego pokoju i wpatrywanie się w tapety (różowe z zielonym wzorkiem). W końcu postanawia obejrzeć jakiś film. Wszystkie multipleksy są takie same. Te same czerwone dywany, zapach popcornu, plakaty, przekąski – niczym identyczne wzory na czekoladowych drażetkach.

Nie pamięta już, kiedy ostatnio była w kinie. Ona i Darren mają tak odmienne gusty, że zwykle czeka na wersję DVD. Teraz jednak właśnie film jest tym, czego potrzebuje, żeby powstrzymać przepływ obrazów w swojej głowie i wyrzucić z umysłu słowa siostry Immaculaty: „Krew była wszędzie – na ścianach, pościeli, podłodze... Kazał mi umazać ręce w jej krwi”.

Foyer jest puste i Judy długo nie może się zdecydować, czy wybrać thriller, czy romantyczną komedię o pannach młodych. W końcu decyduje się na to pierwsze. Chodzi z Darrenem, odkąd mieli po siedemnaście lat, i ostatnio on zaczął coś wspominać o ślubie. Judy, ku własnemu zdumieniu, broni się przed tym rękami i nogami. To kroczenie środkiem w długiej białej sukni wydaje jej się tak nienaturalne, nieznośne i przede wszystkim zawstydzające, że szkoda gadać. Nie lubi być w centrum zainteresowania. To jedna z tych rzeczy, dzięki którym jest dobrym śledczym.

W kinie są tylko cztery osoby. Jakaś starsza para, samotny mężczyzna, który tak przypomina zboczeńca, że mógłby być tajniakiem, i Judy. Siada z tyłu i zajada draże czekoladowe. Ma poczucie winy. Wie, że siedzenie w tej sali nie jest odpowiednim sposobem na spędzanie wolnego popołudnia przez dorosłą pracującą osobę. Tyle że w kinie nie ma popołudnia. Można się znaleźć w dowolnym miejscu i w dowolnym czasie. I kiedy stąd wyjdzie, światło ostrym strumieniem zada jej cios, który przywróci ją do rzeczywistości. W świecie multipleksu zawsze panuje ciemność.

Thriller okazuje się nawet niezły, ale Judy już zapomniała, że Amerykanie tak strasznie bełkoć. Ma ochotę nachylić się

w stronę ekranu i niczym staruszka z przyłożoną do ucha trąbką wołać: „Co powiedziałaś, młodzieńcze?!”. Muzyka jest natomiast tak głośna, że wbija ją w fotel. Bardzo długo nie była w klubie ani żadnym hałaśliwym miejscu. Przyzwyczała się do delikatnego szumu iPoda. Naprawdę musi częściej wychodzić.

Teraz stopniowo wciąga się w akcję: FBI, spisek na życie prezydenta i, nie wiadomo dlaczego, kosmici. Judy zapada w stan bezmyślnego zadowolenia, gdy jeden z bohaterów mówi coś, co brzmi jak: „moja młodsza siostra Jokasta”.

Jokasta.

Z jakiego powodu to imię zapala alarmowe światelko w umyśle Judy? Nie zwracając uwagi na próby wysadzenia Empire State Building (gatunek apokaliptycznych filmów po 11 września 2001), analizuje w myślach ostatnie godziny. Ma świetną pamięć – to kolejna przyczyna, dla której Nelson powinien ją awansować. Jokasta... Jokasta. Tak. Już sobie przypomina.

„Miałam tylko dwadzieścia trzy lata. Nazywał mnie swoją Jokasta”.

Chwilę później Judy wychodzi z sali, nie zważając na to, że nigdy się już nie dowie, czy Todd, Brad i Shannon zdołają ocalić świat. Siada na brudnych, zasypanych popcornem schodach w foyer i szuka swojej komórki. Wpisuje w wyszukiwarkę „Jokasta” i oto ma odpowiedź: „Jokasta – słynna królowa Teb, żona króla Lajosa, matka, a później żona Edypa...”.

Matka, a później żona Edypa.

Edyp nieświadomie poślubił własną matkę, stąd kompleks Edypa. Dlaczego sir Christopher, dużo starszy, miałby nazywać Orle swoją Jokastą? Judy sięga pamięcią głębiej, do drzewa



genealogicznego Spensów, które nakreśliła w notesie: Roderick, ur. 1938. Jeżeli Orla/siostra Immaculata ma teraz siedemdziesiąt pięć lat, to znaczy, że urodziła się w trzydziestym trzecim. Gdy dziecko zmarło, miała dwadzieścia trzy lata. Roderick miał wtedy osiemnaście. „Nazywał mnie swoją Jolkastą”. Judy dzwoni do Nelsona.

Nelson nie odbiera telefonu – wpatruje się w trzy słowa SMS-a: „Zabiję twoją córkę”.

*30 czerwca*

*Dzień Aestas*

*Wziąłem nóż i wszedłem do środka. Było cicho. Matka robiła pranie, służące miały wychodne. Poszedłem do jej pokoju. Żaluzje były opuszczone i światło wewnątrz miało różowawy odcień, jak wtedy, gdy patrzy się w słońce przez przymknięte powieki.*

*Ma niebieskie oczy jak ja. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłem. Porusza ustami. Niewiele mówi (kolejny objaw jej niedorozwoju), ale wygląda, jakby właśnie teraz chciała coś powiedzieć. Postanawiam odezwać się pierwszy.*

*– Cześć – mówię.*

*– Eś – odpowiada.*

## ROZDZIAŁ 30

Nelson biegnie co sił w nogach. Dwa razy w swojej policyjnej karierze groziło mu prawdziwe niebezpieczeństwo, ale nawet wtedy umiał sobie poradzić. Świadomość zagrożenia życia sprawiła, że jego reakcje były chłodne i precyzyjne. Czuł nie tyle strach, ile złość i determinację, by nie uszło to złoczyńcom na sucho. Ale tamto... to było coś innego. Serce głośno łomocze mu w piersi, aż od tych uderzeń robi mu się niedobrze. Zatacza się w biegu, odzyskuje koordynację, łapie powietrze płatkami, bolesnymi wdechami. Jego dziecko. Ktoś chce skrzywdzić jedną z jego córek. Czuje się, jakby wycięto mu serce.

Dobiega do samochodu i patrzy na zegarek. Trzecia trzydzieści. Myśl! Skup się! Chwytnąjąc za kierownicę, zmusza się do wyrównania oddechu. W tym stanie nikomu na nic się nie przyda. Gdzie Laura i Rebecca powinny być o trzeciej trzydzieści? Wychodzą ze szkoły. Jeśli się pospieszy, dojedzie tam za pięć minut.

Jeśli się pospieszy... Pozostawia za sobą sznur zdumionych i przerażonych użytkowników drogi, gdy pędzi, częściowo złą stroną jezdni, na przedmieścia King's Lynn. Syrena wyje, on niemal w ogóle nie zwalnia – na czerwonym świetle, skrzyżowaniach, zebrach, nigdzie. Wreszcie zatrzymuje się z piskiem

hamulców. Wjeżdża przy tym na krawężnik, ocierając bokiem auta o mur.

Deszcz przestał padać i nastolatki wychodzą przez bramę, wszystkie w fioletowych bluzach i krótkich czarnych spódniczkach. Serce podskakuje mu za każdym razem, gdy widzi uczennicę z długimi brązowymi włosami, ale jest ich tak wiele – szczupłych dziewcząt z długimi falowanymi włosami – a żadna z nich nie jest jego córką. Serce bije mu inaczej niż kiedykolwiek i Nelson słyszy sam siebie, jak wydaje cichy jęk, niemal szloch. Proszę, modli się żarliwie do Boga, którego ignorował przez większość dorosłego życia, proszę, Boże, spraw, żeby nic im się nie stało.

I nagle w grupie fioletowych bluz dostrzega Paige, przyjaciółkę Rebecki. Idzie spokojnie i plotkuje bez troski z pulchną dziewczyną o włosach w kolorze jaskrawego różu.

– Paige! – krzyk Nelsona sprawia, że wszystkie głowy zwracają się w jego stronę. – Paige!

Podbiega do niej i chwyta ją za rękę. Zdaje sobie sprawę, że musi wyglądać na szalonego. Miły, szanowany ojciec Rebecki, policjant lubiany przez jej koleżanki za fatalne występy karaoke i gotowość do podwożenia ich do domów, nagle zmienił się we wściekłego szaleńca z rozbieganymi oczyma i trzęsącymi się dłońmi.

– Paige! Gdzie jest Rebecca?

Paige cofa się, zaskoczona. Otwiera zdziwiona usta i Nelson widzi jej dziąsła. Nagle ogrania go złość, że ten matole, który nie potrafi wydobyć z siebie słowa, jest bezpieczny, podczas gdy jego ukochanym córkom grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Gdzie jest Rebecca?! – powtarza, starając się panować nad głosem.

– Nie wiem. Chyba... ma teraz kółko... – Wciąż się od niego odsuwa, jej oczy robią się okrągłe. Nelson zaciska powieki, pragnie uciszyć dręczące go demony. Niespodziewanie z pomocą przychodzi mu różowowłosa.

– Kółko teatralne – informuje przytomnie. – Ćwiczą *Skrzypka na dachu*. Sala C9. Blok 3.

Zanim skończyła mówić, Nelson już biegnie. Ślizga się po mokrym boisku, zakłócając grę hokeistom („Uwaga!”) i wpada do bloku 3. Jezu, czemu szkoły mają tyle sal? Biega korytarzami, zatraskując za sobą coraz to inne drzwi. Krzyczy: „Rebecca!”, a jego głos odbija się od szkła, regipsów i fotoreportaży z wycieczki szkolnej 2007. Sala C9, powiedziała ta dziewczyna. Numeracja wydaje się pozbawiona wszelkiego ładu: A12, Bi, B7, D15. Nelson zatrzymuje się i zawraca. Serce wali mu jak młotem. Chwyta kogoś za ramię

– C9 – sapie.

Mężczyzna w średnim wieku wygląda na zdezorientowanego.

– Kim pan jest?

– Ojcem Rebecki Nelson. Gdzie mogę ją znaleźć?

Wtedy nagle spostrzega drzwi opatrzone cudowną tabliczką z napisem „C9” i rzuca się przed siebie.

W dużej sali znajduje się prowizoryczna scena, nauczyciel wyglądający na udręczonego, kilka dziewcząt żujących gumę i, dziw nad dziwy\*, jego córka. Nie zważając na nikogo, Nelson obejmuje oburzoną Rebeckę w mocnym uścisku.

\* Tytuł jednej z piosenek ze *Skrzypka na dachu*.

- Dzięki Bogu, dzięki Bogu!
- Tato, puść!
- Rebecca – odsuwa ją od siebie na długość ramion – gdzie jest Laura? Gdzie twoja siostra?!

Jeśli coś stanie się Laurze, zawsze będzie miał wyrzuty sumienia, że najpierw szukał Rebecki.

- Nie mam pojęcia. Tato, co ty wyrabiasz?
- Idziemy do domu.
- Nie chcę! Gram Cejtel.
- Chodź.

Lapie ją za rękę i krzycząc: „Przepraszam” do teraz już naprawdę przerażonego nauczyciela, wyprowadza ją z sali.

Na korytarzu wybiera na swoim telefonie numer Laury. Natychmiast włącza się poczta głosowa. Próbuje jeszcze raz, nie zwracając uwagi na cztery nie odebrane połączenia od Judy Johnson. Patrzy na zegarek. Czwarta. Michelle wróci do domu dopiero po szóstej. Co z Laurą? Jego ukochana starsza córka, tak zawsze grzeczna i dobrze ułożona („jak jedna z bohaterek *Małych kobietek*”, mawia Michelle). Gdzie ona może być?

- Czy twoja siostra ma w czwartki po lekcjach jakieś zajęcia?
- Nie wiem.
- Dzwon do niej bez przerwy. – Nelson wsuwa swój telefon Rebecce do ręki. – Jedziemy do domu.

Nie zważając na narzekania, groźby i obelgi Rebecki pod jego adresem (to dla niego żadna nowość), Nelson ciągnie ją korytarzem i przez puste boisko do miejsca, gdzie przy murze

- Tato! Twój samochód!
- Córka dopiero teraz wydaje się wstrząśnięta.
- Nie przestawaj dzwonić.

Laura na pewno poszła do domu. To do niej podobne – przyjąć jako pierwsza, nastawić czajnik i zrobić dla wszystkich kolację. Cała ona. Prawdziwy anioł. Oczy Nelsona wilgotnieją, gdy o tym myśli. Rebecca zawsze była tą zbuntowaną, a poza tym siedzi teraz obok niego, cała i zdrowa, dlatego nie musi się nad nią użalać. Ale Laura... Jest gdzieś tam, w okrutnym świecie, ścigana przez szaleńca. Może już ją znalazł, może...

Nelson mocniej naciska pedał gazu.

- Tato! Chcesz nas zabić?
- Dzwon do niej.

Skreca gwałtownie i zatrzymuje auto z piskiem opon przed domem. Samochodu żony nie ma, ale i tak na nią jest jeszcze za wcześnie. Czy go zabije za to, że nie zadzwonił do niej jako pierwszej? Nie, Michelle chciałaby, żeby zrobił to, co właśnie robi – uratował życie ich córek.

– Laura! – krzyczy Nelson, wpadając przez frontowe drzwi.

Odpowiada mu cisza, podczas której zdaje mu się, że słyszy pękanie swego serca. I wtedy rejestruje jakiś cichy dźwięk, coś jak drapanie szczura po podłodze, bezpośrednio nad głową.

- Laura? – wchodzi na schody.
- Tato! Nie! – Rebecca chwyta go za ramię. On patrzy na nią, nie rozumiejąc. Stara się strząsnąć jej dłoń i wtedy dostrzega dwie rzeczy: kwiecisty plecak Laury leżący przy drzwiach wejściowych i parę adidasów w męskim rozmiarze.

– Tato?

Oto i Laura na szczycie schodów. Nie martwa, lecz jak najbardziej żywa, w szlafroku mocno związanym w talii.

– Laura! Kochanie! – Nelson wbiega na górę, by ją uściskać. Jest bezpieczna. Dziękuję, Boże. Pójdę na mszę w najbliższą niedzielę. Żyje. Obie żyją... Szlafrok?

Rozluźnia uścisk, zauważa potargane włosy starszej córki, starania Rebecki, by usunąć się w cień, wciąż dobiegający chrobot. Niczym błyskawica rzuca się naprzód i kopniakiem otwiera drzwi do pokoju Laury.

Zastaje tam młodzieńca, na wpół ubranego, który próbuje wyjść przez okno.



## ROZDZIAŁ 31

Nelson potrzebuje mniej więcej sekundy, by ze zrozpaczonego ojca przeobrazić się w agresywnego policjanta. Zatrząskuje okno i mówi do zawstydzonego chłopaka:

– Ubieraj się, kochaniutki, i wynoś z mojego domu. Jeżeli jeszcze kiedyś cię tu zobaczę, każę cię aresztować.

Rebecca i Laura tulą się do siebie i wpatrują w ojca z przestraszeniem.

– Wiedziałaś? – Nelson zwraca się do Rebecki. – Wiedziałaś, co ona robi?

– Nie. Naprawdę!

Oczywiście dziewczyna kłamie, ale teraz i tak nie ma na to czasu. Już dzwoni do sierżanta Clougha.

– Cloughie. Ktoś grozi moim córkom. Potrzebuję ochrony do domu, natychmiast.

Patrzy na telefon i widzi, że nie odebrał sześciu połączeń od Judy.

– Idźcie do salonu!

– Chcę się ubrać – mówi Laura.

Nelson czuje gwałtowny przypływ – czego? – obrzydzenia, gniewu, smutku? Jego córka, ten aniołek, była bliska odbycia

stosunku z tym tyczkowatym idiotą na górze. Słyszy trzask frontowych drzwi. Przynajmniej sobie poszedł. Pewnie już nie wróci. Może Nelson zdążył na czas, by ocalić czystość córki; myśli jednak: kogo chcesz oszukać? Oczywiście, że nie zdążył. Spóźnił się o kilka miesięcy, a może nawet lat.

– Kto to był? – pyta.

– Ma na imię Lee – odpowiada Laura z obrażoną miną. – Mama go zna – dodaje, jakby to załatwiało sprawę.

Serce Nelsona podskakuje, zdjęte strachem nowego rodzaju.

– Czy matka wie?...

– Nie! – Ta gwałtowna reakcja w pewnym stopniu go uspokaja. Laura miała chociaż tyle przyzwoitości, żeby utrzymywać swoje życie intymne w tajemnicy przed rodzicami. Przynajmniej Michelle nie spiskuje z córkami za jego plecami.

– Macie zostać na dole!

Rebecca stopniowo zaczyna rozumieć, że w zachowaniu ojca tkwi coś więcej niż zwykła rodzicielska paranoja.

– Tato, co się dzieje? – pyta.

– Nic. – Nelson zaczyna wybierać numer Judy.

– Mówiłeś, że ktoś nam grozi.

– Jakiś świrus – potwierdza Nelson, starając się nadać głosowi uspokajający ton. – Nie ma się czego bać.

Teraz siostry wyglądają na naprawdę wystraszone. Siedzą blisko siebie na sofie. Rebecca odruchowo włącza telewizor. Nelson już ma zaprotestować, gdy przychodzi mu na myśl, że może właśnie odmózzające programy MTV czy *Hollyoaks* dobrze im zrobią. Widocznie Laura i Rebecca odprężają się, gdy ekran jest pełen hałaśliwych Amerykanów.

Wtem rozlega się dzwonek do drzwi i dziewczęta piszczą z przerażenia.

– Przyjechał Cloughie – mruczy Nelson, burząc z trudem osiągnięty nastrój odprężenia.

To nie jest jednak Clough, tylko Cathbad. Ma na sobie strój, który Nelson nazywa kostiumem półdruida: dzinsy i podkoszulek, a na to znoszona fioletowa peleryna. Jego mina, w chwili gdy chwyta Nelsona za ramię, nie ma w sobie nic sztucznego. Cathbad jest śmiertelnie poważny.

– Nelson, myślę, że coś się stało Ruth.

Judy wciąż wybiera funkcję: „Powtórz”, biegnąc przez omiatane wiatrem ulice Southport. Czemu, u diabła, Nelson milczy? Mijający ją emeryci i znużeni turyści oglądają się za nią. Prawdopodobnie nikt w Southport nie poruszał się tak szybko w ciągu ostatniego półwiecza. Kiedy dobiega do klasztoru, ma rozwiane włosy i brak jej tchu, a jednym palcem wciąż wciska ten sam guzik.

– Czy... czy mogę... porozmawiać... z siostrą Immaculatą?

– Przykro mi, to niemożliwe. – Zakonnica przy drzwiach patrzy na nią z wyrzutem. – Miała bardzo ciężki atak. Jest u niej lekarz.

– Poczekam – sapie Judy.

– Dzisiaj i tak nikogo nie przyjmie.

W pierwszej chwili Nelson nie pojmuje, co Cathbad do niego mówi. Powoli zaczyna kojarzyć fakty i nagle czuje chłód na całym ciele. Ruth... jego córka... „Zabiję twoją córkę”. Czy

ten, kto wysłał tę wiadomość, mógł wiedzieć, że Ruth nosi pod sercem jego dziecko? Blednie tak bardzo, że na twarzy Cathbada pojawia się niepokój.

– Dobrze się czujesz?

– Co z Ruth?

– Mieliśmy się spotkać w Swaffham. Ale kiedy tam dojechałem, nie było po niej śladu. A w jednym z wykopów znalazłem to – pokazuje telefon Ruth.

Dziewczeta prawie w ogóle nie zwracają uwagi na postać w pelerynie przechodzącą przez salon. Wpatrują się z uwagą w jakiś tandetny program o uczniach amerykańskiej szkoły średniej, z głośną muzyką rockową i wampirami. Nelson i Cathbad rozmawiają w kuchni, między lśniącymi blatami a korkową tablicą pełną zaproszeń, list zakupów i szkolnych rozkładów zajęć. Wydaje się prawie niemożliwe, że do tego słonecznego, rodzinnego domu może wdrzeć się zło, lecz oni obaj wiedzą, że to już się stało, czują jego cień.

– Pojechałem do niej do domu – mówi Cathbad. – Tam ani żywego ducha.

– Uniwersytet?

– Nikogo. Jej gabinet zamknięty.

Nelson bierze do ręki telefon Ruth. Ostatnio wybierała jego numer. Patrzy na swój telefon. Sześć nie odebranych połączeń od Judy Johnson i przed nimi jedno od Ruth Galloway.

Wtem znowu dzwoni telefon. Judy.

– O co chodzi, Johnson?

– Roderick Spens, szefie. To on chyba był ojcem.

– Co?!

– Siostra Immaculata. Myślałam, że ojcem jej dziecka był sir Christopher, ale teraz uważam, że Roderick. Miał czternaście czy piętnaście lat. Siostra Immaculata, Orla, miała dwadzieścia.

– Romans z czternastolatkiem?

– Tak sądzę. Siostra Immaculata powiedziała, że nazywał ją swoją Jokastą. Jokasta była matką Edypa.

– To teraz studiujesz kulturę klasyczną?

– Sprawdziłam to.

– Przesłuchałaś jeszcze raz tę siostrę?

– Nie jest w stanie rozmawiać.

Nelson przypomina sobie, że doktor Patel nazwała umysł Rodericka „nadzwyczaj sprawnym”. Przypomina sobie, że kiedy Ruth przysłała mu wiadomość, iż dziecko jest dziewczynką, a on do niej oddzwonił, sir Roderick był w jego gabinecie i ociągał się z wyjściem, grając urokliwego staruszka.

– Jest pan tam, szefie?

– Tak. Dobra robota, Judy. Postaraj się dotrzeć do tej zakonnicy. Zadzwoń później.

Rozłącza się. Cathbad pochyla się w przód i Nelson widzi nie nawiedzonego druida, lecz naukowca, człowieka, który, o dziwo, byłby całkiem niezłym policjantem.

– Nelson – mówi – myślę, że to Max Grey porwał Ruth.

30 czerwca

*Dzień Aestas*

*Tego się nie spodziewałem. Sokrates mógł wieść długie dialogi, ale ja się do tego nie nadaję. Najmniej potrzebna mi była pogawędka z małym dzieckiem. Pomijając wszystko inne, nie zostało mi już dużo czasu. Służące miały wrócić w południe, a matka mogła wejść w każdej chwili. Wtedy mnie olśniło.*

*– Cicho – powiedziałem – mam dla ciebie niespodziankę.*

*Nachyliłem się nad łóżeczkiem. Liczyłem na to, że będzie spała, a ona patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma.*

*Posłuchała mojego rozkazu, nawet przyłożyła sobie palec do ust. Najwyraźniej jestem urodzonym dowódcą. Myślę nawet, że mam dar obcowania z dziećmi.*

*– Leż spokojnie – powiedziałem. I wyciągnąłem z kieszeni nóż.*

*Uniosłem nóż. Ona się roześmiała. Profanacja! Lekko obniżyłem ostrze i spojrzałem na nią. Wtedy zaczęła płakać.*

## ROZDZIAŁ 32

Ruth otwiera oczy. Dokoła jest ciemno. Na początku nie czuje strachu, jedynie senność. Po głowie błakają się miłe wspomnienia: piknik z matką i bratem w Castle Wood, słuchanie radia z tatą, pływanie w morzu, gdzie włosy mieszają się z wodorostami, sen na plaży w słońcu. Nawet gdy zauważa, że leży związana na wąskiej ławie, nie od razu ogarnia ją lęk. Łagodne kołysanie podtrzymuje przyjemny nastrój. Wtem, jakby chcąc ją obudzić, dziecko w jej łonie mocno kopie. Ruth w jednej chwili odzyskuje przytomność. Związane z tyłu ręce utrudniają jej ruchy, ale w końcu udaje jej się usiąść. Przy jej głowie jest małe okrągłe okno, lecz widzi przez nie jedynie szarość i zielen, które mieszają się i oddzielają niczym kawałki szkielek w kalejdoskopie. To tak bardzo przypomina sen, że Ruth znowu zamyka oczy, by jeszcze raz się obudzić. Kiedy je otwiera, wszystko jest takie samo: sznur na rękach (teraz boleśnie wrzynający się w nadgarstki), okno na nicosć, dziwny huśtający rytm.

Próbuje sobie przypomnieć, co się stało. Była w wykopie, oglądała Janusowy kamień. Pamięta dwie kamienne twarze, złowrogie i beznamiętne. Wtedy ktoś się odezwał. Kto to był? Wie, że się nie bała, była tylko ciekawa i lekko poirytowana

tym, że jej przeszkadzają. Wyszła z wykopu i chciała coś zobaczyć w samochodzie. Wtedy poczuła strach i próbowała zadzwonić do Nelsona. Później – już nic.

– A... Obudziła się pani.

Ruth odwraca się i widzi to, czego już dawno powinna się była domyślić. Jest na łódce bardzo podobnej do łódki Maksa. Zaraz... to j e s t łódka Maksa. Patrzy na pluszowego psa, psa Elizabeth, śmiejącego się do niej z łózka. Ona leży na ławie w kuchni. Na wprost niej są zlew i kuchenka, na której Max ostatnio gotował smakowity posiłek dla nich dwojga. Z pułapu wciąż malowniczo zwisają wonne zioła. A na schodach prowadzących z pokładu stoi sir Roderick Spens. Co on tu robi?

– Może mi pan pomóc? – pyta Ruth. – Mam związane ręce.

O dziwo, Roderick wydaje z siebie piskliwy śmiech.

– Związane ręce? Ależ tak. Służbistka doktor Galloway ma związane ręce.

Ruth nie rozumie, co się tu dzieje, ale nagle ogarnia ją przerażenie. A twarz Rodericka, tak łagodna z niebieskimi oczyma i grzywką siwych włosów, jest tego strachu główną przyczyną.

– Proszę mnie puścić – mówi, starając się nadać głosowi stanowczy ton.

– Nie mogę – odpowiada Roderick, wciąż lekko rozba-wiony. – Ma pani coś, czego chcę.

– Co?

– Dziecko inspektora Nelsona. Obcowałeś z nim, kobieto, i teraz jesteś brzemienna. Nosisz jego córkę.

Ruth wpatruje się w niego, czując, jak strach mrozi jej krew w żyłach. Archaiczny język – „obcowałeś z nim... jesteś



brzezienna” – jeszcze zwiększa grozę sytuacji. Ten starzec skądś zna jej sekret i ma zamiar wykorzystać go w straszliwy sposób.

Wciąż się uśmiechając, sir Roderick podchodzi do niej i Ruth dostrzega błysk noża.

– Chcę zabrać ci to dziecko.

Nelson patrzy na Cathbada zdumiony.

– O czym ty mówisz?

– Max Grey. Myślę, że ma coś wspólnego ze zniknięciem Ruth.

Kiedy Cathbad zjawił się u Nelsona na komisariacie (czy to było zaledwie wczoraj?), przedstawił mu informacje o Maksie, które powiązał ze swoim szóstym zmysłem. Podobno rozmawiał z jakimś druidem z Irlandii.

– Znał Greya z dawnych czasów, kiedy jeszcze mieszkał w Irlandii. Opisał mi go bardzo dokładnie. Tyle że wtedy nazywał się zupełnie inaczej. A Pendragon...

– Kto? – zapytał Nelson, wykrzywiając twarz w pogardliwym grymasie.

– Pendragon. Mój przyjaciel. Max Grey był naprawdę niespokojnym duchem. Naładowany tłumioną agresją.

Pełen podziwu dla sieci kontaktów między druidami, Nelson potraktował wówczas tę informację jako zwykłe dziwactwo. Ale teraz mówi z niepokojem w głosie:

– Dlaczego sądzisz, że on ma z tym coś wspólnego?

– Dzisiaj, jak nie mogłem znaleźć Ruth, zadzwoniłem do niego. Nie odpowiada. Skontaktowałem się z jego studentami. Cały dzień nikt go nie widział.

– Gdzie on mieszka?

- Zdaje się, że na jakiejś łodzi. W pobliżu Reedham.
- No to jedźmy. – Nelson sięga po telefon. – Złożymy mu wizytę.

Ruth krzyczy tak głośno, że oboje są tym zaskoczeni. Roderick zatrzymuje się i patrzy na nią pytająco.

- Dlaczego się pani boi?
- A jak pan myśli?! Jestem uwięziona na łodzi z szaleńcem, który ma nóż!

Roderick wydaje się urażony.

- Nie jestem szaleńcem. Skończyłem z wyróżnieniem filologię klasyczną w Cambridge.

Absolwenci Cambridge, których znała, byli dowodem na to, że te dwie rzeczy wcale się nie wykluczają. Ruth zdaje sobie sprawę, że teraz może pokładać nadzieje jedynie w tym, że nakłoni Rodericka do rozmowy. Stara się nadać głosowi spokojne, rozsądne brzmienie, jakby prowadziła miłą pogawędkę z innym naukowcem.

- Ja skończyłam archeologię na UCL – mówi. – Jest tam dobry wydział filologii klasycznej.

- University College of London. Bardzo szanowana uczelnia – zauważa Roderick z podziwem. – Musi być pani zdolna.

Ruth uśmiecha się przymilnie.

- Jest pan więc filologiem klasycznym? – pyta, nadając głosowi ton wielkiego poważania.

- Jestem Rzymianinem. – Jego oczy błyszczą. Katarakta czy szaleństwo? Dobrze, że chociaż usiadł na małym stołku naprzeciw Ruth i opuścił ostrze. – Zauważyłem to już w

dzieciństwie. Urodziłem się w nieodpowiednim czasie. Należę do epoki dyscypliny i samodzielności, poświęcenia i prawdziwej ofiary krwi. Do epoki dawnych bogów.

Dawnych bogów. Ruth myśli o ciele pogrzebanym pod drzwiami, głowie w studni, czarnym kogucie. Przypomina sobie to dziwne wrażenie, że dom na Woolmarket Street należy do dawnych, ciemniejszych czasów.

– Oczywiście – ciągnie sir Roderick – teraz niewiele już robię. Należę do Towarzystwa Historycznego i jestem w zarządzie muzeum.

Muzeum. W jej głowie zapala się światełko alarmowe, przed oczami Ruth szybko przesuwiają się: model niemowlęcia, dwugłowe ciele i czarne płótno zarzucone na głowę. Jednocześnie rozpoznaje zapach cytryny i drzewa sandałowego. To woń, która otacza sir Rodericka.

– Mój ojciec był wybitnym specjalistą – opowiada Roderick. – Christopher Spens. Słyszała pani o nim?

Coś jej podpowiada, że powinna powiedzieć „tak”.

– To był wielki człowiek, wspaniały dyrektor szkoły. Napisał wiele książek o starożytnym Rzymie. Nie zyskał jednak należytego uznania. Zmarł w wielkim rozgoryczeniu. Nigdy się nie pozbierał po śmierci mojej siostry.

– Zmarła? – Ruth przypomina sobie, że Nelson coś wspominał o Annabelle Spens. Czy to możliwe, że siostra Rodericka jest tym dzieckiem pochowanym pod drzwiami?

– Na szkarlatynę. Potem już nic nie było takie jak powinno. Matka całymi dniami płakała i nie wychodziła z sypialni. Ojciec każdą chwilę spędzał w szkole, jakby w ogóle nie chciał wracać do domu. Rozumie pani, on wiedział, że ten dom

jest przeklęty. Dlatego musiałem zabić inne dziecko. Żeby zdjąć klątwę.

Nagle ciało Ruth zamienia się w zimny kamień.

– Jakie dziecko? – szepcze.

– Moje – odpowiada Roderick lekko. – Obcowałem cielesnie z jedną ze służby. Głupia irlandzka dziewczyna, ale dość urodziwa. – Ścisza głos.

– I urodziła dziecko?

– Tak. To się zdarza, jak pani wiadomo. – Spogląda na nią groźnie. – Byłem wtedy jeszcze chłopcem. Wykorzystała moje młodzieńcze pożądanie. Mówiła, że mnie kocha. Żałosne biędactwo. Ale urodziła dziewczynkę. Nazywała to Bernadette.

„To”. Ruth czuje, jak do oczu napływają jej łzy. Zadzgane, pozbawione głowy i zakopane pod drzwiami dziecko było córką sir Rodericka. A dla niego jest tylko „tym”.

– A matka? – pyta.

– Och. Wróciła do Irlandii, ziemi świętych i uczonych. – Znowu ten zimny chichot. – Zakopałem ciało w ogrodzie, ale kiedy *pater* budował łuk i kolumny, wykopałem i przenieśliem do dołu pod nowym wejściem. W ofierze Janusowi. Żeby strzegł tych murów i tak dalej. Czaszkę wrzuciłem do studni. Tak jak należy. – Uśmiecha się z zadowoleniem.

– Ale co ja mam z tym wspólnego? – pyta Ruth. Nawet jeśli uda jej się jakoś z tego wypłatać, czy będzie w stanie uciec sir Roderickowi? Jest stary, lecz wygląda na sprawnego. I ma nóż.

– Ten inspektor, Nelson, jest zbyt bliski wykrycia prawdy. Powiedziałem synowi, że mam alzheimera. Bez żadnych oporów uwierzył, że staję się bezwolny. To mu pasuje do tego, co

on i ta jego głupia żona o mnie myślą. W każdym razie rozmawiają przy mnie o wszystkim. Myślą, że nie rozumiem. Kazałem mu się zawieźć na stanowisko archeologiczne. Zobaczyłem, jak pani kopie, i wiedziałem, że wcześniej czy później dowie się pani prawdy. Potem byłem na komisariacie i podsłuchiwałem waszą rozmowę. Kiedy Nelson wyszedł, zostawił telefon. Bardzo nierozważnie. – Chichocze. – Przeczytałem ten SMS i już wszystko wiedziałem. Jest pani w ciąży. Jeśli on nie zrezygnuje z dochodzenia, ja zabiję jego córkę. W końcu to uczciwy układ.

– To wcale nie jest uczciwe! – Ruth wybucha wbrew własnej woli.

Roderick nie zwraca uwagi na jej słowa. Opowiada dalej z samozadowoleniem.

– Widziałem panią na rzymskich wykopaliskach. Byłem tam z członkami Stowarzyszenia Konserwatystów. Wynajęli autokar. To bardzo kulturalna wycieczka. Potem, kiedy zobaczyłem panią na placu budowy, połączyłem fakty. Myślałem, że uda mi się panią nastraszyć. Napisałem na murze pani nazwisko, używając do tego krwi koguta. To silna magia. Wiedziałem, że ten archeolog z Sussex to znajdzie. Martwe niemowlę też wydawało się dobrym pomysłem. Wiedziałem, że pani tam będzie, bo poprzedniego wieczoru jedliście razem kolację.

– Jest pan dobrze poinformowany – mówi Ruth, czując suchość w ustach.

– Moja wnuczka pracuje przy wykopaliskach – wyjaśnia sir Roderick beztrzesko. – Opowiada mi o wszystkim.

- Pańska wnuczka?
- Nieokrzesała dziewczyna. Ale użyteczna. No i oczywiście, kiedy Nelson postanowił przeprowadzić badanie DNA, zrozumiałem, że skojarzy mnie z tym szkieletem. Dlatego musiałem działać. Wiedziałem, że pani przyjdzie na rzymskie stanowisko, żeby obejrzeć kamień Janusa. Czekałem cały ranek. Była pani tak miła, że zaproponowała mi przyniesienie czegoś z samochodu. Kiedy się pani pochyliła, uderzyłem latarką. Idealne narzędzie do tego celu. Potem przywiozłem panią na jacht.
- Jak udało się panu mnie przenieść? – Ruth przypomina sobie rodziny grillujące przy marinie. Na pewno ktoś by zauważył mężczyznę dźwigającego bezwładne ciało. A skoro o tym mowa, to jak w ogóle Roderick zdołał ją udźwignąć?
- Zawinąłem panią w dywan. Jak Kleopatrze. – Znowu chichot. – Zostawiłem samochód blisko przystani i jakiś przypadkowy przechodzień bardzo uprzejmie pomógł mi przenieść bagaż. Zauważył nawet, że ten dywan jest taki ciężki.
- Dokąd mnie pan zabiera?
- W miejsce, gdzie mam wszystko, co potrzebne do złożenia ofiary. – Mógłby być dowolnym ekscentrykiem opowiadającym o swoim hobby. Gdyby nie nóż w dłoni i szaleńczy błysk w oku. – Nikomu nie przyjdzie do głowy tam zajrzeć – ciągnie. – Do inspektora dotrze, że pokonał go ktoś sprytniejszy.
- To on wie? – Jeśli Nelson wie, to na pewno już jest w drodze. Poruszy niebo i ziemię, żeby ją uratować, Ruth jest tego pewna.

– Wysłałem mu SMS-a. Prostacka forma komunikacji, ale skuteczna.

– Powinien pan jeszcze zatelefonować. – Policja chyba jest w stanie namierzyć źródło wiadomości tekstowej...

– Pani do niego zadzwoni.

W mgnieniu oka znalazł się przy niej. Jedną ręką podawał jej telefon, a drugą przystawiał nóż do szyi.

Nelson wychodzi zaraz po tym, jak Clough zjawia się w jego domu, by pilnować dziewcząt.

– Głowy do góry, wujek Dave nadchodzi! – wita je Clough, siadając na sofie, by oglądać z nimi amerykańskie nastolatki walczące z wampirami.

– Na litość boską, zachowaj czujność – warczy Nelson.

– Może pan na mnie polegać, szefie.

Nelson rozwinął prędkość prawie sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, zanim jeszcze opuścił posesję, ale Cathbad siedzący obok zachowuje spokój. To jedyna znana Nelsonowi osoba, której nie przeraża jego jazda.

Dochodzi szóstka. Pora szczytu. Na drogach tworzą się korki i kiedy są już blisko Norwich, Nelson włącza syrenę. Krążą szaleńczo między pojazdami, zmuszając innych kierowców do zjeżdżania na trawiaste pobocze i roztrącając pachołki niczym kręgle.

Cathbad nuci jakąś melodię celtycką.

Za Reedham jeden pas drogi jest zamknięty z powodu wypadku. Nelson ze złością uderza w kierownicę.

– Popatrz na mapę – mówi do Cathbada. – Znajdź jakiś skrót.

Cathbad wskazuje boczną drogę po lewej. Przy zniszczonej bramie leży sterta porzuconych opon. Trasa wygląda, jakby prowadziła donikąd.

- Spróbuj tędy.
- Dlaczego?
- Mam przeczucie.

Nelson skręca w lewo. Mercedes podskakuje na koleinach wyłobionych przez traktory i wpada w głębokie, błotniste kałuże.

- Jeśli uszkodzę zawieszenie, to będzie twoja wina.

Cathbad nie przestaje nucić.

Mijają opuszczone szopy, porzucone samochody i, o dziwo, ładny domek letniskowy oferujący noclegi ze śniadaniem. W końcu wjeżdżają między zwisające gałęzie drzew i zarastającą ścieżkę krzaki, by zatrzymać się z kołami zwisającymi poza krawędź brzegu rzeki. Rozwścieczony Nelson zwraca się w stronę Cathbada.

- To ślepy zaułek. Ty...

Cathbad wskazuje palcem przed siebie. Wznosi się tam wieża kościoła.

- Reedham – mówi spokojnie.
- Skąd...
- Intuicja. Trzeba umieć się jej poddać.

Gdy dochodzą do przystani, zastają właścicieli jachtów w trakcie biesiady. Wino się leje, na grillach pieką kiełbaski. Z łodzi o nazwie „Dreadlock 2” dobiegają dźwięki muzyki reggae. Nelson podsuwa swoją legitymację pod nos jednemu z uczujących.

- Szukam łodzi o nazwie „Lady Annabelle”.



Mężczyzna patrzy nieprzytomnie, wokół rozlegają się chichoty, które szybko cichną.

– Ja znam „Lady Annabelle” – odzywa się głos z łodzi miłośników reggae. Wysoki młodzieniec z dreadami do pasa uśmiecha się do nich przyjaźnie. – To własność tego profesora, tak?

– Wie pan, gdzie jest przycumowana? – pyta Nelson niecierpliwie.

– Jasne – odpowiada mężczyzna spokojnie, jakby nigdzie mu się nie spieszyło. Nelson zaciska zęby, ale Cathbad nie okazuje zniecierpliwienia. – Zaraz za miejscami do cumowania. W lewo. – Wskazuje ręką. – Nie da się nie zauważyć. To ostatnia łódź.

– *Peace* – rzuca Cathbad przez ramię, gdy wraz z Nelsonem oddalają się w kierunku drewnianej furtki.

– *Peace and love* – odpowiada ten z dreadami.

Na końcu przystani zastają jedynie odwiązaną linę cumowniczą. „Lady Annabelle” zniknęła. Z mariny dobiega głos Boba Marleya śpiewającego o odkupieniu. Obok przepływa rzeka, która rozwidla się na dwie odnogi ginące w oddali. Nad ich głowami gromadzą się drobne muszki.

– I co teraz? – pyta Nelson.

– Poddajemy się intuicji? – proponuje Cathbad.

Na szczęście dla Cathbada w tym momencie dzwoni telefon Nelsona. Inspektor chwyta za komórkę. Numer nieznany.

– Nelson?

– Ruth!

Jej głos jest wysoki, napięty jak u kogoś młodego. Mówi szybko i nie pozwala mu odpowiadać.

– Nelson, musisz odwołać dochodzenie, bo on zabije nasze dziecko i mnie. Poważnie, to prawdziwy miotacz pierścieni. Proszę, Nelson. Ratuj nasze dziecko. Nie mogę ci powiedzieć, gdzie jesteśmy. Proszę, Horatio. Ratuj nas.

Tyle. W słuchawce zapada cisza.

Nelson drży. Próbuje dzwonić na komisariat, chce, żeby namierzyli to połączenie, ale palce odmawiają mu posłuszeństwa. Cathbad chwytą go za ramię.

– Co powiedziała?

Nelson tylko kręci głową. Jego dziecko, jeszcze nieznanne, kochane maleństwo, jest w niebezpieczeństwie. I Ruth – zdecydowana, harda kobieta, której głos brzmiał, jakby sama była dzieckiem. Ruth, która może zaraz umrzeć.

– Przypomnij sobie dokładnie jej słowa – nakazuje Cathbad. – A ja je zapiszę. No, Harry, nie możesz się teraz rozsypać.

Nelson cytuje wypowiedź Ruth. Brzmi dziwacznie, ale jest niemal pewien, że zapamiętał ją dokładnie. Cathbad wszystko notuje, gdy Nelson dzwoni na komisariat, żeby namierzono jego poprzednie połączenie.

Kończy rozmowę z kolegami i spogląda na Cathbada. Ten przykucnął i ze zmarszczonym czołem wpatruje się w zapisany skrawek papieru. Łaskawie pomija fragment o „naszym” dziecku:

– „To prawdziwy miotacz pierścieni”. O co jej chodziło?

– Nie wiem.

– I dlaczego nazwała cię Horatio? Czy Harry to zrobienie od Horatio?

– Nie.

– Daje nam wskazówkę – stwierdza Cathbad. – Dobrze to wymyśliłaś, Ruth. Zuch dziewczyna. Teraz tylko musimy to rozgryźć. Miotacz pierścieni. Miotacz... Był Ruryk Miotacz Pierścieni, mityczny król Danii. Erik często o nim opowiadał.

- Ruryk? Cóż to za imię?
- Po angielsku Roderick.
- Co?

Cathbad zdumiony podnosi głowę.

– No tak! – krzyczy Nelson. – Chce nam powiedzieć, że to sir Roderick Spens.

Inspektor krótko przedstawia Cathbadowi, co wie o rodzinie Spensów. Gdy dochodzi do opisu Annabelle Spens, Cathbad mu przerywa:

- Jak się nazywa ta łódź?
- „Lady Annabelle”.
- Czy to możliwe, żeby należała do rodziny Spensów?
- No tak! Max Grey przyjaźni się z Edwardem Spensem.

Mówił mi o tym, gdy go przesłuchiwałem. Widocznie Edward pożyczył mu łódź. Dlatego Ruth nazwała mnie Horatio, żeby mi przypomnieć o innym Nelsonie. Tym sławnym. Admirale. Chce nam powiedzieć, że jest na łodzi.

– A co z Maksem Greyem? – pyta Cathbad. – Gdzie on się podziewa?

- Jestem tutaj – odzywa się głos u ich stóp.

*30 czerwca*

*Dzień Aestas*

*...Dziecko wrzeszczy i wrzeszczy. Nawet nóż w piersiach wydaje się jej nie przeszkadzać. Najwyraźniej jest opętane przez złego ducha. Zaciskam powieki i odmawiam modlitwę do Pani, a potem już tylko dźgam i dźgam na oślep. Otwieram oczy i widzę krew na całym łóżku, na ścianach, wszędzie.*

*Ona już nie żyje, lecz ten krzyk nie milknie.*

## ROZDZIAŁ 33

– Dlaczego nazwałaś go Horatio?

– Harry to zdrobnienie od Horatio – kłamie Ruth. – On to ukrywa przed ludźmi. Nazwałam go tak, żeby miał pewność, że rozmawia ze mną.

Roderick kiwa głową z zadowoleniem. Ruth wstrzymuje oddech z nadzieją, że nie zapyta o miotacza pierścieni. Możliwe, że Roderick uznał to za przykład slangu młodzieżowego (zrobił jej już wyczerpujący wykład na temat analfabetyzmu wśród współczesnych smarkaczy), bo nie zgłasza więcej uwag. Ruth wie, że nie może liczyć na zbyt wiele, ale ma nadzieję, że Nelsona zaintryguje to na tyle, żeby sprawdzić Miotacza Pierścieni w Internecie, gdzie znajdzie informacje o duńskim królu, który według Erika był dziadkiem Hamleta. Cathbad by to wiedział, myśli, ale nie wiadomo, gdzie on jest.

– Jesteś kobietą upadłą – stwierdza Roderick gawędziarskim tonem, odsuwając nóż od jej szyi. – Jak ta irlandzka dziwka.

Ruth milczy. Gdyby nie była związana, kopnęłaby go w czułe miejsce.

– Wiedziałaś, że Nelson jest żonaty, a mimo to obcowałaś z nim cielesnie. Jesteś wszeteczną.

- Skoro tak pan uważa.
- No cóż – mówi Roderick, jakby właśnie skończyli miłą pogawędkę na temat kanapek z ogórkiem – muszę wracać do steru.

Max siedzi w pontonie. Wprawnie przywiązuje go do pomostu i wychodzi na brzeg.

– Myślę, że Roderick Spens porwał Ruth – oznajmia. – Pojechałem dziś rano na miejsce wykopalisk. Myślałem, że ją tam zastanę, bo chciała zobaczyć Janusowy kamień, ale nikogo nie było. Zamierzałem zatelefonować do pana, inspektorze, ale wtedy zadzwonili do mnie z przystani z informacją, że ktoś zabrał „Lady Annabelle”. Starszy mężczyzna. Podobno ładował na pokład coś ciężkiego. To im się wydało podejrzane.

– Powiedzieli, dokąd się wybierał? – pyta Cathbad.

Max patrzy podejrzliwie na Cathbada w mokrej, ubłoconej od marszu wzdłuż rzeki pelerynie.

– Cathbad pomaga mi ją znaleźć – oświadcza Nelson krótko. – Musimy się dowiedzieć, gdzie ona jest. Prawdopodobnie grozi jej poważne niebezpieczeństwo.

Max wciąż nie wygląda na przekonanego, ale odpowiada:

– Powiedzieli, że pytał o wysokość mostu Potter Heigham.

Nelson i Cathbad patrzą na niego, jakby nie rozumieli.

– To most nad rzeką Thurne – wyjaśnia Max. – Bardzo niski. Łodzie często nie mogą pod nim przepłynąć. Jeśli chce się udać tamtędy, to myślę, że zmierza do Horsey Mere. Spensowie mają tam domek letniskowy.

Spojrzenia słuchaczy nadal są pytające.

– To mało znany odcinek szlaku wodnego na North Rivers.

– Którędy popłynię? – pyta Nelson.

Max wskazuje rozwidlenie.

– Jeśli zmierza do North Rivers, tamtędy. Wzdłuż rzeki Yare do Yarmouth.

– Możemy go złapać w Yarmouth?

Max spogląda na zegarek.

– Mówili, że na przystani był o czwartej. Teraz już będzie za Yarmouth.

Nelson patrzy na zegarek. Jest wpół do ósmej.

– Da się ich dogonić drogą lądową? – pyta. – Jeżdżę szybko.

Max kręci przecząco głową.

– Najlepiej byłoby spróbować dotrzeć do Potter Heigham przed nimi. Będzie musiał zdjąć z łodzi zadaszenie, zanim wejdzie pod most. To zabierze mu trochę czasu.

– Ruszajmy – mówi Nelson.

Kołysanie łodzi przybiera na sile i Ruth czuje, że za chwilę chyba zwymiotuje. Nie może teraz poczuć się źle. Musi uciec temu szaleńcowi używającemu wiktoriańskiego języka i przerażliwie współczesnego noża. Zabił własne dziecko, a teraz chce to samo zrobić jej maleństwu. Nie, ona do tego nie dopuści.

Gdyby udało jej się przedostać na drugą stronę łodzi, mogłaby dotrzeć do szafki kuchennej, gdzie na pewno są noże i inne ostre narzędzia. To bardzo blisko – zaledwie na wyciągnięcie ręki. Jeśli zdoła się uwolnić, to może da sobie radę z Roderickiem Spensem.

Ostrożnie obraca się, tak by jej nogi, ciasno związane, znalazły się na podłodze. Nagle zupełnie niespodziewanie czuje bardzo silny odruch wymiotny i wie, że nie jest w stanie go powstrzymać. Związane z tyłu ręce komplikują sytuację, bo Ruth nie może odgarnąć włosów. Dlatego odchyła głowę jak najdalej, żeby wymiocinami nie pobrudzić stóp. Jeszcze jakiś czas wstrząsają nią torsje, aż w końcu żołądek jest pusty, a ona kładzie się na ławie z zamkniętymi oczyma. Ma nadzieję, że Roderick tego nie słyszał. Wtedy zauważa, że silnik pracuje zadziwiająco głośno. Widocznie płyną bardzo szybko. To dobrze. Może zwróci na nich uwagę policja rzeczna, inni żeglarze, ktokolwiek...

Leży nieruchomo, nasłuchując. Przez szum motoru dolatuje do niej głos sir Rodericka śpiewającego arie operowe. Świr. Powoli znowu zsuwa nogi i próbuje wstać. Kolejne skurcze żołądka, lecz już bez wymiotów. Czeka, oddychając ciężko, i wreszcie, przytrzymując się krawędzi stołu, skokami zbliża się do szafki z nożami.

Znajdują samochód sir Rodericka obok przystani. Nie jest to trudne, jego brązowy rolls-royce ma bowiem tablicę rejestracyjną SPENS2.

– O Jezu – mówi Nelson. – Raczej nie przybył tu incognito.

– W ogóle nie powinien jeździć – zauważa Max. – Edward twierdzi, że ojciec ma alzheimera.

– Edward się myli – oświadcza Nelson.

Max przygryza wargę.

– Tak czy inaczej sir Roderick zawsze był ekscentryczny. Gdy byliśmy na studiach, Edward wspominał, że robi dziwne



rzeczy. Ma obsesję na punkcie niektórych rzymskich bogów, składa im ofiary i tak dalej. Kiedyś włamał się do rzymskiego pałacu w Fishbourne, zaczął rozsypywać zioła i kwiaty. Edward naprawdę martwił się o niego.

– I słusznie – mówi Nelson. – Sprowadzę paru policjantów, żeby obserwowali ten samochód. Zadzwoń też do policji rzecznej.

– Płyną do North Rivers – zauważa Max.

– I co?

– Ten obszar nie podlega policji rzecznej. To rewir strażnika, ale on ma tylko jeden samochód i nie pracuje w nocy.

– O rany boskie! – Nelson wznosi wzrok ku niebu i przeklina dzień, w którym usłyszał o Norfolk, rzece i Ruth Galloway.

Max obserwuje go spod zmrużonych powiek.

– Chodźcie – mówi w końcu. – Musimy dotrzeć do Potter Heigham przed nimi.

Trzy skoki i jest na miejscu. Opiera się o zlewozmywak, żeby przeczekać nagłe osłabienie. Boli ją głowa, prawdopodobnie od uderzenia „idealnym narzędziem”, czyli latarką. Możliwe, że oberwała w to samo miejsce, w które skaleczyła się wcześniej, kiedy Roderick podrzucił do wykopu model płodu jako „ostrzeżenie”. Jeżeli wyjdzie z tego cało, to słowo daje, że go zabije.

Otwarcie szuflady bez użycia rąk to kolejny problem. Ruth rozgląda się za czymś ostrym pozostawionym na wierzchu, ale wszystko tu jest w idealnym porządku. Przeklęty Max i jego chorobliwe nawyki archeologa. A właśnie, gdzie on jest? Skąd

się wziął Roderick na jego łodzi? Teraz pojawia się ta straszliwa myśl, która od wielu godzin nie daje jej spokoju. Może Max działa w porozumieniu z Edwardem Spensem? W końcu na studiach byli przyjaciółmi. Max mógł pomagać Roderickowi podrzucać te makabryczne przedmioty. Może nawet to on był pomysłodawcą? Też jest znawcą kultury antycznej, kolejnym miłośnikiem bogów rzymskich. Wie wszystko o Hekate, Janusie, Nemezis i innych czarnych charakterach. Czy naprawdę Max mógł spiskować przeciwko niej?

To niemożliwe. Max wrócił, bo intrygowało go miejsce, w którym kiedyś mieszkał z Elizabeth. Nie, nie wolno jej tak myśleć. Roderick na pewno działa sam. Jest dostatecznie szalony.

Ale gdzie jest Max?

Szuflada ma wystający uchwyt. Ruth pochyla się i łapie za niego zębami. Ciągnie. Szuflada się otwiera i odsłania co najmniej trzy ostre noże. Kobieta wyciąga po nie związane ręce.

– Nie rób tego – słyszy głos za plecami.

Gdy docierają do samochodu, osacza ich mgła. Dosłownie – w jednej minucie widzą auto zwisające nad brzegiem, za sobą Reedham i przed sobą polną drogę, a w następnej tylko podnoszące się z wody gęste białe kłęby, w których tonie cały świat.

– Mgła rzeczna – mówi Max. – Opada w kilka sekund.

– Trudniej nam będzie zobaczyć Spensa – narzeka Nelson.

- W takiej mgle nic nie będzie widać – zgadza się Max.
- Czy jazda łodzią jest bezpieczna?
- Łodzią się nie jeździ.

Nelson parska z niecierpliwością, a Max czym prędzej dodaje:

– Przy słabej widoczności w ogóle nie powinno się przebywać na rzece.

Zapada cisza, w której wszyscy myślą o Rodericku – starym, bez doświadczenia, niemal na pewno szalonym – żeglującym w trudnych warunkach ku niskiemu mostowi i niebezpiecznym wodom z Ruth na pokładzie.

- Musimy ich dogonić – mówi Nelson.

Podróż do Potter Heigham przy widoczności sięgającej zaledwie kilku metrów jest przerażająca. Nelson nie widzi Maksą siedzącego z tyłu, ale Cathbad wydaje się całkiem spokojny, nawet w którymś momencie zamyka oczy. Sam Nelson bardzo się denerwuje. Musi uratować Ruth. Nie dopuszcza do siebie myśli, że mogliby się spóźnić.

Omam nie mijają przystani, która jest nieco odsunięta od drogi. Widzą długi niski pirs otoczony łodziami. Nelson wysiada z samochodu i od razu wchodzi w błoto.

- No nie.

– Jesteśmy przy samym moście – mówi Max, zgrabnie omijając kałuże. Pokazuje kierunek ręką, lecz oni i tak nie widzą nic poza gęstymi chmurami mieszanymi się z szarą tonią. Światła przystani są rozmazane, upiorne, niczym błędne ognie na moczarach.

Właściciel przystani nie chce wynająć im łodzi.

– Widoczność jest zbyt słaba. Nie przepłyniecie pod mostem i nie zobaczycie znaków nawigacyjnych po drugiej stronie.

– Znaki wskazują tor żeglowny – wyjaśnia Max. – W kierunku do morza są czerwone po prawej i zielone po lewej.

Nelson niecierpliwie wymachuje legitymacją.

– Policja. Mamy wyszkolonego pilota.

– Sternika – mruczy Max.

Mężczyzna wciąż nie jest przekonany, ale prowadzi ich wzdłuż brzegu, obok tuzina przycumowanych niskich białych łódek. Wyglądają bardzo niepozornie – tylko dwa miejsca z przodu i dwa, nisko opuszczone, z tyłu; bardziej przypominają zdalnie sterowane zabawki niż cokolwiek przeznaczonego dla dorosłych.

– To motorówki elektryczne – oświadcza Max. – Idealne na tym odcinku.

– Taki napęd jest dobry – stwierdza Cathbad. Odezwał się bodaj pierwszy raz od paru godzin.

– Dlaczego? – pyta Nelson.

– Nie robi hałasu.

Sir Roderick stoi w połowie schodów, dlatego trochę ją przewyższa. W ułamku sekundy Ruth podejmuje decyzję. Głową zadaje mu silny cios w brzuch. Mężczyzna upada na bok, wydając z siebie zdumione „uuu”, i ląduje na ławie. Ruth ze związanymi rękami i nogami także się przewraca. Słyszy, jak Roderick się podnosi i ciężko oddycha. To znaczy, że nie stracił przytomności. Ruth klęka i próbuje wstać. Ale mięśnie jej nóg nie są dość silne.

Szkoda, że po pierwszej sesji na siłowni nie zjawiała się tam częściej. Ponawia próbę, kołysze się w przód i w tył, żeby nabrać rozpędu.

Nagle głowę rozsadza jej straszliwy ból i wszystko zasnuwa ciemność.

Mgła jest już tak gęsta, że ledwie widzą siebie nawzajem. Twarz właściciela przystani jest migocącym białym krążkiem na brzegu, a Max w ciemnym swetrze w ogóle zniknął. Dostali kamizelki ratunkowe, ale Nelson i Max po prostu wrzucają je na dno łódki; Cathbad przywiązuje swoją dokładnie na pelerynie. Rachityczna konstrukcja kołysze się niebezpiecznie na wodzie, gdy trzech mężczyzn wchodzi na pokład.

Musimy się zrównoważyć – zarządza Max. – Cathbad, stań po mojej stronie.

Czyli ja ważę tyle, co wy dwaj razem – mruczy Nelson, ale wdrapuje się na przednie siedzenie obok Maksa. Cathbad siada za nimi, w części wystawionej na działanie wiatru, i trzęsie się z zimna. Nie widzą nic przed sobą. Kiedy Max włącza światła, one jedynie oświetlają mgłę: lekkie drobinki tańczące w dymie.

To szaleństwo – wzdycha Max, obracając kluczyk w stacyjce.

– Po prostu je dź – warczy Nelson.

Max nie śmie go poprawiać.

Kiedy Ruth odzyskuje przytomność, jej pierwszą myślą jest to, że na pewno nie żyje. Jest senna, bezwładna, jakby kończyny nie należały już do niej. Wygląda przez okno i widzi szarość, ni to ziemię, ni to morze. Ani wody, ani drzew, ani

innych łodzi – nic. To jedna z tych chwil przed śmiercią: długi tunel prowadzący... dokąd? Gdzie światło i zmarli bliscy wychodzący na powitanie? Stół operacyjny i bolesny powrót do życia? Wtedy w jej umyśle pojawia się słowo „mgła” i Ruth oddycha z ulgą. W porządku. Nie umarła. To tylko mgła rzeczna.

Powoli zaczyna o sobie przypominać ciało. W głowie odzywa się silny pulsujący ból, a w żołądku znajome uczucie nudności. Mdłości mają tę zaletę, że przypominają jej o dziecku. Musi przeżyć dla córki. Trzymaj się, maleńka, wydostanę nas z tego.

Wtedy go zauważa. Gwóźdź, na którym wisi kalendarz z Norfolku; porządny, nie jakaś tam pineska. Ruth ostrożnie przekłada przez niego dłonie i zaczyna piłować sznurek. Kalendarz się kołysze, lecz gwóźdź nadal tkwi w ścianie. Po kilku sekundach jej ręce są wolne. Ruth szybko rozwiązuje stopy, walcząc z kolejną falą nudności. Potem otwiera kuchenną szufladę i bierze nóż z ząbkami. Czeką chwilę, ważąc narzędzie w dłoni, po czym wraca na schody i popycha klapę prowadzącą na górny pokład. Jest zamknięta. Zastanawia się, ciężko dysząc, czy zdoła ją otworzyć, czy może jest stąd jakieś inne wyjście?

Wtem upada na plecy, gdy coś wstrząsa gwałtownie łodzią przy akompaniamencie straszliwego łoskotu.

Trzej mężczyźni również to słyszą. Wzdrygają się, jakby uchylali się przed potężnym ciosem. Max wyłącza silnik, Cathbad zasłania twarz ramieniem.

– Co to, u diabła? – pyta, dysząc.

– Odgłos łodzi wjeżdżającej pod most – odpowiada Max ponuro.

– „Lady Annabelle”?

– Chyba tak. Nie było świateł. Kto przy zdrowych zmysłach wybierałby się na rzekę w taką noc bez świateł nawigacyjnych?

– Utknęli? – zastanawia się Nelson.

Max nasłuchuje.

– Nie. Myślę, że przepłynęli. To był dźwięk uderzenia łodzi w bok mostu.

– Czy to ją uszkodzi?

– Tak – oznajmia Max.

– To dobrze – zauważa Nelson. – Będziemy mieli większą szansę, żeby ich dogonić. Przeprowadzisz nas pod mostem?

– Spróbuję – mówi Max.

Przez kilka sekund wszystko wokół spowija nieprzenikniona ciemność. Ruth siedzi w kuchni na podłodze, próbując się zorientować, co się dzieje. Hałas nie cichnie. Wtem, tak samo nagle jak się zaczęło, wszystko milknie i za oknem znowu jest szaro. Kobieta podnosi się i rozgląda po pokładzie. W jednym końcu stoi łóżko Maksa, starannie zasłane, z psem Elizabeth na poduszce. Nad legowiskiem klapa w suficie, która wygląda na otwieraną. Jeśli wyjdzie tamtędy, to czy uda jej się przejść wzdłuż burty i zaskoczyć Rodericka? Ryzykowny pomysł; mgła jest gęsta, a Ruth nawet w najlepszych czasach nie odznaczała się zwinnością, a co dopiero w czwartym miesiącu ciąży... Musi jednak spróbować.

Wchodzi na łóżko i stara się podnieść klapę. Ku jej radości pokrywa łatwo się uchyla i Ruth przeciska się przez powstały otwór. Ostrożnie wystawia głowę. Powietrze jest chłodne. Odwagi, myśli Ruth, dasz radę. To tylko mgła, co może ci zrobić? Ale szary świat na zewnątrz napelnia ją trwogą. W dodatku boi się tego starego potwora u steru. Kobieta drzy tak gwałtownie, że zaczyna głośno szczekać zębami. Wielkim wysiłkiem woli zmusza się do wyjścia. Jesteś to winna dziecku, musisz je donieść w bezpieczne miejsce. Ta ostatnia myśl jest tak motywująca, że Ruth udaje się zaczepić stopę o krawędź otworu.

Znalazła się na dziobie. Na szczęście jest tu płasko, choć łódź lekko się kołysze. Czy sir Roderick ją zauważy? Chyba nie. Ona ledwo widzi własne dłonie, którymi szuka burty, by się jej uchwycić. Dzięki Bogu jest poręcz. Powoli i cicho zaczyna przemieszczać się w kierunku rufy.

Raczej wyczuwają most, niż go widzą. Czują, że w pobliżu jest jakaś solidna konstrukcja. Wtem, zupełnie nagle, otacza ich ciemność. Nelson widzi białe kostki dłoni Maksa na sterze i słyszy, jak Cathbad łapie oddech. Wkrótce znowu wpływają w znajomą szarość.

– Dobra robota – mówi Nelson do Maksa. – Gdzie teraz jesteśmy?

- Płyniemy w kierunku Horsey Mere.
- Oni też tu są?
- Pewnie przed nami.

To przypomina podróż w życie po życiu. Zostawili za sobą namacalny świat i wkroczyli w krainę snu, w której poruszają się w milczeniu między białymi chmurami. Wokół nie ma nic,



czego mogliby się uchwycić: żadnych charakterystycznych punktów, odgłosów, ziemi ani nieba. Tylko powolne sunięcie przez bezkresną biel, dźwięk ich własnych oddechów i fal uderzających o burzę. Nelson patrzy na swój telefon i wcale go nie dziwi, że nie ma zasięgu. Byłoby niezwykle, gdyby coś tak prozaicznego jak sygnał komórki wdarło się w tę nieziemską mgłę. Jest dziewiąta, ale równie dobrze mogłaby być dowolna pora dnia bądź nocy. Nie ma księżyca ani słońca, tylko szara nicość dokoła.

– To jak przekraczanie rzeki Körmt w drodze do Krainy Umarłych – mówi Cathbad sennie.

Max się rozgląda i Nelson dostrzega, jak jego oczy błyszczą we mgle.

– Tak. Albo przez Styks. To ciekawe, jak wiele mitologii zawiera motyw przepływania się przez rzekę.

– Daruj sobie teraz wykład – mówi Nelson, wychylając się w przód, jakby samym wysiłkiem woli mógł przyspieszyć pęd łodzi. – Nie możemy płynąć szybciej?

– Nie – odpowiada Max. – Wkrótce będziemy w Candle Dyke. Nie chcę przegapić znaków.

Tymczasem kraina snu nie zdradza swoich tajemnic.

Sir Roderick zjawia się jakby pod wpływem szczególnie złośliwej magii. W jednej chwili Ruth przesuwa się ostrożnie wzdłuż burty, z ręką na poręczu, otoczona bielą, a w następnej widzi jego rumianą twarz, siwe włosy i szeroko otwarte, zdumione oczy. Stoi, ściskając ster, i Ruth wie, że to jest ten moment. Zaskoczenie działa na jej korzyść. Gwałtownym susem rzuca się na niego.

Ster wysuwa się z jego dłoni, lecz jak na starego człowieka Roderick ma niezwykle refleks. Zasłania się ręką i uderza Ruth w twarz. Ona upada i wypuszcza nóż. Łódź pozbawiona sterownika powoli skręca w lewo. Ruth nerwowo obmacuje podłogę, szukając zgubionego narzędzia. Oddycha z ulgą, gdy wyczuwa pod palcami drewniany trzonek. Kiedy się podnosi, widzi przed sobą lufę pistoletu.

## ROZDZIAŁ 34

W pierwszej chwili zakłada, że to straszak – pistolet jest taki lśniący i staroświecki, a poza tym Roderick to staruszek, nieudolny gaduła, który jeździ na wycieczki ze Stowarzyszeniem Konserwatystów. Dlatego mimo wycelowanej w swoją stronę lufy Ruth mówi spokojnie:

– Niech się pan nie wygłupia, tylko pilnuje łodzi.

Roderick w odpowiedzi strzela w powietrze. Huk i woń prochu omal nie wywołują u niej znowu torsji. Ten pistolet, tak jak Roderick, może i jest stary, lecz wciąż niebezpieczny.

– Widzisz, moja droga. Nie jestem głupim starcem z bronią, ot co! Umie strzelać. Zdobyłem puchar w Cambridge.

Nasłuchała się już o Cambridge tyle, że wystarczy jej na całe życie. Nagle strach przeradza się w gniew i Ruth krzyczy:

– Nie obchodzi mnie, gdzie pan, u diabła, studiował! Niech mnie pan wypuści z tej przeklętej łódki!

Roderick podchodzi do niej, wciąż się uśmiechając, i przykładą lufę do jej brzucha.

– Jeszcze raz zachowasz się tak bezczelnie, moja droga, a zastrzelę twoje dziecko.

Cisza. Łódź dryfuje w lewo i Ruth ma nadzieję, że się wywróci, uderzą w jakiś most albo inną przeszkodę. Myśli kobiety zaprzęta szalenciec zagrażający życiu, które, z czego właśnie zdała sobie sprawę, jest jej droższe niż własne. Patrzy na zamglony wzrok sir Rodericka. Musi być coś, co odwróci jego uwagę, sprawi, że zrozumie swe postępowanie i spojrzy na nią jak na istotę ludzką. Przypomina sobie jednak, że ten mężczyzna z zimną krwią zabił własną córkę, gdy był jeszcze nastolatkiem. Nie ma powodu wierzyć, że później nauczył się człowieczeństwa.

Stoją tak naprzeciw siebie, nie spuszczać z siebie wzroku, gdy nagle, jakby zza światów dobiega wyraźne wołanie:

– Ruth!

To wystarczyło, by zdekoncentrować sir Rodericka. Kiedy się odwraca, ona krzyczy najgłośniej, jak potrafi:

– Ratunku!

Głos wraca do niej, tłumiony przez mgłę. Sir Roderick znowu na nią patrzy. Ruth silnym ciosem podbija mu rękę od dołu i wytrąca broń.

– Suka! – syczy sir Roderick i próbuje uderzyć ją w głowę. Ruth opadła na kolana i szuka pistoletu. Nie widzi niczego, ale czuje pod palcami brezent, polerowane drewno, mosiądz i nagle, cudownym zrządzeniem losu, zimną lufę. Podnosi się i staje na wprost sir Rodericka.

– Odsuń się, bo strzelę.

Sir Roderick wybuchuje śmiechem – tym razem jest to głośny rechot, zapewne zrodzony z pogardy, jaką całe życie żywił do kobiet.

- No, śmiało! Kobiety nie umieją strzelać.  
Ruth pociąga za spust.

To krzyczał Nelson. Usłyszał pierwszy strzał i wydiera się szaleńczo w mgłę, choć nie ma pojęcia, skąd pochodził huk. Nagle Cathbad woła:

- Patrzcie!

Z mgły wyłania się „Lady Annabelle”. Łódź zmierzająca prosto na nich wygląda jak ogromny czarny cień, milczący i złowieszczy.

- Ruth! – nadal krzyczy Nelson.

Słyszy, jak ktoś odpowiada, lecz nie rozróżnia słów. Nagle omal nie wypada za burtę, kiedy Max gwałtownie skręca w lewo, by uniknąć zderzenia.

- W co on gra?! – woła Nelson do Maksa, którego twarz po tym manewrze ocieka wodą.

- Chyba nikogo nie ma za sterem.

Czy to znaczy, że sir Roderick nie żyje? A może w tym momencie walczy z Ruth? Nelson nie dopuszcza do siebie myśli, że Ruth mogłoby się coś stać. Ani jej, ani jego nie nazywanej jeszcze córce.

- Jesteśmy w Candle Dyke – oznajmia Max i wtedy Nelson zdaje sobie sprawę, że wokół nich zrobiło się przestronnie. Wcześniej, chociaż i tak nie widzieli brzegu, mieli świadomość, że jest tam łódź, a teraz wokół nie ma nic, tylko bezkresna woda i cisza. „Lady Annabelle” znowu zniknęła, jedynie gdzieś w górze pokrzykują mewy.

- Gdzie oni się podziali? – pyta Nelson.

Wtedy rozlega się drugi strzał.

Tego już za wiele. Nie zważając na krzyk Cathbada, Nelson wskakuje do wody. Działa po omacku, ale nie może czekać ani sekundy dłużej. Nie zniesie tego poczucia bezradności, gdy wokół rozlegają się strzały. Musi dotrzeć do Ruth.

Woda jest lodowata, mgła zdaje się wdzierać do oczu, oślepić go i dławić. Przez kilka sekund wie, że tonie, lecz potem instynkt samozachowawczy każe mu się odbić i wynurzyć z czarnej wody, choć ciężkie ubranie ciągnie go w dół.

I oto widzi przed sobą kadłub łodzi – ogromny i nie do zdobycia, niczym drapacz chmur. Rozgarnia wodę i krzyczy:

– Ruth!

Słyszy głos Maksa, lecz jakby dobiegający z bardzo daleka. Nelson myśli tylko o tej przeszkodzie na wprost. Musi dostać się na tę łódź, musi uratować Ruth. Bóg jeden wie, co ten drań jej zrobił. Tłucze bezskutecznie w metalową burtę „Lady Annabelle”. Reling majaczy mniej więcej czterdzieści centymetrów nad nim, lecz nie ma jak go dosięgnąć. RzUCA się desperacko i opada, zanurza się i wyłania na powierzchnię. Gdy tak zмага się z żywiołem, kilka centymetrów od niego do wody wpada coś ciężkiego.

Ciało – tego jest pewien. I wie bez cienia wątpliwości, że gdy dosięgnie dna, będzie martwe. Przez chwilę, otępiały, nic nie czuje. Nawet gdy płynie w stronę tego ciemnego kształtu, zdaje sobie sprawę, że już po wszystkim. Ona nie żyje.

Max robi co może, by dogonić łódź Spensa. Widzi, że Nelson dopływa do „Lady Annabelle” i próbuje chwycić za reling z boku. Max obraca motorówkę i stara się ustawić obok jachtu. Cathbad zamilkł na dobre. Krzyknął tylko „Harry!”

kiedy Nelson wyskoczył z ich łodzi. Dawniej Max myślał, że Cathbad kocha Ruth. Teraz już nie jest tego taki pewien.

„Lady Annabelle” wciąż się do nich zbliża i Max musi działać szybko, żeby ich nie zgmiotła. Obserwuje też Nelsona szamoczącego się w wodzie, a po chwili słyszy rozdzierający trzask i zauważa spadające ciało.

– O nie – szepcze Cathbad.

– Chwyć się mocno – mówi Max. Wykonuje zwrot motorówką niemal pod kątem prostym i jakimś cudem jest już przy Nelsonie, który wlecze ciało w uścisku ratowniczym, z trudem utrzymując własną głowę nad wodą.

– Jeszcze chwila, Nelson! – krzyczy Max. – Już jestem!

Z pomocą Cathbada wciąga ciało na łódkę. Jest okropnie ciężkie. Potem Cathbad pomaga wejść na pokład Nelsonowi. Ten trzęsie się i płacze; wygląda, jakby całkiem postradał zmysły.

Max pochyla się nad ciałem. Gdy podnosi głowę, widzi, jak mgła się rozrzedza i odsłania tarczę księżycą lśniąca niczym złowrogie oko.

– To nie ona – mówi spokojnie.

## ROZDZIAŁ 35

Jest dwudziesty pierwszy czerwca, najdłuższy dzień w roku. Wieczorem Max urządza na miejscu rzymskich wykopalisk uroczyste obchody przesilenia połączone z zakończeniem prac. Będzie Cathbad w pełnym stroju – z różdżką, wieńcem z jemioly na głowie i dębowym berłem. Ruth także się zjawi, podobnie jak większość pracowników wydziału archeologii. Nelson, choć zaproszony, jedzie do Sussex na spotkanie z księdzem Patrickiem Hennesseyem.

Właściwie nie wie dlaczego. Powiedział Hennesseyowi przez telefon, że chce „wyjaśnić pewne sprawy do końca”, ale prawdę mówiąc, wątek Bernadette McKinley został wyjaśniony, a jej szczątki należycie pochowano. Dwa tygodnie temu sam ksiądz Hennessey odprawił nabożeństwo żałobne w intencji małej dziewczynki, która ponad pięćdziesiąt lat temu poniosła śmierć z ręki własnego ojca.

Matka Bernadette nie była obecna na pogrzebie. Gdy Judy zjawiła się w klasztorze następnego dnia po rozmowie z siostrą Immaculata, powiedziano jej, że zakonnica w nocy zmarła.

– Czy był u niej kapłan? – zapytał z niepokojem ksiądz Hennessey, gdy się o tym dowiedział.

– Tak – odparła Judy – był z nią ksiądz Connor i to on dokonał ostatniego namaszczenia.



Judy, tak jak i Nelson, zdaje sobie sprawę, jakie to ważne. Siostra Immaculata wypowiedziała się Judy, ale ta spowiedź nie miała wielkiego znaczenia.

Choć na pogrzebie zabrakło rodziców dziewczynki, niewielki, mroczny kościół nie był całkowicie pusty. Zjawił się Nelson, podobnie jak Clough i świeżo awansowana sierżant Judy Johnson. Przyszli też Ruth, Max i Cathbad – ten ostatni tradycyjnie ubrany w czarną koszulę i dżinsy. Stawili się także Ted Irlandczyk i Trace, która ocierała łzy rękawem koronkowej fioletowej bluzki.

Edward i Marion Spens siedzieli w pierwszym rzędzie, wpatrując się przed siebie.

– W końcu była moją przyrodnią siostrą – powiedział później Edward do Nelsona. – To wprost niesamowite, że... – głos mu się załamał.

Nelson rozumiał, co chciał powiedzieć: że ojciec Edwarda okazał się mordercą, który zabił dziecko, będąc nastolatkiem, i ponownie próbował popełnić zbrodnię w wieku siedemdziesięciu jeden lat; że ta zbrodnia nie wyszła na jaw przez ponad pół wieku, póki syn zabójcy dla zysku nie zechciał przekopać ziemi... Niewiarygodne, że na tym samym miejscu dom dziecka był bezpiecznym schronieniem dla setek dzieci, a mimo to dwoje z nich uciekło i jedno niebawem zmarło. To wszystko jest jednak prawdziwe. Nelson uściśnął Edwardowi Spensowi dłoń i oddalił się między groby. Nie zostało już nic więcej do powiedzenia.

Przy bramie cmentarza zatrzymał się i zwrócił do Trace, wciąż ocierającej oczy.

- Właśnie rozmawiałem z pani wujem.
- Skąd pan wie?

– To nie było trudne – powiedział Nelson, chociaż dość długo nie dostrzegał tego związku, nawet gdy zobaczył imiona na drzewie genealogicznym naszkicowanym przez Judy. Charlotte Spens, dzieci Tracy i Luke. Naturalnie Trace ma inne nazwisko, dlatego nie było to tak oczywiste. Ona była tym ogniwem, dzięki któremu sir Roderick wiedział o wszystkim, co się działo na stanowiskach w Swaffham i na Woolmarket Street.

Trace wyglądała na tak samo przejętą jak jej wuj.

– Ciągłe nie mogę uwierzyć, że dziadek... Mama kłóciła się z wujkiem Edwardem, rozumie pan, nie widywaliśmy się więc z resztą rodziny. Ale ja zawsze lubiłam dziadka. Wydawał mi się takim miłym staruszkim. Rozmawialiśmy o historii, Rzymianach. To nas łączyło.

– Miejmy nadzieję, że tylko to – stwierdził Nelson rzeczowo i odwrócił się w stronę Ruth.

Była błada i zmęczona, lecz poza tym nic jej nie dolegało. Cięża była już widoczna, nawet w luźnym czarnym kostiumie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Tak – uśmiechnęła się niepewnie. – Cieszę się, że doszło do tego pogrzebu. Czuję, że to było właściwe.

– Racja. To się jej należało – zgodził się z nią.

Chciał powiedzieć więcej, ale podszedł Clough i zaproponował wizytę w pobliskim pubie.

– Taki zwyczaj po każdym pogrzebie. Zapytajcie dowolnego Irlandczyka. – Ted Irlandczyk za jego plecami energicznie przytakiwał ruchem głowy.

– Muszę wracać do pracy – powiedziała Ruth. – Do widzenia, Nelson.

Pocałowała go w policzek. To był pierwszy kontakt fizyczny między nimi od momentu poczęcia ich dziecka.

Kiedy policja weszła na pokład „Lady Annabelle” tego wieczoru na początku czerwca, zastali Ruth skuloną z pistoletem w ręku. „Zabiłam go – powtarzała – zabiłam go”.

Gdyby Nelson tam był, kazałby jej zatrzymać tę wiadomość dla siebie. Ale on w tym czasie siedział w karetce owinięty w srebrną folię i bełkotał coś o swoich córkach. Wsparcie policyjne – dwa samochody i karetka – przybyło niemal zaraz po tym, jak Max wyciągnął ciało Rodericka z wody. „Lady Annabelle” cudem dopłynęła do brzegu. Policjanci, miejscowi chłopcy, zostawili w trzcinach samochód i w świetle reflektorów bez trudu weszli na pokład.

Ruth była przekonana, że zabiła Rodericka Spensa. Przecież pociągnęła za spust i widziała, jak bezradnie wymachując rękami, przelatywał ponad relingiem. Sekcja zwłok (przeprowadzona przez nieprzyzwoicie wesołego Chrisa Stevensona) wykazała jednak brak ran po kuli w jego ciele. Przyczyną zgonu było uderzenie w głowę, prawdopodobnie podczas upadku. Później znaleziono pocisk wbity w jedno z siedzeń „Lady Annabelle”. Ruth poczuła ulgę, lecz to nie zmieniło jej przekonania, że to ona stała się bezpośrednią przyczyną zgonu starca. Chciała go zabić. Czyż intencja zabójstwa nie jest jednoznaczna z jego dokonaniem?

O tym wszystkim Nelson chciałby porozmawiać z księdzem Patrickiem Hennesseyem. Gdy przejechał przez most, kierując się w stronę Dartford, wiedział już, że ta wizyta ma być czymś więcej niż tylko rozmową służbową. Sprawa z Woolmarket

Street została zamknięta. Whitcliffe jest jeśli nie szczęśliwy, to na pewno zadowolony, że żadne szczegóły nie dostały się do prasy (choć lokalne gazety donosiły o śmierci sir Rodericka Spensa w wypadku na łodzi). Edward Spens kontynuuje budowę apartamentów. „Życie toczy się dalej”, powiedział pompatycznie do Nelsona, jakby zakładał, że ten będzie się sprzeciwiał inwestycji. Ma zamiar nazwać apartamentowiec Domem Bernadetty.

Skrycie Nelson jest przekonany, że nic się nie skończyło. To, że wiedzą, kto zabił Bernadette i co stało się z Elizabeth Black (policja odnalazła kości zakopane na szkolnym boisku – ksiądz Hennessey będzie miał do odprawienia kolejny pogrzeb), nie oznacza wcale, że uczucia, które obudziła śmierć tych dziewczynek (także Annabelle Spens), zgasną. Rodzice i dzieci – ten temat wciąż kołacze mu się po głowie. Wkrótce będzie ojcem trzech córek. Nie daje mu to spać po nocach; ta myśl gna go teraz autostradą do emerytowanego duchownego.

Spowiedź? Nie przyznał się do tego przed sobą, ale gdy wita się z Hennesseyem i staruszek proponuje spacer po odludnej części ogrodu, Nelson wie, że właśnie po to tu przybył. Prawdziwy katolik, uśmiecha się ponuro. Ojciec Damian byłby z niego dumny.

Najpierw rozmawiają o sprawie Woolmarket Street.

– Czy wie pan, dlaczego sir Roderick Spens popełnił ten straszliwy czyn? – pyta ksiądz Hennessey.

– Edward Spens znalazł jego pamiątki – mówi Nelson, idąc za księdzem ścieżką zarośniętą lawendą i melisą. – Prowadził je od dzieciństwa. Wszystko opisał, to morderstwo

też. Są najdziwaczniejszą rzeczą, jaką zdarzyło mi się czytać. Jak skrzyżowanie Adriana Mole'a i Kuby Rozpruwacza.

– Musiał być naprawdę zagubioną duszą.

– Zagubioną? Owszem. – Nelson prycha pogardliwie.

– Ale udało mu się przejść przez życie bez wzbudzenia niczyich podejrzeń. To znaczy... Edward Spens wiedział, że jego ojciec jest dziwakiem. Dlatego z nim mieszkali, żeby go trzymać z dala od kłopotów. Ale nie podejrzewał, że jest mordercą.

– W końcu wszystko wyszło na jaw – wzdycha Hennessey. – Zła nie da się wiecznie trzymać w ukryciu.

Doszli do odosobnionej części ogrodu i usiedli na niskiej ławce rozgrzanej słońcem. Przed nimi fontanna – cienka strużka wody wypływa z ust kamiennej ryby. Cętki światła padające z góry malują wodną mgiełkę w tężowe barwy, żółte, zielone, niebieskie.

Ksiądz zwraca twarz ku Nelsonowi.

– Dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć, synu?

– Chciałbym prosić o radę.

Hennessey pochyla głowę i milczy. Sztuczka z milczeniem. Nelson ją rozpoznaje, ale to go nie powstrzymuje przed pułapką, w której śpiewa jak ptak:

– Jestem żonaty, proszę księdza. Kocham żonę i nasze dwie córki... – głos więźnie mu w gardle.

Te straszliwe dwie godziny, kiedy myślał, że córkom coś zagraża, uświadomiły mu, jak bardzo jest z nimi związany.

Zrobiliby dla nich wszystko (może nawet, na prośbę Michelle, zaprosić chłopaka Laury na niedzielny obiad).

– Kocham żonę – powtarza – ale kilka miesięcy temu... spędziłem noc z kimś innym. Nie chcę się tłumaczyć, wiedziałem, że to złe, ale to był bardzo trudny moment... dla mnie i dla tej kobiety. Po prostu zbliżyliśmy się, nie myśleliśmy o konsekwencjach. A teraz ona jest w ciąży. Z moim dzieckiem, dziewczynką. I nie wiem, co robić.

Nelson patrzy na fontannę, na wodę spływającą do kamienniej misy. Ksiądz Hennessey przemawia spokojnym tonem:

– Mówisz, synu, że kochasz żonę. A czy kochasz tę drugą kobietę?

– Nie wiem. Zależy mi na niej. I na tym dziecku. Chcę się nią opiekować – śmieje się z goryczą – moja żona też. To dopiero ironia losu. Ona zna przyszłą matkę i pragnie jej pomóc. Z dzieckiem i tak dalej. Moja żona chce się zaprzyjaźnić z kobietą, która nosi moje dziecko. Nikt by tego nie wymyślił.

– Miłość zawsze przynosi pozytywne uczucia – mówi ksiądz łagodnie. – Twoja miłość do rodziny, do tej kobiety i nienarodzonego dziecka. Nawet decyzje twojej żony... To wszystko są przejawy dobra.

Nelson zwraca twarz w stronę duchownego, jego oczy są wilgotne.

– Jak mogę być dobry? Jeśli moja żona się dowie, to będzie koniec naszego małżeństwa.

– Jesteś tego pewien?

– Myśli ksiądz, że powinienem jej powiedzieć?

– Nie potrafię udzielić ci w tej sprawie rady – mówi

Hennessey – chociaż wiem, że tego oczekujesz. Mogę ci tylko powiedzieć, że dziecko zawsze jest błogosławieństwem i miłość też... Jeśli zależy ci na tych ludziach, to znajdziesz właściwą drogę.

Nelson patrzy przed siebie, obserwuje grę świateł i wody. Niemal nie zauważa, jak ksiądz Hennessey kładzie dłoń na jego głowie i cicho wypowiada słowa błogosławieństwa, po czym odchodzi w stronę domu.

Wieczór. Impreza u Maksa w pełni. Samotne wzgórze, na którym niegdyś rzymscy najeźdźcy chronili się przed zimnymi wiatrami z Norfolku, teraz jest pełne ludzi. Ktoś ustawił głośniki przy jednym z wykopów, a wujek Leah przyniósł z pubu beczki piwa i cydru. Ted Irlandczyk i Trace tańczą wśród kopczyków ziemi i kamieni. Ruth widzi, jak Clough w koszulce Manchester United odbija Trace i wiruje z nią, demonstrując zadziwiająco sprawną pracę bioder. Skoro Clough przyszedł, to czemu nie ma Nelsona?

Ruth odchodzi na bok. Czuje zmęczenie i żałuje, że nie ma gdzie usiąść. Jeszcze pięć miesięcy! Dobrze chociaż, że ta straszliwa noc na „Lady Annabelle” nie zaszkodziła dziecku. Ruth przeszła badanie i zrobiono jej kolejne USG, podczas którego ujrziała maleństwo unoszące się radośnie w wodach płodowych. „Duże dziecko”, powiedział technik. Typowe. Nelson płodzi dziecko giganta, po czym się zmywa. Chyba będzie musiała namówić córkę do kibicowania Arsenalowi.

Ona sama potrzebowała więcej czasu, żeby jakoś dojść do siebie. Wciąż nie może pogodzić się z tym, że przyczyniła się do śmierci Rodericka Spensa. Dręczą ją sny, w których widzi,

jak pociąga za spust, a twarz Rodericka zamienia się w makabryczną papkę z krwi i kości. Faktyczne zdarzenia – moment, gdy Roderick upada jakby w zwolnionym tempie, reling pęka, a potem to długie czekanie, zanim ciało uderzyło w wodę – wydają się mniej realne niż senne koszmary. Nie zabiła go, ale chciała to zrobić. I to jest prawda. Wie, że zabiłaby tego człowieka, żeby uratować siebie i dziecko.

– Ruth!

Dostrzega zbliżającego się Maksa. Do tej pory krążył wśród gości, starając się każdemu okazać zainteresowanie. Porozmawiał serdecznie z Philem, który trzymał się za ręce z zadowoloną Shoną (do wyznaczonego terminu „po ostatniej radzie wydziału” pozostał jeszcze miesiąc), wyściskał dłonie wszystkim wolontariuszom i spędził kwadrans z przedstawicielami lokalnej prasy. Ta umiejętność spoufalania się z wszystkimi jest niezbędna wziętym archeologom (pewnie dlatego ona nigdy nie zrobi wielkiej kariery w tym zawodzie). Max zajdzie daleko, co do tego nie ma wątpliwości.

Ruth z przyjemnością obserwuje go z daleka. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje, jest teraz rozmowa z dziennikarzami albo z Philem. Jej relacja z Maksem, więź, która między nimi zaistniała, jeszcze się wzmocniła, kiedy pojawił się na rzece tamtej feralnej nocy. To Max przybył wozem policyjnym, by jej powiedzieć, że on, Cathbad i Nelson płynęli za nią motorówką. Opowiedział o desperackim skoku Nelsona do wody. „Jak pomyślał, że coś ci się stało, zwariował?”. Patrzyli na siebie przez chwilę i Ruth poznała, że Max wie, iż to Nelson jest ojcem dziecka. Żadne z nich jednak tego nie powiedziało. Przez całą drogę do szpitala Max trzymał ją za rękę.



Teraz się uśmiecha. Wykopaliska się powiodły. On wraca do Sussex, by opisać wyniki. Nawet „Lady Annabell” została uratowana i Edward zaproponował Maksowi, że może z niej korzystać, kiedy zechce. Coś mu mówi, że Ruth raczej nie będzie chciała go tam odwiedzać.

- Wspaniała zabawa – zauważa Ruth.
- Wiesz, jak archeolodzy lubią imprezować.

Ruth patrzy na dwie poważne kobiety dyskutujące o rzymskiej ceramice i się uśmiecha.

- Daj mi znać, kiedy zaczniesz krążyć trawka.
- Coś ci pokażę – mówi Max.

Ruth spogląda na niego nieufnie. Czuje, że ma już dość niespodzianek na całe życie. Ale Max się uśmiecha, a wokół panuje wspaniały nastrój. Świat przestępstw i śmierci jest daleko.

Max bierze ją za rękę i prowadzi do swojego samochodu. Okno z przodu jest lekko uchylone, a na tylnym siedzeniu siedzi duży czarny pies. Na ich widok zwierzę zaczyna szaleć z radości, machać nie tylko ogonem, ale całym zadkiem. Jest to szczupły pies z kudłatym, wesołym pyskiem. Ruth odruchowo uśmiecha się do niego.

– Pamiętasz to sapanie, które słyszałaś przy wykopie? Jak mówiłem, że to może być pies? – pyta Max, pochylając się, żeby pogłaskać teraz już całkiem oszalałego ze szczęścia czworonoga. – To właśnie ona. Przybłąda, włóczyła się koło naszego stanowiska od tygodni, i pomyślałem, że ją zabiorę.

– Pies jest na całe życie... – mówi Ruth, wskazując na nalepkę na samochodzie.

– No właśnie. Zresztą chyba potrzebuję towarzystwa. –  
Twarz Maksa pochmurnieje, ale natychmiast się rozjaśnia,  
kiedy zwierzę wyskakuje przez okno i przytula się do niego.

– Chce się przyłączyć do świętowania – stwierdza Ruth,  
myśląc, że suczka jest bardziej towarzyska od niej. Imprezowa.

– Założę jej smycz – proponuje Max. – Przy tylu ludziach  
mogłaby zrobić coś nieprzewidzianego.

– Jak się wabi?

– Klaudia. Jak najbardziej na miejscu. Imię rzymskie, no i  
trochę brzmi jak kieł, a zęby ma silne... już się przekonałem.

Ruth głaszcze podskakującego, machającego ogonem psa.

– Znajdzie się dla niej miejsce w Brighton?

– Tak. Mam ogród. Będziemy chodzili na długie spacery  
nad morzem. Dla zdrowia i żeby utrzymać formę.

I bez tego jest w formie, zauważa Ruth, ale zatrzymuje to dla  
siebie. Max podaje jej smycz (co ją nieco przeraża) i grzebie w  
bagażniku.

– Mam coś dla ciebie. – Podchodzi z torbą, którą wręcza  
Ruth.

– Co?...

– Zajrzyj.

Ruth widzi kolejnego psa. Tym razem wypchanego, nad-  
gryzionego zębem czasu, lecz wciąż uśmiechniętego.

– Pies Elizabeth – mówi Max niewyraźnie. – Nazywała go  
Wilczek. Pomyślałem, że możesz go dać swojemu dziecku.  
Przecież to żalosne, że go trzymam.

Ruth, z Klaudią na smyczy, przerzuca wzrok z wypchanego  
psa na Maksa i jej oczy nagle wypełniają się łzami.

- Dziękuję. Jestem naprawdę zaszczycona.
- Nelson pewnie uzna, że to zagrożenie życia i zdrowia – mówi Max – ale jestem przekonany, że go nie posłuchasz.

– Czemu miałabym zmieniać nawyki?

Wracają do gości i Ruth czuje się na tyle swobodnie, że tańczy z Tedem Irlandczykiem. Widzi w oddali Cathbada, który rozpala ognisko.

– Dobrze się ruszasz jak na kobietę w ciąży – stwierdza Ted.

– Dzięki.

Ted się uśmiecha, błyskając złotym zębem, i Ruth przypomina sobie, o co zawsze chciała go zapytać. Nachyla się ku niemu i szepcze:

– Dlaczego nazywają cię Ted Irlandczyk?

– Nie mów nikomu – szepcze w odpowiedzi. – Jestem Irlandczykiem, ale nie nazywam się Ted.

Minęła już północ, lecz ognisko wciąż płonie. Ruth powoli schodzi ze wzgórza. Jest wyczerpana, ale zadowolona. Cathbad zatańczył na cześć boga Słońca, Max zakończył wykopaliska i znalazł towarzysza, a ona też nie wraca do domu sama. Uśmiecha się do idącej obok kobiety. To Cathbad zaproponował, by zaprosiła swoją matkę: „Gaja, bogini Ziemi, rozumiesz. Wieczna matka. To wszystko się z sobą łączy”, i ku zdumieniu Ruth jej mama chętnie zgodziła się na przyjazd. Spędziła wieczór, rozmawiając z Maksem o mozaikach, śpiewając madrygały z druidami i tańcząc z Cloughem i Tedem. Teraz obejmuje Ruth ramieniem.

– Zmęczona?

- Trochę.
- Pójdziemy do domu i napijemy się herbaty. Potem powinnaś się położyć. W ciąży trzeba dużo spać.

Prawdopodobnie rzymskie matki, myśli Ruth, mówiły to samo swoim córkom w tym samym miejscu dwa tysiące lat temu. „Chodź, usiądź przy ogniu, napijemy się ziół i pomodlimy do Hekate o bezpieczne rozwiązanie”.

Wszystko się zmienia, nic nie ginie.

# PODZIĘKOWANIA

Szczególne podziękowania kieruję do mojej cioci Marjorie Scott-Robinson, która jest bezcennym źródłem informacji o hrabstwie Norfolk, duchach, przyływach, odpływach i sposobach przeprowadzania dużej łodzi pod niskim mostem. Za to i za słowa zachęty oraz za wspólny śmiech w Twoim towarzystwie – Margie, dziękuję.

O ile mi wiadomo, nie ma rzymskich pozostałości w Swaffham, lecz jest wspaniałe rzymskie stanowisko w pobliżu, w Caistor St. Edmund. Podobnie, choć w Norwich jest wiele okazałych rezydencji, Woolmarket Street to miejsce fikcyjne. W zamku Norwich istotnie mieści się ciekawe muzeum, lecz eksponaty, o których tu wspominam (poza czajniczkami), zostały wymyślone.

Andrew Maxted, Matthew Pope i Lucy Sibun wspomagali mnie swoją wiedzą z zakresu archeologii. Lucy dziękuję też za cenne uwagi dotyczące pracy archeologa sądowego. Jednocześnie pragnę zaznaczyć, że rady specjalistów wykorzystywałam w takim zakresie, w jakim pasowały do treści, i odpowiedzialność za wszelkie możliwe błędy spada tylko na mnie. Dziękuję Grahamowi Rangerowi za niezapomniany opis „zapachu” zbrodni.

Szczerze dziękuję mojej redaktorce Jane Wood, agentce Tif Loehnis i wszystkim w wydawnictwach Quercus i Janklow and Nesbit. Wyrazy miłości i wdzięczności należą się też mojemu mężowi Andrew i naszym dzieciom: Aleksowi i Juliet.